

MART A.

MATAM

M A R T A

POWIEŚĆ

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN

Bibliot

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

DRUK K. KOWALEWSKIEGO UL. KRÓLEWSKA N. 23.

1873.



Дозволено Цензурою
Варшава, 29 Іюня (1 Іюля) 1873 года

2542

<http://rcin.org.pl>

Życie kobiety—to wiecznie gorejący płomień mi-
łości, powiadają jedni.

Życie kobiety—to zaparcie się, twierdzą inni.

Życie kobiety—to macierzyństwo, wołają tamci.

Życie kobiety—to igraszka, żartują inni jeszcze.

Cnota kobiety—to ślepa wiara, chórem zgadzają
się wszyscy.

Kobiety wierzą ślepo; kochają, poświęcają się, ho-
dują dzieci, bawią się... spełniają zatem wszystko,
co świat spełniać im nakazuje, a jednak świat krzy-
wo jakoś na nie spogląda i od czasu do czasu odzy-
wa się w kształcie wyrzutu lub napomnienia: źle
dzieje się z wami!

Z pomiędzy kobiet samych przenikliwsze, rozum-
niejsze lub nieszczęśliwsze, wglądając w siebie lub
rozglądając się do koła powtarzają: źle dzieje się
z nami.

Na wszelkie złe niezbędnym jest środek zaradczy;
ci i owi upatrują go w tem lub w owem, ale choroba;
nie ustępuje przed receptą.

Niedawno jeden z najśluszniej poważanych w kraju naszym pisarzy (pan Zacharyasiewicz w powieści p. t. Albina) podał do wiadomości publicznej, że kobiety fizycznie i moralnie chorują dla tego, że brak im wielkiej miłości (naturalnie dla mężczyzny).

Nieba! jakaż to olbrzymia niesprawiedliwość!

Niech różowy bożek Eros zleci nam ku pomocy i zaświadczy, iż całe życie nasze nie jest czem innym jak kadzidłem na cześć jego nieustannie palonem!

Zaledwie odróśszy od ziemi szłyszemy już, że przeznaczeniem naszym będzie kochać jednego z panów stworzenia: podlotki, marzymy o tym panu i władcy każdego wieczora, w którym na niebiosach księżyc świeci lub gwiazdy błyszczą, każdego poranku, w którym śnieżne lilje rozwijają ku słońcu wonne swe kielichy, marzymy i wzdychamy. Wzdychamy do chwili, w której wolno nam będzie jak liljom ku słońcu zwrócić się ku temu, który z mgły porannych obłoków lub powodzi księżycowego światła, wyłania się przed wyobraźnią naszą z postacią Adonisa, śpiącego na tajemnicy.... Potem.... cóż potem? Adonis zstępuje z chmur, wciela się, zamieniamy z nim obrączki i wychodzimy za mąż... Jest to także akt miłości, a chociaż wyżej nadmieniony pisarz, w bardzo zresztą pięknych swych powieściach, utrzymywać chce, iż zawsze i nieodmiennie jest to tylko akt rachuby, nie zgadzam się z nim w tej mierze. Akt rachuby w wyjątkowych sferach i okolicznościach, powszechnie bywa to akt miłości. Jakiej miłości?

Wcale to już inna a wielce subtelna i długiego mówienia o sobie wymagająca materya, dość przecież, że gdy w białych muślinach, wstydliwą twarz słoniąc tiulowemi zwojami idziemy do ołtarza. śliczniutki Eros leci przed nami i wstrząsa nam nad głową pochodnią o różanych płomykach.

Potem? cóż potem? Kochamy znowu... jeżeli nie tego z panów stworzenia, który podlotkowi objawiał się w marzeniu a dziewicy obrączkę ślubną na palec włożył—to innego, jeżeli zresztą nie kochamy żadnego, to kochać pragniemy... usychamy, suchot dostajemy, jędzami częstokroć się stajemy z pragnienia kochania...

A z tego wszystkiego co wynika? Jedne z nas otulone skrzydłami bożka miłości przelatują wprawdzie przez całe życie uczciwie, cnotliwie i szczęśliwie inne przecież, liczniejsze daleko liczniejsze, zakrwawionemi stopami chodzą po ziemi walcząc o chleb, o spokój, o cnotę, łzy lejąc obfite, cierpiąc straszliwie, grzesząc okrutnie, spadając w otchłanie wstydu, umierając z głodu...

Recepta tedy zamykająca się w słowie: *kochajcie!* nie na wszwstkie służy choroby.

Możeby dodać jej jedną jeszcze ingrediencyą, aby skuteczniejszą była.

Jaką?

Powie nam to może kartka wydarta z życia kobiety...

Ulica Graniczna jest jedną z dość ożywionych ulic Warszawy. Lat temu parę, w bardzo piękny dzień jesienny. ulicą tą szło i jechało mnóstwo ludzi, z których każdy spieszył to do interesów swych, to do przyjemności; nie oglądał się ani na lewo ani na prawo i wcale nie zwracał uwagi na to, co działo się w głębi jednego z dziedzińców ulicy dotykających.

Dziedziniec to był czysty, dość obszerny, z czterech stron otoczony wysokimi murowanymi budynkami. Budowa znajdująca się w głębi była najmniejsza, ale po wielkich oknach, szerokim wejściu i ładnym ganku, wejście to przyozdabiającym, wnosić można było, że znajdujące się w niej mieszkania były wygodne i ozdobne.

Na ganku stała młoda kobieta w żałobnej sukni z bladą bardzo twarzą. Błada również i w żałobę przyodziana czteroletnia dziewczynka, czepiała się rąk jej, które nie załamane wprawdzie, zwisały jednak bezsilnie, nadając postaci kobiety pozór wielkiego smutku i zniekania.

Z czystych, szerokich wschodów prowadzących na wyższe piętro budowli, schodzili wciąż ludzie w grubej odzieży i grubym opylonym obuwiu. Byli tam tragarze niosący najrozmaitsze sprzęty, jakimi tylko wypełnionem i przybranem być może mieszkanie, je-
ine zbyt obszerne i wytworne, to przynajmniej ta-

dnie i wygodnie urządzone. Były tam łóżka mahoniowe, kanapy i fotele obite pąsowym wełnianym adamaszkiem, kształtne szafy i komody, parę konserek nawet z marmurowymi płytami, parę sporych zwierciadeł, dwa wielkie drzewa oleandrowe w doniczkach i datura, na której gałęziach zwieszało się jeszcze kilka niezupełnie okwitłych kielichów białego kwiecia.

Tragarze wszystkie przedmioty te znosili ze wschodów i mijając stojącą na ganku kobietę, ustawiali je na bruku dziedzińca, albo umieszczali na dwóch wozach w bliskości bramy stojących, albo jeszcze wynosili na ulicę. Kobieta stała nieruchomo, i wiodła oczami za każdym z wynoszonych sprzętów. Znać było, że przedmioty te, z którymi rozstawała się widocznie, posiadały dla niej nietylko materialną cenę; żegnała je ona tak, jak się żegna widome znaki kreszące przed oczami naszymi dzieje znikłej bezpowrotnie przeszłości, jak się żegna niemych świadków utraconego szczęścia. Błede czarne oko dziecka silniej pociągnęło suknię matki.

— Mamo! szepnęła dziewczynka, patrz! biórko ojca! Tragarze znosili ze wschodów i ustawiali na wozie obszerne bióro męzkie, zielonem suknem obite i ładnie rzeźbioną galeryjką ozdobione. Kobieta w żalobie, długiem spojrzeniem okryła sprzęt, wskazujący jej drobnym paluszkiem dziecka.

— Mamo! szeptała dziewczynka, czy widzisz tę wielką, czarną plamę na biórku ojca?.. Ja pamiętam

jak się to stało... Ojciec siedział przed biurkiem i trzymał mię na kolanach, ty mamę przyszłaś i chciałaś mię ojcu odebrać. Ojciec śmiał się i nie oddawał mię, ja swawoliłam i rozlałam atrament. Ojciec nie gniewał się. Ojciec był, dobry nigdy nie gniewał się, ani na mnie ani na ciebie...

Dziecko szeptało słowa te kryjąc twarzyczkę w fałdy żałobnej sukni matczynej, całém drobnem ciałkiem swem tuląc się do jej kolan. Znać i nad tem dziecinnem sercem, wspomnienia wywierały już moc swoją, ściskając je bólem nieświadomym samego siebie. Z suchych dotąd oczu kobiety spłynęły dwie łzy grube; chwila wywołana przez pamięć jej słowami dziecka, zagubiona niegdyś w milionach chwil podobnych jej, codziennych, uśmiechnęła się teraz ku nieszczęśliwej czarującej goryczą utraconego raj. Być może iż pomyślała także, że swoboda, weselość owej chwili, opłaconą została dziś utratą jednego z ostatnich kęsów chleba pozostałych jej i jej dziecku, opłaconą zostanie jutro – głodem; plama atramentowa powstała wśród śmiechu dziecka i pocałunków rodziców, kilkanaście złotych ujęła wartości sprzętu. Po biurku ukazał się na dziedzińcu ładny Kralowski fortepijan, ale kobieta w żałobie obojętniej już za nim wzrokiem powiodła. Nie była znać wcale artystką, instrument muzyczny najmniej obudzał w niej żalów i wspomnień, za to malutkie mahoniowe łóżeczko orzucone nakryciem z kolorowej włóczki wyrabianem, wyniesione z domu i ustawione

na wozie przykuło do siebie spojrzenie matki, napęliło łzami oczy dziecięcia.

— Łóżeczko moje, mamó! zawołała dziewczynka ludzie ci i łóżeczko moje zabierają, i tę kołderkę, którąś mi sama zrobiła! Ja nie chcę aby oni to zabierali! Odbierz mamó od nich łóżeczko moje i kołderkę.

Za całą odpowiedź kobieta przycisnęła silniej do kolan głowę płaczącego dziecka, oczy jej czarne piękne zapadłe nieco suche były znowu, blade, delikatne usta zwarte i milczące.

Ładne dziecięce łóżeczko owo, było już ostatniem z wyniesionych sprzętów. Otworzono na oścież bramę, wozy naładowane sprzętami wjechały w ładną ulicę, za niemi odeszli tragarze niosąc na barkach resztę ciężarów, a z za szyb kilku sąsiednich okien poznikały głowy ludzkie, ciekawie dotąd na dziedzińcu wyglądające.

Ze wschodów zstąpiła młoda dziewczyna w okryciu i kapeluszu i stanęła przed kobietą w żałobie.

— Pani, rzekła, załatwiłam już wszystko...zapłaciłam komu było potrzeba...oto jest reszta pieniędzy..

Mówiąc to młoda dziewczyna podawała kobiecie w żałobie mały zwój assygnat.

Kobieta zwolna zwróciła twarz ku niej.

— Dziękuję ci Zosiu, rzekła cicho, byłaś dla mnie bardzo dobrą.

— Pani, ty byłaś zawsze dobrą dla mnie, zawołała dziewczyna, służyłam u pani cztery lata i nigdzie nie było mi i nie będzie już lepiej jak u pani.

Rzekłszy to przeciągnęła po oczach zwilżonymi łzami rękę, na której znaczne były ślady igły i żelazka, ale kobieta w żałobie pochwyciła rękę tę zgrubiałą, i uścisnęła ją silnie w swych białych drobnych dłoniach.

— A teraz, Zosiu, rzekła, bądź zdrowa...

— Ja panią odwiozę do nowego mieszkania, zawołała dziewczyna, zaraz zawołam dorożki.

W kwadrans po tej rozmowie, dwie kobiety i dziecko wysiadły z dorożki przed jedną z kamienic przy ulicy Piwnej stojących.

Kamienica ta była wązka od frontu ale wysoka trzypiętrowa, pozór miała stary i dość smutny.

Mała Jancia szeroko otwartymi oczami patrzyła na ściany i okna budowy.

— Mamo, czy tu mieszkać będziemy?

— Tu, moje dziecko, cichym zawsze głosem odparła kobieta w żałobie i zwróciła się do stojącego w bramie stróża.

— Proszę pana o klucz do mieszkania, które dwa dni temu najęłam.

— A! na facyacie zapewne, odparł stróż i dodał, niech pani idzie na górę; otworzę zaraz.

Z małego kwadratowego podwórka z dwóch stron otoczonego ślepym murem ceglastej barwy, a z dw

innych staremi drewnianymi drwalniami i spichrzami, kobiety i dziecię weszły na wschody wąskie, ciemne i brudne. Młoda dziewczyna wzięła dziecię w objęcia i poszła przodem, kobieta w żałobie zwolna postępowała za nią.

Izba, której drzwi stróż otworzył była dość obszer-na ale niska i ciemna, jedno niewielkie okienko otwierające się nad dachem źle ją oświetlało, sufit pochylający się z góry na dół w ukośnej linii, zdawał się uciskać ściany, od których wiał wilgotny zapach wapna jakim świeżo je znać pobielono.

W kącie obok pieca z prostej cegły, był tam niewielki komin do gotowania, naprzeciw pod jedną ze ścian stała niewielka szafka, dalej jeszcze łóżko bez poręczy, kanapka podartym perkalem obita, stół na czarny kolor umalowany i kilka złotych krzesełek ze słomianą siatką w części porwaną i wklęsłą.

Kobieta w żałobie zatrzymała się chwilę na progu, orzuciła izbę powolnem spojrzeniem, poczem postąpiwszy kilka kroków opuściła się na kanapkę.

Dziecię stanęło przy matce i nieruchome, blade wodziło dokoła oczami, w których malowały się zdziwienie i przestach.

Młoda dziewczyna odprawiła dorożkarza, który wniósł do izby dwa małe tłumoczki, i krzątać się zaczęła około uporządkowania rzeczy z tłumoczków wyjętych.

Nie było ich wiele, porządkowanie więc trwało krótko, dziewczyna nie zdejmując okrycia i kapelusza

ułożyła w jednym z łomoczków parę sukienek dzieciennych i troszkę bielizny, drugi wypróżniony usunęła w kącie izby, łóżko zasłała dwoma poduszkami i wełnianą kołdrą, u okna zawiesiła białą frankę, w szafie wstawiła kilka talerzy i garnuszków, dzbanek gliniany do wody, takąż miednicę, mosiężny lichtarz i mały samowarek. Uczyniwszy to wszystko wzięła jeszcze z za pieca wiązkę drewek i rozpałała na kominie wesoly ogień.

— Ot tak, rzekła powstając z klęczek i twarz zarumienioną od rozdmuchiwania płomienia zwracając ku nieruchomej kobiecie: rozpałałam ogień i zaraz tu będzie pani ciepłej i widniej. Drzewo na opał mówiła dalej, znajdzie pani za piecem, będzie tam jego, pewnie na jakie dwa tygodnie, suknie i bielizna w łomoku, naczynia kuchenne i kredensowe w szafie, świeca wprawiona w lichtarz także w szafie!.

Mówiąc to pocziwa sługa zdobywała się widocznie na ton wesoly, ale uśmiech zsuwał się z ust jej, a oczy napływały łzami.

— A teraz, rzekła ciszej składając ręce, a teraz pani moja, trzeba mi już iść!

Kobieta w żałobie podniosła głowę.

— Trzeba ci już iść Zosiu, powtórzyła, to prawda, dodała rzucając spojrzenie za okno, zmierzchać już zaczyna... będzie ci straszno iść wieczorem przez miasto.

— O nie to droga pani! zawołała dziewczyna, ja dla

pani poszłabym w noc najciemniejszą na koniec świata.. ale.. nowi moi państwo jutro bardzo rano wyjeżdżają z Warszawy i kazali mi przyjść przed zmrokiem.

Muszę iść bo będę im dziś jeszcze potrzebna...

Przy ostatnich wyrazach młoda służąca schyliła się i ująwszy białą rękę kobiety chciała podnieść ją do ust. Ale kobieta podniosła się nagle i oba ramiona zarzuciła na szyję dziewczyny. Obie płakały, dziecię rozplakało się także, i obiema rączkami pochwyciło sukienne okrycie służącej.

— Nie idź Zosiu! wołała Jancia, nie idź! tu tak straszno jakoś, tak smutno!

Dziewczyna całowała dawną panią w ramiona w ręce, przyciskała do piersi płaczące dziecię.

— Muszę! muszę iść! powtarzała łkając, mam biedną matkę i małe siostry, muszę dla nich pracować...

Kobieta w żałobie podniosła twarz bladą i wyprostowała wiotką kibić.

— I ja także, Zosiu, pracować będę, wyrzekła głosem pewniejszym niż ten, którym przemawiała dotąd, i ja mam dziecię, na które pracować powinnam..

— Niech Pan Bóg cię nie opuszcza i błogosławi, najdroższa pani moja! zawołała młoda służąca i raz jeszcze ucałowawszy ręce matki i zapłakaną twarzyczkę dziecka, nie oglądając się wybiegła z izby.

Po wyjściu dziewczyny zrobiła się w izbie wielka cisza, przerywana tylko trzaskiem ognia palącego się na kominie i gwarem ulicy głucho i nie-

wyraźnie dochodzącym na wysokie poddasze. Kobieta w żalobie siedziała na kanapce, dziecko płakało zrazu, potem przytuliło się do piersi matki, ucichło i zmęczone usnęło. Kobieta wsparła głowę na dłoni, ramieniem opasała drobną kibić śpiącego na kolanach jej dziecięcia, i nieruchomemi oczami wpatrzyła się w migotliwy blask płomienia. Z odejściem wiernej i przywiązanej sługi, odeszła od niej ostatnia twarz ludzka, która była świadkiem jej przeszłości, ostatnia podpora pozostała jej po zniknięciu wszystkiego, co wprzód służyło jej wsparciem, pomocą i usługą. Pozostała teraz sama, oddana na moc losu, trudy samotnej doli, siłę własnych dłoni i głowy, a z nią razem była tylko ta mała, słaba istotka, która mogła tylko przy piersi jej szukać spoczynku, od ust żądać pieczyoty, z dłoni jej wyglądać pożywienia. Dom jej niegdyś urządzony dla niej kochającą ręką męża, opuszczony przez nią przyjmował teraz w ściany swe nowych mieszkańców: dobry, ukochany człowiek, który dotąd otaczał ją miłością i dostatkiem, od kilku dni spoczywał w mogile...

Wszystko minęło... miłość, dostatek, spokój i pogoda życia, a jedynym śladem znikłej jak sen przeszłości, były dla nieszczęśliwej kobiety bolesne wspomnienia i to blade wątle dziecię, które teraz otworzywszy oczy ze snu chwilowego, zarzuciło jej rączkę na szyję i drobne usteczka przyciskając do jej twarzy szepnęło:.. Mamo! daj mi jeść! Teraz jesz-

cze prośba ta nie miała w sobie nic takiego, coby obudzić mogło obawę lub smutek w sercu matki.

Wdowa sięgnęła do kieszeni i wydobyla pugilares zawierający kilka assygnat — cały majątek jej i córki.

Zarzuciła chustkę na ramiona, i powiedziawszy dziecku aby na powrót jej spokojnie czekało, wyszła z izby.

W połowie wschodów spotkała stróża, który wiaż drzewa niósł jednego z mieszkań, znajdujących się na pierwszym piętrze.

— Kochany panie, rzekła wdowa uprzejmie i nieco nieśmiało, czy nie mógłbyś pan mi przynieść z jakiego blizkiego sklepiku mleka i bułek dla dziecka?

Stróż nie zatrzymując się słów tych wysłuchał, poczem odwrócił głowę i odparł z zaledwie tajoną niechęcią..

— A kto tam ma czas chodzić po mleko i po bułki.. Ja tu nie dlatego jestem, abym lokatorom jezdzenie przynosił.

Wymawiając ostatnie słowa zniknął za załomem muru. Wdowa zstąpiła niżej.

— Nie chciał mi oddać przysługi, myślała, bo domyśla się, że jestem biedną...tym od których spodziewa się otrzymać zapłatę, ciężką wiązkę drzewa poniósł.

Zeszła aż na dziedziniec i rozejrzała się dokoła.

— A czego to pani tak się ogląda? zabrzmiał koło niej głos kobiecy chropowaty i niemily.

Wdowa ujrzała stojącą przed niskimi drzwiczkami, znajdującymi się w pobliżu bramy kobietę, której twarzy w zmroku nie rozpoznawała, ale której krótka spódnica, wielki płócienny czepiec i gruba chustka krzywo na plecach zarzucona, a także dźwięk głosu i ton mówienia oznajmiały kobietę z ludu.

Wdowa domyśliła się w niej żony stróża.

— Moja dobra pani, rzekła, czy nie znajdę tu kogo ktoby mi przyniósł mleka i butek?

Kobieta namyślała się chwilę.

— A z którego to piętra? zapytała, cościś ja pani jeszcze nie znam.

— Dziś zamieszkałam na facyatce...

— A, na facyatce! To pocóż Asani gadasz o przynoszeniu ci tam czegoś? nie możesz sama pójść do miasta?

— Zapłaciłabym za fatygę, szepnęła wdowa, ale żona stróża nie słyszała, czy udała że nie słyszy słów jej, otuliła się lepiej chustą i zniknęła za murem drzwiczkami.

Wdowa stała przez chwilę nieruchoma, nie wiedząc widocznie co czynić i do kogo się już udać, westchnęła i opuściła ręce; po chwili jednak podniosła głowę i wszedłszy w bramę otworzyła furtkę wiodącą na ulicę.

Wieczór nie był jeszcze późny ale dość ciemny, rzadkie latarnie źle oświecały ulicę wąską i napę-

nioną tłumami ludzi; na chodnikach były szerokie miejsca w zupełnych prawie pogrążone cieniach. Fala chłodnego jesiennego wiatru wpłynęła w bramę przez otwartą furtkę, rzuciła się w twarz wdowy i zakręciła końcami czarnej jej chustki; turkot dorożek i gwar zmieszanych rozmów ogłuszył ją, cienie zalegające chodniki przeraziły. Cofnęła się kilka kroków w głąb bramy i stała znowu chwilę ze spuszczoną głową, nagle jednak wyprostowała się i postąpiła naprzód. Przypomniała sobie może dziecko swe, które czekało pożywienia albo uczuła iż powinna była zdobyć od woli swej i odwagi, to, co odtąd zdobywać już jej przyjdzie w każdym dniu, w każdej godzinie. Zarzuciła chustkę na głowę i przestąpiła próg furtki. Nie wiedziała w której stronie szukać należało sklepiku z wiktuałami. Uszła spory kawał przyglądając się wystawom okien sklepowych, minęła parę dystrybucyi cygar, jakąś kawiarnię, jakiś sklep z bławatnemi towarami i wróciła. Nie śmiała dalej zapuszczać się w ulicę ani prosić kogo o objaśnienie. Udała się w inną stronę, po kwadransie wracała z kilku butkami w białej chusteczce.

Mleka nie przynosiła, nie było go w sklepiku w którym znalazła butki, nie chciała, nie mogła szukać dłużej, niespokojną była o dziecię, wracała szybko, biegła prawie. Była już o kilka kroków od bramy, gdy tuż za sobą usłyszała głos mężki nucący piosenkę. „Stój, zaczekaj moja duszko, skąd drobnutką strzyżesz nóżka“. Usłowała w duchu upewnić

siebie, że piosenka nie do niej się stosuje, przyspieszyła kroku i już dotykała furtki gdy głos śpiewający przemienił się w mówiący.

— Dokąd tak pilno? dokąd? wieczór piękny! możeby trochę pospacerować!

Bez tchu, drżąc cała z trwogi i obrazy, młoda wdowa wpadła w bramę i furtkę za sobą zatrzasnęła. W parę minut potem, Jancia widząc wchodzącą do izby matkę, rzuciła się ku niej tuląc się w jej objęcia.

— Tak długo nie wracałaś mamó! zawołała, ale nagle umilkła i wpatrzyła się w matkę: mamó ty znowu płaczesz i znowu wyglądasz tak... tak jak wtedy gdy ojca wynoszono w trumnie z naszego mieszkania.

Młoda kobieta drżała w istocie całym ciałem, łzy obfite płynęły po rozognionych jej policzkach. To co przeniosła przez kwadrans wycieczki swej na miasto, walka z trwożliwością własną, szybki bieg po Ślizkiej ulicy, wśród tłumu ludzi i zimnych fal wichru, obelga nadewszystko doznana od nieznanego wprawdzie człowieka, ale doznana po raz pierwszy w życiu, wstrząsnęły znać nią do głębi. Znać było jednak, że postanowiła zwyciężać samą siebie na każdym kroku, bo szybko uspokoiła się, otarła łzy, pocałowała dziecko i rozniecając ogień na kominie, rzekła:

— Przyniosłam ci bułek, Janciu, a teraz nastawię samowar i urządzę herbatę.

Wzięła z szafy gliniany dzbanek i zaleciwszy dziecku ostrożność z ogniem, zesła znowu na dziedziniec ku studni. Wróciła niebawem zdyszana i zmęczona, z ramieniem uginającym się pod ciężarem dzbanka napelnionego wodą; nie spoczęła jednak ani chwili tylko zaraz wzięła się do nastawiania samowaru. Czynność ta, którą spełniała widocznie po raz pierwszy w życiu, szła jej z trudnością, niemniej przeto w niespełną godzinę herbata była wypita, Jancia rozebrana i uspiona. Równy, cichy oddech dziecka oznajmiał sen spokojny, z bladęj twarzyczki zniknęły ślady łez tak obficie przez dzień cały wylewanych.

Ale młoda matka nie spała; w żałobnej sukni swój z rozpuszczonemi czarnemi warkoczami, z twarzą opartą na dłoni, siedziała nieruchoma naprzeciw dogasającego ogniska i myślała. Zrazu gryząca boleść sfałdowała białe czoło jej w kilka zmarszczek głębokich, oczy zasły łzami, pierś podnosiła się ciężkiem westchnieniem. Po chwili jednak wstrząsnęła głową jakby odpędzić chciała oblegające ją tłumy żalów i obaw, powstała, wyprostowała kibić i rze-
kła z cicha. — Nowe życie!

Tak, kobieta ta, młoda, piękna z białemi rękami i wiotką kibicią, wstępowała w nowe dla siebie życie, dzień ten miał być dla niej początkiem nieznaney przyszłości.

Jakaż była jej przeszłość?

Przeszłość Marty Swickiej krótką, była ze względu na lata, prostą ze względu na wypadki.

Marta urodziła się w dworku szlacheckim niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym.

Posiadłość ojca jej o kilka mil zaledwie od Warszawy położona, składała się z kilkunastu włók urodzajnej ziemi, kwiecistej, sporą przestrzeń gruntu zajmującej łąki, pięknego brzozowego gaju który dostarczał opału w zimie i ponętnych przechadzek w lecie, z obszernego sadu pełnego drzew owocowych i ładnego domku z sześciu frontowymi oknami, wychodzącymi na okrągło wykrojony, gładką murawą zasłany dziedziniec, z zielonemi wesoło wyglądającymi żaluzjami, z gankiem o czterech słupach na które pięły się fasole z pąsem kwieciami i powojami o bujnych liljowych kielichach.

Nad kolebką tedy Marty słowiki śpiewały i stare lipy poważnemi czołami powiewały, róże kwitły, i kłosa pszeniczne fale złota toczyły. Pochylała się też nad nią piękna twarz matki i gorącemi pocałunkami okrywała czarnowłosą główkę dziecięcia.

Matka Marty była kobietą piękną i dobrą. Ojciec człowiekiem ukształconym i także dobrym. Jedyne dziecię rodziców tych wzrastało wśród miłości ludzi i pieczy dostatku.

Pierwszą boleścią, która spadła na bezchmurne dotąd życie pięknej, wesołej, hożej dziewczyny, była utrata matki. Marta miała wtedy lat szesnaście, rozpacziała czas jakiś, tęskniła długo, ale młodość

balsam gojący położyła na pierwszą ranę jej serca, rumieńce odkwitły na jej twarzy, wesołość, nadzieje i marzenia wróciły.

Inne przecież klęski nadeszły wkrótce. Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie w skutek zaszyłych w kraju zmian ekonomicznych, ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Zdrowie jego zachwiało się, przewidywał zarówno upadek swej fortuny jak bliski koniec życia. Los jednak Marty zdawał się już wtedy zabezpieczonym. Kochała i była kochaną.

Jan Swicki, młody urzędnik, zajmujący dość wysoką już posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną czarnooką pannę i wzbudził w niej wzajemne uczucie szacunku i miłości. Ślub Marty o kilka tygodni zaledwie poprzedził śmierć jej ojca. Zrujnowany szlachcic, który niegdyś marzył może dla jedynaczki swej o świetniejszym losie, z radością składał dłoń jej w rękę niemającego lecz pracowitego człowieka; myśląc iż wraz z odejściem Marty od ślubnego ołtarza, przyszłość jej otrzymała dostateczną ochronę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa, umarł spokojnie.

Marta po raz drugi w życiu spotkała się z wielką boleścią, ale tym razem koła ją nie tylko już sama młodość ale i miłość żony, a potem matki. Piękne miejsce jej rodzinne zostało dla niej na zawsze straconem, przeszło w ręce ludzi obcych, ale natomiast ukochany i kochający mąż wśród gwaru miejskiego

usłał jej miękkie, ciepłe, wygodne gniazdo, w którym wkrótce ozwał się srebrzysty głos dziecięcia.

Śród uciech i obowiązków rodzinnych, pięć lat zeszło dla młodej kobiety szczęśliwie i szybko.

Jan Swicki pracował sumiennie i umiejętnie, pobierał znaczną płacę, dość znaczną aby móżdż otoczyć kobietę, którą kochał wszystkim do czego od kolebki przywykła, co stanowić mogło urok każdej chwili, spokój każdego jutra. Każdego? nie! najbliższego tylko. Jan Swicki nie był dość opatrzny aby myśleć o dalszej przyszłości, z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej.

Młody, silny, pracowity, liczył na młodość swą, siłę i pracowitość, myśląc iż skarby te niewyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko. Mąż Marty uległ chorobie ciężkiej i nagłej, z której nie uratowały go rady lekarzy ani starania zrozpaczonej żony. Umarł. Wraz ze śmiercią jego skończyło się nietylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się z pod stóp jej podstawa materialnego jej bytu.

Nie na zawsze więc ślubny ołtarz uratował młodą kobietę od cierpień samotności i niebezpieczeństw ubóstwa. Stary jak świat aksyomat, opiewający że nic nie ma stałego na świecie, sprawdził się na niej o tyle o ile jest prawdziwym. Nie jest on bowiem prawdziwym w zupełności. Wszystko co z zewnątrz ku człowiekowi przybywa, mija i mieni się dokoła niego pod wpływem tych tysiącznych prądów i za-

gmatwień jakimi postępują, w jakie wiążą się społeczne stosunki i ustawy, pod wpływem częstokroć najstraszniejszym, bo najmniej przewidzieć i obrać chować się dającym ślepego trafu. Ale los człowieka na ziemi byłby w istocie pożałowania godnym, gdyby cała moc, wszystkie bogactwa i rękojmie jego zawierały się w tych tylko żywiołach zewnętrznym, zmiennych i umkliwych jak fale wodne poddane rozkazom wichrów. Tak, nic nie ma stałego na ziemi, prócz tego co człowiek posiada we własnej piersi i głowie; prócz wiedzy, która wskazuje drogi i uczy stąpać po nich, prócz pracy która rozjaśnia samotność i odżegnywa nędzę; prócz doświadczenia; które naucza i wysoko podniesionych uczuć które od złego chronią. I tu jeszcze stałość względna jest zapewne, łamie je posępna lecz niezłomna potęga choroby i śmierci. Ale dopóki niewzruszenie i prawidłowo trwa i rozwija się ten proces ruchu, myśli i uczuć ludzkich który zwie się życiem póty człowiek nie rozstaje się z samym sobą, póty sam sobie służy, dopomaga, stale podpira się tem co uzbierać sobie zdołał w przeszłości, co służy mu orężem w walce z zawiłkami życia, ze zmiennością losu, z okrucieństwem trafu.

Martę zawiodło i opuściło wszystko co przybywając z zewnątrz przyjaznem jej było dotąd i opiekuńczem. Los jakiemu uległa nie był wcale wyjątkowym losem, nieszczęście jej nie wzięło źródła z dziwnej jakiejś, niepospolitej przygody, ze zdumiewającej ja-

kiejś, w rocznikach ludzkości rzadko pojawiającej się katastrofy. Ruina i śmierć odegrywały dotąd w życiu jej rolę niszczycielek spokoju i szczęścia. Cóż pospolitszego wszędzie, cóż mianowicie w społeczeństwie naszym pospolitszego nad pierwszą? co konieczniejszego, częstszego, bardziej nieuniknionego nad drugą?

Marta spotkała się oko w oko z tem z czem spotykają się miliony ludzi, miliony kobiet; któż w życiu swem po wiele kroć nie napotykał ludzi płaczących nad wodami Babilonu opływającemi gruzy utraconej fortuny? Kto zrachuje ile razy w życiu swem patrzył na szatę wdowią, na blade twarze i łzami zmęczone oczy sierot?

Wszystko więc co towarzyszyło dotąd życiu młodej kobiety rozstało się z nią, umknęło od niej ale ona nie rozstała się z samą sobą. Czem mogła być sama dla siebie samej? co zbierać sobie zdołała w przeszłości? jakie oręże wiedzy, woli, doświadczenia służyć jej mogły w walce z zawikłaniami społecznymi, biedą, trafem, samotnością? W pytaniach tych mieściła się zagadka jej przyszłości, kwestya życia i śmierci jej i nietylko jej ale jeszcze i jej dziecka.

Materyalnie młoda matka ta nie posiadała nic albo prawie nic. Pareset złotych pozostałe ze sprzedaży sprzętów po opłaceniu drobnych długów i kosztów pogrzebu męża, trochę bielizny, dwie suknie stanowiły cały jej majątek. Klejnotów wiekiej ceny nie miała nigdy, te które miała spieniężone przez nią w czasie choroby męża, zapłaciły nadaremne ra-

dy lekarskie i również nadaremne leki. Ubogie nawet sprzęty napełniające nowe jej siedlisko nie były jej własnością. Wynajęła je razem z izbą na poddaszu, za używanie ich również jak za izbę płacić obowiązała się z każdym pierwszym dniem każdego miesiąca.

Była to terażniejszość smutna zapewne, naga, ale wyraźnie już określona. Nieokreślona pozostawała przyszłość. Trzeba ją było zdobyć, stworzyć niemal.

Czy młoda, piękna ta kobieta ze smukłą, kibicią, białemi rękami i jedwabistym kruczym włosiem opływającym kształtną głowę, posiadała jaką siłę zdobywczą? czy z przeszłości swej wyniosła cokolwiek z czegoby stworzyć mogła przyszłość? Myślała o tem siedząc na niskim drewnianym stołku, przed żarzącymi się węglami ogniska. Oczy jej z wyrazem niewymownej miłości tkwiły w dziecięcej twarzyczce, spokojnie uspionej wśród bieli poduszek. Dla niej, wymówiła po chwili, dla siebie, na chleb, na dach, na spokój—pracować będę!

Stała przed oknem. Noc była ciemna, Marta nie widziała nic, ani stromych dachów które jeżyły się poniżej wysokiego poddasza mnóstwem wschodów i załomów, ani ciemnych zakopconych kominów nad dachami sterczących, ani latarni ulicznych których mętne blaski nie dosięgały wysokości jej okienka. Nie widziała nawet nieba, bo pokryte było chmurami i nie świeciło żadną gwiazdą. Ale gwar wielkiego miasta dochodził uszu jej nieustanny choć

nocny, ogłuszający choć stłumiony odległością. Po-
ra nie była zbyt późną; na szerokich, wspaniałych
ulicach zarówno jak wśród ciasnych i mrocznych uli-
czek, ludzie chodzili jeszcze, jeździli, gonili za przyje-
mnością, szukali zysku, biegli tam gdzie wzywała ich
ciekawość myśli, rozkosz serca lub nadzieja zdo-
byczy.

Marta opuściła czoło na splecione ręce i zamknęła
oczy. Wsłuchiwała się w tysiączne głosy zlane w je-
den głos olbrzymi i choć niewyraźny, monotony
a jednak pełen gorączkowych wybuchów, nagłych
uciszeń się, głuchych wykrzyków i tajemniczych
szmerów. Wielkie miasto stanęło przed oczami wy-
obraźni jej w kształcie olbrzymiego ula, w którym
poruszało się, wrzało życiem i gonitwą, mnóstwo istot
ludzkich. Każda z istot tych posiadała miejsce na
którem pracowała i to na którym spoczywała, cele do
jakich dążyła, narzędzia jakimi drogę sobie toro-
wała wśród tłumu. Jakiem będzie dla niej, dla bied-
nej w bezbrzeżną samotność straconej kobiety, miej-
sce pracy i spoczynku? kędy ten cel do którego po-
dąży ona? zkąd wezmą się oręże, które utworują dro-
gę ubogiej i opuszczonej? A także jakimi będą dla
niej te istoty ludzkie które tam tak gwarzą nieustan-
nie, z których oddechu powstaje ten szmer gorączko-
wy w którego to podnoszących się to opadających fa-
lach, ona teraz słuch swój zatapia? będąż one dla
niej sprawiedliwymi lub okrutnymi, litościwymi i
miłosiernymi? Otworząż się przed krokami jej te

ściśle zwarte falangi tłoczące się ku szczęściu i dobrobytowi, lub zewrą się ściślej jeszcze aby nowo przybyła nie zwięzła im miejsca, nie ubiegła której z nich w mozolnej gonitwie? Jakie ustawy i obyczaje przyjaznymi jej będą, a jakie wrogimi, i których więcej będzie, pierwszych czy drugich? Nadewszystko zaś, nadewszystko potrafiż ona sama przewycięzać żywioły wrogie, wyzyskiwać przyjazne, każdą chwilę, każde uderzenie serca, każdą myśl przelatującą przez głowę? każde drgnienie poruszające fibrami ciała skupić w jedną moc rozumną, wytrwałą, niespożytą, w moc taką, jaka jedynie odegnać zdoła nędzę, zabezpieczyć od poniżenia się godność człowieka, uchronić od bezowocnych bólów, rozpaczy i — śmierci głodowej?

W pytaniach tych skupiła się cała dusza Marty. Wspomnienia rozkoszne i zarazem gryzące wspomnienia kobiety, która niegdyś hożem i wesołem będąc dziewczęciem, lekkimi stopami deptała świeżą murawę i barwne kwiecie rodzinnej wioski; potem u boku ukochanego męża pędziła dni szczęśliwe, wolne od trosk i smutków, a teraz we wdowiej szacie stała u małego okienka poddasza, z bladym czołem opuszczonem na załamane dłonie; wspomnienia kobiety które przez cały dzień miniony otaczały ją rojem widm nęcących, po to aby krwawić i rozdzierać, uleciały teraz od niej przed groźnym, tajemniczym, lecz dotykalmem jak rzeczywistość zjawiskiem terażniejszości. Zjawisko to pochłaniało jej myśli ale nie znać



było aby ją przerażało. Czy odwagę swą czerpała z miłości macierzyńskiej napelniającej jej serce? czy posiadała w sobie tę dumę która brzydzi się trwogą? czy...nie znała świata i samej siebie? Nie lękała się. Gdy podniosła twarz były na niej ślady łez obficie od dni kilku wylewanych, był na niej wyraz żalu i tęsknoty, ale obawy i zwątpienia nie było.

Nazajutrz po przeniesieniu się swem na poddasze, Marta o godzinie 10-tój zrana była już na mieście.

Pilno jej znać było dojść do celu, pałaca jakaś myśl, niespokojna nadzieja—popędzały ją naprzód, bo szła prędko a zwolniła kroku wtedy dopiero gdy znalazła się na ulicy Długiej. Tu jednak szła już coraz wolniej, słaby rumieniec wybił się na blade jej policzki, oddech stał się śpieszniejszym jak bywa zwykle przy zbliżaniu się chwili upragnionej i zarazem strasznój, wzywającej do wysileń wszystkie władze umysłu i woli, obudzającej nadzieją, nieśmiałość, kto wie? wstyd może mimowolny, z przyzwyczajień całego życia, z surowej nowości położenia powstały,

Przed bramą jednę z najpokaźniejszych kamienic zatrzymała się, spojrzała na numer domu, był znać tym samym, który miała w pamięci, bo po jednym dłuższem nieco i głębszem odetchnięciu, zwolna zaczęła wstępować na widne i szerokie wschody.

Zaledwie przebyła kilkanaście stopni ujrzała zstępujące dwie kobiety. Jedna z nich ubrana była sta-

rannie, z pewnym nawet wykwintem, postawę miała pewną siebie, wyraz twarzy więcej niż spokojny bo zadowolony. Drugą młodszą, bardzo młodą, w ciemnej wełnianej sukience, wyszarzanym nieco szalu na ramionach, w kapelusiku który widocznie nie jedną już jesień pamiętał szła z opuszczonemi rękami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zaczerwienione nieco powieki, blada cera twarzy i szczupłość kibici nadały całej postaci młodziutkiej i dość ładnej dziewczyny téj wyraz smutku, słabości i zmęczenia. Dwie te kobiety znalazły się widać zblizka, bo rozmawiały z sobą poufnie.

— Boże mój, Boże! mówiła młodszą z cicha i nieco jękliwie, co ja teraz nieszczęśliwa pocznę? ostatnia nadzieja mnie zawiodła. Jak powiem matce że i dziś jeszcze nie dostałam lekcyi rozchoruje się gorzej... a tu i jeść w domu tak dobrze jak nie ma już czego. .

— No, no, odrzekła starsza, tonem w którym obok współczucia odzywała się struna silnie uczuwanej wyższości własnej; nie martw się tak bardzo! oto popracuj jeszcze trochę nad muzyką...

— Ach! gdybym ja tak grać mogła jak pani! zawołała młodszą, ale nie mogę...

— Talentu nie masz, kochanko! wymówiła starsza, cóż robić? talentu nie masz!

Zamieniając te wyrazy dwie kobiety mijaly Martę, były tak zajęte jedna zadowoleniem swem, druga swym smutkiem, że najmniejszej nie zwróciły uwagi

na kobietę której żałobna suknia zbliska przesunęła się koło nich. Ale ona stanęła nagle i wiodła za niemi wzrokiem. Były widocznie nauczycielkami, które opuszczały miejsce do jakiego ona dążyła. Jedna z nich wprawdzie odchodziła z twarzą promieniącą, ale druga ze łzami. Za półgodziny, za kwadrans może, ona także zstępować będzie z tych wschodów po których teraz wstępuje. Czy radość czy lzy dostaną się jej w udziale? Serce jej uderzało silnie gdy poruszyła dzwonek przytwierdzony do drzwi, na których połyskiwała mosiężna blacha z napisem: Bióro informacyjue dla nauczycieli i nauczycielek, Ludwiki Żmińskiej.

Z małego przedpokoiku którego drzwi otworzyły się na odgłos dzwonka, Marta weszła do obszernego pokoju oświetlonego dwoma wielkimi oknami na ludną ulicę wychodzącemi, ostawionego ładnymi sprzętami z pośród których wyróżniał się i wchodzącemu odrazu w oczy wpadał nowiutki, bardzo ozdobny i kosztowny fortepian.

W pokoju znajdowały się trzy osoby, z których jedna powstała na spotkanie Marty. Była to kobieta średniego wieku, z włosami niepewnego koloru, gładko przyczesanemi pod kształtnym białym czepczkiem, z postawą trochę sztywną. Twarz jej dość regularnych rysów, nie nosiła na sobie żadnej wyraźnej cechy i tak jak popielata suknia pozbawiona wszelkich ozdób, i rzędem monottonnych guzików spięta na piersi, nie raziła niczem i niczem nie po-

ciągała. Była to postać od stóp do głowy obleczona w wyraz urzędowości; kobieta ta umiała może w innych porach i w innym miejscu uśmiechać się swobodnie, patrzeć z czułością, serdecznym ruchem wyciągać dłoń do uścisku, ale tu, w saloniku tym w którym przyjmowała osoby wzywające jej porady i pomocy, występowała w charakterze urzędowej pośredniczki pomiędzy osobami temi a społeczeństwem, była taką jaką zapewne być była powinna, grzeczną i przyzwoitą, ale powściągliwą i ostrożną. Salonik ten miał tylko pozór saloniku; w gruncie był miejscem handlu takim jakim bywają wszelkie inne miejsca handlu; właścicielka jego ofiarowywała porady swe, wskazówki, stosunki, tym którzy ich od niej żądali, w zamian wzajemnej usługi tłumaczącej się monetą. Był to także czyściec, przez który przechodziły dusze ludzkie wstępując zeń w niebo zdobytej pracy, lub zstępując w piekło przymusowego bezrobocia.

Marta zatrzymała się chwilę przy drzwiach, i ogarnęła wzrokiem twarz i postać, postępującej na spotkanie jej kobiety. Oczy jej, które wczoraj napędzony się co chwila łzami, dziś suche i połyskliwe, nabrawły wyrazu niepospolitej bystrości, przenikliwości niemal. Skupiły się w nich widocznie wszystkie władze myślenia młodej kobiety, i usiłowały przez zewnętrzną przewłokę przedrzeć się w głębię istoty, której usta wydać miały sąd o przyszłej niedoli jej lub spokoju. Pierwszy to raz w swem życiu Marta

przychodziła do kogoś za interesem; interes zaś ten był jednym z najważniejszych interesów ludzi biednych: potrzeba zarobku.

— Pani dobrodziejka do bióra informacyjnego zapewne? wymówiła gospodyni domu.

— Tak pani; odrzekła przybywająca i dodała, jestem Marta Świcka.

— Chciej pani usiąść i zaczekać chwilę, aż ukończę rozmowę z temi paniami które przybyły pierwiej.

Marta usiadła na wskazanym sobie fotelu, i teraz dopiero zwróciła uwagę na dwie inne znajdujące się w pokoju osoby.

Osoby te różniły się ze sobą niezmiernie wiekiem, ubiorem i powierzchownością. Jedną z nich była 20 letnia może panna, bardzo ładna, z uśmiechem na różowych ustach, z błękitnymi oczami, które patrzyły pogodnie, prawie wesole, w jedwabnej sukni jasnego koloru i malutkim kapelusiku pięknie strojącym jasno płowe włosy. Z nią właśnie rozmawiać musiała Ludwika Żmińska przed wejściem Marty, bo do niej zwróciła się zaraz po przywitaniu przybyłej. Mówiła po angielsku, a z pierwszych zaraz wyrazów odpowiedzi młodej panny odgadnąć w niej można było rodowitą Angielkę. Marta nie rozumiała rozmowy dwóch kobiet, bo nie znała języka którym ją prowadzono, widziała tylko że swobodny uśmiech nie znikał z ust pięknej Angielki, że twarz jej, postawa i sposób mówienia, wyrażały śmiałość osoby

przywykłej do powodzenia, pewnej siebie i losu której ją czeka.

Po krótkiej rozmowie, gospodni domu wzięła ćwiartkę papieru i poczęła zakreślać ją bieglem piśmem.

Marta z wyteżoną uwagą ścigająca szczegóły sceny, która bliską łączność miała z własnem jej położeniem, widziała że Ludwika Żmińska pisała list po francuzku, umieściła w nim cyfrę wyrażającą summę 600-set rubli, na kopercie zaś wypisała jedno z hrabiowskich nazwisk krajowych, i dodała doń nazwę najpiękniejszej w Warszawie ulic. Uczyniwszy to wszystko, z grzecznym uśmiechem wręczyła pismo Angielce, która powstała, skłoniła się i wyszła z pokoju krokiem lekkim, z głową podniesioną i uśmiechem zadowolenia na ustach.

— Sześćset rubli rocznie, myślała Marta, jakież to bogactwa, mój Boże! jakie to szczęście módz tyle zarobić! Gdyby mi choć połowę summy tej przyrzeczono byłabym spokojna o Jancię i o siebie!

Myśląc tak młoda kobieta, z zajęciem i mimowolnem politowaniem spoglądała na osobę, z którą po odejściu Angielki gospodni domu rozmowę rozpoczęła.

Była to kobieta mogąca mieć około lat sześćdziesięciu, drobna, chuda, ze zwiędłą twarzą okrytą mnóstwem zmarszczek, z zupełnie prawie białemi włosami w dwa gładkie pasma przyczesanemi pod kapeluszem czarnym, zmiętym i bardzo dawną modę

pamiętającym. Czarna wełniana suknia i jedwabna starożytna mantylka zwisały na chudem ciele staruszki, ręce jej przezroczyste, białe, i drobne niespokojnym ruchem mięły wciąż i obracały w kościstych palcach leżącą na kolanach białą, płócienną chustkę. Podobnaż niespokojność malowała się w błękitnych znać niegdyś, lecz teraz spłowiałych i pozbawionych blasku jej źrenicach, które to podnosiły się na twarz gospodyni domu, to okrywały się zaczerwienionymi powiekami, to przebiegały z przedmiotu na przedmiot odzwierciadlając tem niejako niepokój i boleśne targania się steranego umysłu, szukającego dla siebie jakiegoś niby punktu oparcia, jakiegoś przytułku i ukojenia.

— Czy pani byłaś już kiedy nauczycielką? wymówiła po francuzku Ludwika Żmińska zwracając się do staruszki. Biedna kobieta poruszyła się na krzesło, przebiegła oczami wzdłuż i wszerz przeciwną ścianę, konwulsyjnym ruchem zacisnęła palce w koło zwiniętej w kłęb chustki i zaczęła z cicha.

— Non Madame, c'est *le premier fois* que je.. je.. Urwała; szukała widocznie obcych wyrazów któremiby wypowiedzieć mogła myśl swoją, ale one umykały zmęczonej jej pamięci

— J'avais... zaczęła po chwili, j'avais *la fortune...* mon fils *avait* le malheur de la perdre...

Gospodyni domu zimna i wyprostowana siedziała na kanapie. Błędy językowe popełniane przez staruszkę, trudna i przykra brzmiąca jej wymowa, nie

wywołały na usta jej uśmiechu, tak jak znękanie jej i bolesny niepokój, nie zdawały się budzić w niej spółczucia.

— To smutno, rzekła, i pani tego jednego tylko masz syna?

— Nie mam go już! zawołała po polsku stara kobieta, lecz nagle przypominając sobie obowiązek wykazania umiejętności obcej mowy dodała: *il est mourru par des éspoir!*

Słowniałe źrenice staruszki nie zwilżyły się łzą ani zaświeciły najmniejszym blaskiem, gdy wymawiała ostatnie wyrazy, ale blade, wąskie usta jej drgnęły wśród roju otaczających je zmarszczek, i pierś wklęsa zadrżała pod staroświecką mantylką.

— Pani posiadasz muzykę? zapytała gospodyni domu po polsku, jakby z kilku słów zamienionych, dostatecznie już oświadczoną została z francuzkiem ukształceniem staruszki.

— Grywałam kiedyś ale... bardzo już dawno... nie wiem doprawdy czy mogłabym już teraz...

— A więc może niemiecki język...

Za całą odpowiedź staruszka przecząco wstrząsnęła głową.

— A więc czegoż pani dobrodziejka nauczać może?

Pytanie to zadaniem było tonem grzecznym wprawdzie, ale zarazem tak suchym i zimnym, że znaczyło tyleż ile wyraźna odprawa. Stara kobieta przecież nie zrozumiała lub wysiliła się na niezrozu-

mienie. Francuzki język był znać tą z umiejętności jej na którą rachowała najwięcej — przez którą spodziewała się otrzymać kęs chleba mający uchronić od nędzy ostatnie dni steranego jej życia. Czując, że grunt usuwa się pod jej stopami, że właścicielka bióra informacyjnego zamierza ukończyć rozmowę z nią nie udzieliwszy jej żadnej informacyi, pochwyciła tę jedyną, ostatnią według niej deskę zbawienia, i coraz silniej mnąc płócienną chustkę w drżących palcach pośpiesznie zaczęła. *La géographie, la histoire, les commencements de l'arithmétique...*

Umilkła nagle i osłupiały wzrok utkwiała w przeciwniejszej ścianie, bo Ludwika Żmińska powstała.

— Przykro mi to bardzo, zaczęła zwolna gospodyni domu, ale nie mam obecnie na widoku żadnego miejsca któreby dla pani odpowiedniem być mogło...

Skończyła i stała z rękami założonemi na surowym staniku popielatęj sukni oczekując wyraźnie pożegnania. Ale staruszka siedziała jak przykuta do miejsca, ruchliwe dotąd ręce jej i oczy znieruchomiały, blade usta za to roztworzyły się i dogadały nerwowo.

— Żadnego! wyszeptała po chwili... żadnego! powtórzyła i sztywna, niezależną jakby od niej samej mocą poruszona, zwolna podniosła się z krzesła.

Nie odchodziła jednak. Teraz dopiero powieki jej nabrzmiwały, blade źrenice zaszły szklistą po-

wokła. Oparła trzęsącą się dłoń na poręczy krzesła i rzekła z cicha.

— Może potem... może kiedykolwiek potem... będzie jakie miejsce...

— Nie pani, przyrzekać nie mogę, jednostajnie zawsze grzecznie i sztywnie odrzekła gospodyni domu.

Przez parę sekund zupełne milczenie panowało w pokoju. Nagle po zmarszczonych policzkach starszej kobiety popłynęły dwa strumienie bujnych, obfitych łez. Nie wydała jednak żadnego głosu, nie wymówiła ani jednego słowa, skłoniła się gospodyni domu i szybko opuściła pokój. Wstydziła się może łez swych i pragnęła ukryć je co najprędzej, albo może do miejsca innego lecz podobnego temu jakie opuszczała, śpieszyła z nową nadzieją po nowy zawód....

Teraz Marta została sam na sam z kobietą, która roztrzygać miała kwestyę spełnienia lub upadku najdroższych dla niej nadziei, najusilniejszych pragnień. Nie czuła się przełknięą, tylko głęboko smutną.

Sceny które od kilku chwil przesuwaly się przed jej oczami, wywarły na umyśle jej silne wrażenie, tem silniejsze, że całkiem nowe. Nie była przyzwyczajoną do widoku ludzi szukających zarobku, upędzających się za kęsem chleba, nie odgadywała, nie przeczuwała nigdy, aby gonitwa ta zawierała tyle w sobie niepokoju, udręczeń, zawodów. Praca zjawia'a się w wyobraźni Marty ilekroć dotąd myślała o niej, w postaci czegoś po co nachylić się

tylko trzeba, aby osiągnąć przedmiot upragniony. Tu, na pierwszej zaraz stacyi nieznaney téj drogi, zaczynała domyślać się rzeczy strasznych, niemniej jednak nie drżała, upewniała siebie w myśli, że ją, kobietę młodą i zdrową, starannie kiedyś wychowywaną przez najlepszych rodziców, ją, towarzyszkę człowieka rozsądnego i umysłową, pracą zarabiającego sobie na życie, spotkać nie może los podobny temu jaki spotkał tę biedną, smutną dziewczynę którą spotkała na wschodach, i tę stokroć nieszczęśliwszą jeszcze staruszkę, która odeszła przed chwilą z dwoma strumieniami łez opływającemi zmarszczone policzki.

Ludwika Żmińska zaczęła od pytania, od którego zwyczajnie znać zaczynała rozmowy ze zjawiającemi się kandydatkami na nauczycielskie posady.

— Pani trudniłaś się już nauczycielstwem?

— Nie, pani; jestem wdową po urzędniku zmarłym przed kilku dniami. Teraz dopiero po raz pierwszy pragnę rozpocząć zawód nauczycielki.

— A! więc posiadasz pani może świadectwo ukończenia którego z wyższych naukowych zakładów?

— Nie, pani; wychowałam się w domu.

Słowa te dwie kobiety zamieniały ze sobą po francuzku: Marta wyrażała się w języku tym poprawnie i z łatwością, wymowa jej nie była jak najdoskonalszą, ale nie raziła żadnemi osobliwzemi uchybieniami.

— Jakichże przedmiotów pani możesz i życzysz sobie udzielać?

Marta nie zaraz odpowiedziała. Rzecz dziwna, przysła tu z zamiarem wyjednania dla siebie miejsca nauczycielki, ale nie wiedziała dobrze czego właściwie nauczać mogła i chciała. Nie była przyzwyczajoną do rachowania się z posiadanymi zasobami umysłu, wiedziała tylko o tem, że to co umiała było zupełnie wystarczającym dla kobiety zostającej w tych położeniach w jakich ona zostawała, dla córki szlacheckiej, dla żony urzędnika. Nie czas jednak było namyślać się długo; pamięci Marty nasunęły się naturalnie te przedmioty, nad którymi w dzieciństwie pracowała najwięcej, które stanowiły tło ukształcenia jej i jej rówiennic.

— Mogłabym dawać lekcye muzyki i francuzkiego języka, rzekła.

— Co do drugiego, odparła gospodyni domu, uważam, iż pani posiadasz wymowę francuzką dość biegłą i poprawną, a chociaż nie jest ona jeszcze wszystkiem czego potrzeba dla możności nauczania, to jednek pewną jestem. iż pani i grammatyka i pisownia i może nieco piśmiennictwo francuzkie obcemi nie są.

Co do muzyki... racz pani przebaczyć... ale muszę znać stopień artystycznego jéj wykształcenia, ażeby znaleźć sposób odpowiedniego dlań zużytkowania

Na blade policzki Marty wystąpiły rumieńce. Wychowała się w domu, nie zdawała nigdy egzami-

nów żadnych przed nikim, nie produkowała się nawet przed światem, bo w kilka miesięcy po ślubie zamknawszy kupiony jej przez męża fortepijan, otwierała go zaledwie parę razy a i to wtedy zawsze, kiedy gry jej słuchały tylko cztery ściany ładnego jej saloniku i drobniutkie uszki Janci, skacząc na kolanach piastunki w takt muzyki matczynej. A jednak, żądanie właścicielki informacyjnego bióra nie miało w sobie nic takiego, coby obrażać powinno, zasadzało się na tem prawie prostem i powszechnie w świecie pracujących przyjętem, że aby powiedzieć coś o cenie i właściwościach przedmiotu trzeba go naprzód obejrzeć, zważyć i tak dopasować, kędy on okaże się potrzebnym i stosownym. Rozumiała to Marti, podniosła się z fotelu i zdjąwszy rękawiczki przystąpiła do fortepianu. Tu stała chwilę z oczami spuszczone na klawiaturę. Przypominała sobie panieński swój repertuar muzyczny, i wahała się pomiędzy kompozycjami, które darzyły ją niegdyś pochwałą nauczycielki i uściskami rodziców. Usiadła i rozmawiała jeszcze wciąż ze swą pamięcią, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem a od progu ozwał się głos kobiety ostry i przenikający.

— Eh bien! mame! La Comtesse arrive-t-elle à Varsovie? Ze słowami temi wpadła raczej niż weszła do pokoju kobieta żwawa, przystojna, ciemnej płci, średniego wzrostu, w oryginalnym płaszczku z pąsowym kapiszonem jaskrawo odbijającym przy

głębokiej czarności włosów i śniadości cery. Czarne połyskliwe oczy przybyłej obiegly szybko pokój, i spotkały się z postacią kobiety siedzącej przy fortepianie.

— Ah, vous avez du monde, madame! zawołała, continuez, continuez, je puis attendre! Mówiąc to rzuciła się w fotel, oparła głowę o tylną poręcz skrzyżowała nogi przez co ukazała bardzo zgrabne stopy obute w ładne buciki i zakładając ręce na piersi, ciekawy, przenikliwy wzrok utkwiała w twarzy Marty.

Na policzkach młodej wdowy wzmogły się rumieńce, nowy świadek popisowej gry jej nie ujmował przykrości jej położenia. Ale Ludwika Żmińska zwróciła ku niej głowę, z tem szczególnem zajęciem i wyrazem twarzy które zdają się mówić.

— Czekamy!

Marta zaczęła grać. Grała *la prière d'une vierge*. W porze w której uczyła się muzyki, młode panny grywały powszechnie *la prière d'une vierge*, tę tkliwą kompozycję, której tony w całość pełną melancholji zlewały się z wnikającymi przez okna księżycowymi promieniami i ulatującymi z piersi dziewczęcymi westchnieniami. Ale salonik informacyjnego bióra oświetlony był jasnym trzeźwym blaskiem dziennym, westchnienia kobiety grającej *la prière d'une vierge*, nie były takimi westchnieniami które lecą „w nadziemskie krainy“ lub na ów łąn zielony kędy pędzi „konik wrony“ ale takimi które tłumio-

ne, spychane na dno piersi, wciąż się jednak podnoszą, wlewając w ucho kobiety, matki, prosty, ziemski, pospolity trywjalny a jednak tragiczny, groźny natarczywy, rozdzierający wykrzyk: chleba! zarobku!

Wąskie brwi Ludwiki Żmińskiej zsunęły się bardzo nieznacznie, przez co jednak fizynomija jej stała się więcej jeszcze chłodną i surową jak była wprzód: po śniadej twarzy francuzki rozpartej w fotelu, mknęły roje figlarnych uśmiechów. Marta czuła sama że gra źle. Nie rozumiała już dziś tej wiązanki czułych tonów, która niegdyś wydawała się jej melodją anielską: palce jej utraciły wprawę i plątały się po klawiszach nie zawsze na właściwe trafiając, myliła się w pasażach, cisnęła zbyt mocno pedał, opuszczała całe takty, zatrzymywała się i szukała po klawijaturze drogi którą gubiła.— Mais c'est une petite horreur qu'elle joue là! zawołała francuzka półgłosem wprawdzie ale wykrzyk jej usłyszała.— Chut! m-lle Delphine! szepnęła gospodyni domu. Marta uderzyła ostatni akord tkliwej kompozycji i zaraz nie podnosząc oczu ni rąk z nad klawiszów, zaczęła grać *Nocturne* Zientarskiego. Czuła, jak niepomysłne dla niej wrażenie gra jej wywarła na kobietę, trzymającą w swoim ręku najdroższe jej nadzieje; czuła, że niezręcznie dotykając klawiszów, wypuszcza zarazem z dłoni jeden z nielicznych narzędzi zarobku na jakie liczyła, że każdy fałszywy ton z pod palców jej wychodzący rwie i prze-

cina jedną z nielicznych nici na których zawisnął był i jej dziecka.

— Muszę zagrać lepiej! powiedziała sobie w myśli, i bez chwili namysłu zaczęła grać smętne *Nocturne*. A jednak nie grała lepiej jak wprzód, grała nawet gorzej, kompozycja była trudniejsza, w rękach odzwyczajonych od gry uczuwać zaczęła ból i zeszywnienie, — *Elle touche faux, Mame! he! he! comme elle touche faux*, zawołała znowu francuzka strzelając śmiejącymi się oczami i zgrabne stopy opierając na pobliskim fotelu. — *Chut, je vous en prie, M-lle Delphine!* powtórzyła gospodyni domu z lekkim niezadowoleniem wzruszając ramionami.

Marta wstała od fortepianu. Rumieńce jej lekkie wprzód przemieniły się teraz w purpurowe plamy, oczy błyszczały połyskiem silnego wzruszenia. Stało się! z dłoni jej wypadło jedno z narzędzi na jakie rachowała, jedna z nici mogących prowadzić ją ku zarobkowi urwała się stanowczo. Wiedziała już teraz że lekcyi muzyki otrzymać nie może; nie spuściła oczu i pewnym krokiem przystąpiła do stołu przy którym siedziały dwie obecne w pokoju kobiety.

— Nie miałam nigdy talentu do muzyki, zaczęła głosem dość cichym ale nie stłumionym i nie drżącym, uczyłam się jej przecież przez lat dziewięć ale do czego się nie ma zdolności to zapomina się łatwo.

Przytem przez pięć lat po zamążpójściu nie grywałam wcale.

Mówiła to z lekkim uśmiechem. Utkwione w nią spojrzenie bystrych czarnych oczów francuzki ciążyły jej dotkliwie, lękała się urzec w nich litość lub szyderstwo. Ale francuzka nie zrozumiawszy słów Marty wymówionych po polsku, ziewnęła szeroko i głośno.

— Eh bien! Mame! zwróciła się do gospodyni domu, skończ pani ze mną; mam do powiedzenia kilka słów tylko. Kiedy hrabina przyjedzie?

— Za dni kilka.

— Pisałaś pani do niej o warunkach jakie położyłam?

— Tak; i pani hrabina przyjęła je.

— Więc moje czterysta rubli są pewnemi?

— Najzupełniej.

— I małą siostrzenicę moją będę mogła mieć przy sobie?

— Tak.

— I będę miała osobny pokój, osobną służbę, konie do przejażdżki kiedy zechcę i dwa miesiące wakacyi?

— Na wszystkie warunki te zgodziła się pani hrabina.

— To dobrze; powstając rzekła francuzka, za kilka dni przyjdę dowiedzieć się znowu o przyjeździe pani hrabiny. Jeżeli jednak za tydzień nie przyjedzie lub nie przyśle po mnie, zerwę umowę. Czekać dłużej nie chcę i nie potrzebuję. Mogę mieć miejsce podobnych dziesięć. Bon jour, Madame.

Kiwnęła głową gospodyni domu, Marcie i odeszła. U progu nasunęła na głowę pasowy kapiszon i otwierając drzwi zanuciła fałszywie francuzką piosenkę. Marta po raz pierwszy w życiu uczyła coś nakształt zazdrości. •Stuchając rozmowy francuzkiej guwernantki z właścicielką bióra, myślała: czterysta rubli i pozwolenie za'rzymania przy sobie małej siostrzenicy, osobny pokój, sługa, konie, długie wakacje! Boże mój! ileż to warunków, jakże szczęśliwą światną jest pozycja tej kobiety, która jednak nie wydaje się ani bardzo ukształconą, ani wielce pociągającą! Gdyby mi przyrzeczono czterysta rubli rocznie i pozwolono mieć Jancię przy sobie...

— Pani! ozwała się głośno, rada byłabym otrzymać stałą jaką posadę.

Żmińska namyśliła się chwilę.

— Nie jest to zupełnie niepodobnem, ale nie jest także i łatwem, a do tego wątpię, aby dla pani było korzystnem. Spodziewam się iż pani uznasz, że w stosunkach z osobami udającemi się do mnie otwartość jest moim obowiązkiem. Z francuzczyzną pani niezłą a'e nie zupełnie paryską, z małym, żadnem prawie ukształceniem muzycznym, mogłabyś pani zostać nauczycielką tylko na początki.

— Co znaczy? z bijącym sercem zapytała Marta.

— Co znaczy że otrzymywałabyś pani 600; 800 najwyżej 1,000 złotych rocznie.

Marta nie namyślała się ani chwili.

— Zgodziłabym się na tę zapłatę, rzekła, gdyby przyjęto mię wraz z małą moją córeczką.

Oczy Ludwiki Żmińskiej wyrażające przed chwilą nadzieją budzący namysł ochłody.— **A!** wymówiła, pani nie jesteś więc samą, masz dziecko...

— Czteroletnią dziewczynkę łagodną, spokojną, która nikomu nie wyrządziłaby nigdy przykrości żadnej..

— Wierzę, rzekła Żmińska, a jednak nie mogę udzielić pani najmniejszej nadziei otrzymania miejsca wraz z dzieckiem.

Marta patrzyła na mówiącą ze zdziwieniem.

— Pani, wymówiła po chwili, osobę która tylko co stąd odeszła przyjęto przecież wraz z małą jej krewną... i tyłu... tyłu innymi warunkami. Czy jest ona tak wysoce wykształconą?

— Nie, odpowiedziała Żmińska, wykształcenie jej nie przechodzi granic mierności; ale jest ona cudzoziemką.

Po ustach surowej właścicielki bióra, po raz pierwszy w ciągu rozmowy przewinął się uśmiech, a zimne jej oczy spojrzały w twarz Marty z wyrazem który zdawał się mówić: „jako! nie wiedziałaś więc o tem? Zkądże przybywasz?“

Marta przybywała z rodzinnej wioski kędy róże kwitły i słowiki śpiewały, z ładnego mieszkanka przy Granicznej ulicy położonego, kędy były cztery ściany ustrojone, ogrzane, dokoła świat przed oczami jej zasłaniające; przybyła ona z krainy w której pa-

nują najprzód naiwność i nieświadomość dziewczycy, potem wesołość i nieświadomość młodej męzkatki przybywała ona z tego kręgu żywotów ludzkich, w którym niewiasta spuszcza oczy a więc nic nie widzi, nie zapytuje o nic a więc o niczem nie wie... Nie wiedziała lub mimochodem, przelotnie zaledwie zasłyszała była coś o tem, że co wolno Jowiszowi tego nie wolno wołowi. Oczy Ludwiki Żmińskiej zimne ale rozumne, z błędzącą w źrenicach ironiją w tej chwili na nią spoglądające, mówiły jej: tamta kobieta w pąsowym kapiszonie, ostro mówiąca, głośno wykrzykująca, stopy na krzesło zakładająca jest Jowiszem, ty biedna istota, trywialnie urodzona na tej samej ziemi, na której rodzą się wszystkie matki wszystkich naszych dzieci, jesteś wołem.

— Gdybyś się pani rozstać mogła ze swą córeczką, gdybyś umieściła ją gdziekolwiek, bardzo być może iż znalazłabyś dla siebie miejsce z tysiącem złotych rocznie.

— Nigdy! splatając ręce zawołała Marta, nigdy nie rozstanę się z mojem dzieckiem, nie oddam go w ręce obce... Jest ono wszystkim co pozostało mi na ziemi...

Wykrzyk ten przemocą wydarł się z piersi matki, ale Marta pojęła szybko niestosowność jego i bezużyteczność. Uczyniła nad sobą wysilenie i spokojnie mówić zaczęła.

— Skoro więc nie mogę mieć nadziei otrzyma-

nia posady stałej, racz pani dostarczyć mi lekcyi prywatnych...

— Lekcyi francuzkiego języka? wtrąciła gospodyni domu.

— Tak pani; i innych przedmiotów także, jak naprzykład: jeografii, historyi powszechnej, historyi literatury polskiej... uczyłam się kiedyś tego wszystkiego, potem czytywałam niezbyt wiele wprawdzie, zawsze jednak trochę czytywałam. Pracując nad sobą dopełniłabym moich wiadomości...

— Na nic by się to pani nie przydało, przerwała Żmińska.

— Jak to pani?

— Tak, bo ani ja ani żadna z właścicielek biur informacyjnych, nie mogłybyśmy sumiennie przyrzekać pani lekcyi wspomnionych przez panią nauk...

Marta szeroko otwartemi oczami spoglądała na mówiącą kobietę; ta po krótkiej chwili przestanku dodała.

— Ponieważ zajmują się niemi wyłącznie prawie mężczyźni.

— Mężczyźni, wyjąkała Marta, dla czego wyłącznie mężczyźni?

Żmińska podniosła na młodą kobietę oczy, które mówiły znowu: skądże przybywasz? głośno zaś rzekła...

— Dla tego zapewne że mężczyźni są mężczyznami. Marta przybywała z krainy błogiej nieświadomości niewieściej, zamyśliła się więc przez chwilę

nad wyrazami właścicielki bióra. Po raz pierwszy w życiu zawikłania i zagadnienia społeczne jawiły się przed jej oczami, mętne, niewyraźne: splątane ich zarysy wywierając na nią bezwiedne dolegliwe wrażenie, nie nauczyły ją przecież niczego.

— Pani, odezwała się po chwili, zdaje mi się iż zrozumiałam dla czego mężczyźni więcej pożądanymi są gdy idzie o nauczanie; posiadają oni wykształcenie wyższe, gruntowniejsze niż kobiety.., tak ale, względ ten może mieć miejsce tam tylko, gdzie nauczanie przybiera szerokie już rozmiary, gdzie wiedza nauczyciela powinna być tak obszerną i gruntowną, aby odpowiedzieć potrzebom dojrzewającego już umysłu uczucia. Ale ja pani nie roszczyć tak wysokich pretensji. Chciałabym nauczać początków historii, jeografji, historii piśmiennictwa naszego...

— Początków tych ucząją, zazwyczaj także mężczyźni... przerwała Żmińska.

— Wtedy zapewne kiedy idzie o dawanie lekcji chłopcom, wtrąciła Marta.

— I dziewczętom także, dokończyła właścicielka informac yjnego bióra.

Marta zamyśliła się znowu.

— A więc, rzekła po chwili, cóż w dziedzinie nauczycielstwa pozostaje kobietom?..

— Języki, talenta...

Oczy Marty zaświeciły nadzieją. Ostatni wyraz Żmińskiej przypomniał jej jedno jeszcze narzędzie zdobywcze o którym dotąd nie myślała.

— Talenta, wymówiła z pośpiechem, a więc nie tylko przecież muzyka... ja uczyłam się rysować... chwalono nawet kiedyś moje rysunki.

Na twarzy Żmińskiej osiadł znowu wyraz obiecującego namysłu.

— Zapewne, rzekła, umiejętność rysunku może się pani na coś przydać, daleko mniej jednak niżby się przydała biegłość w muzyce...

— Dla czego, pani?

— Dla tego zapewne, że rysunek jest cichy a muzyka głośna.... W każdym razie, dodała Żmińska, przynieś mi pani próby swego rysunku. Jeżeli jesteś w nim pani bardzo biegła, jeżeli potrafisz wyrysować coś coby oznajmiało talent wielki i wysoko ukształcony, będę mogła znaleźć dla pani jedną lub dwie lekcye...

— Bardzo biegłą w rysunku nie jestem, odparła Marta; nie zdaje mi się też aby talent mój do rysowania był wielkim, ukształcenie zaś jakie w nim posiadam nie może wcale nazwać się wysokiem. Znam przecież rysunek o tyle abym początkowych prawideł jego nauczać mogła.

— W takim razie nie przyrzekam pani początkowych lekcji rysunku, spokojnie krzyżując ręce na piersi rzekła Żmińska. Ale dłonie Marty splatały się coraz silniej pod wpływem coraz przykrzejszego uczucia.

— Dla czego, pani? szepnęła młoda kobieta.

— Dla tego że udzielają ich mężczyźni, odrzekła właścicielka bióra.

Marta pochyliła głowę na piersi i tym razem przesiadziała, że dwie minuty w głębokiem pogrążona zamyśleniu.

— Przebacz pani, wymówiła po chwili podnosząc twarz na której malował się wyraz dręczącego niepokoj, przebacz pani że tak długo zajmuję ją naszą rozmową. Jestem kobietą niedoświadczoną, za mało może dotąd zwracałam uwagi na stosunki ludzkie na porządek spraw które nie tyczyły się mnie osobiście. Nie rozumiem wszystkiego o czem mi pani polwiadasz, rozsądek mój, a zdawało mi się że go mam, sprzecza się z temi licznemi niemożnościami jakie mi pani wskazujesz, bo nie dostrzega jakie mogłyby być ich przyczyny. Otrzymanie pracy, jaknajwiększej ilości pracy, jest dla mnie więcej niż kwestją życia i śmierci, bo kwestja życia a potem i wychowania mego dziecka.... Myśli moje wikłają się.... pragnęłabym słusznie sądzić o rzeczach, zrozumieć... ale... nie mogę.. nie rozumiem...

Gdy Marta mówiła te słowa, właścicielka bióra patrzyła na nią zrazu obojętnie, potem bacznie i ze skupioną uwagą, potem jeszcze chłodne oczy jej rozgrzały się cieplejszem światłem. Spuściła szybko wzrok i chwilę milczała, po surowem czole jej przesunęło się parę ruchomych zmarszczek, smutny uśmiech owinął na chwilę obojętne zwykle usta. Urzędowa powłoka, którą okrywała się właścicielka

informacyjnego bióra nie opadła z niej całkiem, ale stała się przezroczysta; można było teraz dostrzec z za niej kobietę, która przypominała sobie nie jedną kartę z własnego życia, nie jeden obraz z życia innych kobiet. Podniosła z wolna głowę i spotkała spojrzeniem utkwione w nią, głębokie w tej chwili, błyszczące i niespokojne oczy Marty.

— Nie pani pierwsza, zaczęła głosem mniej suchym niż dotąd mówiła, nie pani pierwsza przemawiasz do mnie w ten sposób. Od lat ośmiu, to jest od czasu w którym stanęłam na czele zakładu tego, przychodzą tu wciąż kobiety różnych wieków, stanów, uzdolnień, rozmawiają ze mną i mówią: nie rozumiemy! Ja, rozumiem to czego one nie rozumieją, gdyż wiele widziałam i niemniej doświadczyłam sama.

Tłomaczenia jednak rzeczy dla niedoświadczonych ciemnych i niezrozumiałych nie podejmuję się, wytłomaczają je każdemu dostatecznie walki niezbędne zawody nieuniknione, fakty jasne jak dzień i zarazem ponure jak noc.

Gorzka jakaś ironja przebrzmiewała w głosie niemłodej kobiety o surowych rysach, gdy wymawiała te wyrazy. Oczy jej spoczywały wciąż na bladej już teraz twarzy Marty, było w ich głębi nieco tego współczucia z jakim człowiek, dojrzały, znający dobrze ciemne strony życia, spogląda na naiwne dziecię które całe je ma jeszcze przed sobą. Marta milczała. Powiedziała przed chwilą prawdę: myśli

wikłały się w jej głowie, nie mogąc żadnym wyrazem objąć tego, co przedstawiło się nagle jej wyobraźni, obległo jej rozwagę. Jedną tylko rzecz spostrzegła jasno i wyraźnie: spostrzegła że praca nie jest wcale przedmiotem takim, po który człowiek, po który mianowicie kobieta schyliłby się tylko potrzebowała aby go osiąść. I jeszcze jedną rzecz widziała jasno i wyraźnie, białą twarzą Janci i wielkie czarne oczy dziecięcia, których wzrok bódt serce jej jak nieustanne, natarczywe przypomnienie jakiejś wielkiej, gwałtownej, nieodegnanej potrzeby...

— Daremnie pani łamiesz się z myślami swemi, ciągnęła po chwili Ludwika Żmińska, nie one ci nie powiedzą bo nie żyłaś dotąd wśród świata rzeczywistego, miałaś swój świat marzeń panieńskich na przód, uczuć rodzinnych potem, co było po za tem to cię nie obchodziło. Nie znasz świata choć przeżyłaś na nim lat dwadzieścia kilka, tak jak nie umiesz grać choć uczyłaś się muzyki lat dziewięć. Otóż fakty które ze wszech stron panią otoczą i własnym życiem twem rządzić będą, nauczą cię świata ludzi, społeczeństwa. Co do mnie to tylko powiedzieć chcę, mogę i powinnam. W społeczeństwie naszym pani, taka tylko kobieta zdobyć sobie może zarobek dla życia dostateczny i los swój od wielkich cierpień i nędz ochronić, która posiada wysokie udoskonalenie w jakiegokolwiek umiejętności lub prawdziwy jaki i energiczny talent.

Wszelkie początkowe wiadomości i mierne uzdol-

nienia nie zdobywają, nie wcale, albo co najwięcej zdobywają suchy i twardy kęs chleba rozmoczony chyba w łzach i okraszony — upokorzeniami. Środek a tu nie ma kobieta musi w jakimkolwiek dziale pracy być doskonałą, doskonałością tą wyrobić sobie imię, rozgłos a więc wziętość. Jednym, dwoma stopniami stojąc niżej w umiejętności, talencie, wszystko ma przeciwko sobie — za sobą, nie ma nic.

Marta słów tych słuchała z chciwością, ale im dłużej słuchała tem więcej stawało się widocznem, że i do jej głowy takie napływają myśli, na usta tłoczą się wyrazy.

— Pani! wymówiła, czyliż wszyscy mężczyźni także muszą osiąść doskonałość jakąś, aby zdobyć sobie byt wolny od wielkich cierpień i nędzy?

Żmińska zaśmiała się z cicha.

— Sąż, rzekła, doskonałymi w jakiejkolwiek umiejętności, kancelliści kopijujący po biurach cudze pisma, sklepowi subjekci, metrowie uczący początków jeografii, historii, rysunków itd?

— A więc, zawołała Marta z niezwykłym sobie uniesieniem, a więc przebacz pani że raz jeszcze powtórzę: dla czego, dla czego pole pracy otwarte dla jednych od początku do końca, mierzy się innym na piędzie i cale? Dla czego brat mój gdybym go miała, mógłby udzielać lekcji rysunku tyleż co ja mając talentu i uzdolnienia, a ja nie mogę? Dla czego mógłby kopijować po biurach cudze pisma a ja nie mogę? Dla czego jemu pozwolonom by było zużytkować dla

siebie i swoich wszystko, wszystko cokolwiek by posiadał w zasobach swego umysłu, a ja nic więcej zużytkować nie mogę jak grę na fortepianie do której nie mam zdolności, i znajomość obcych języków którą posiadam w niskim stopniu?

Marta mówiła to ustami drżącymi, oczy i policzki jej zapadały. Nie była świetną damą na aksamitnej sofie salonu snującą dowcipną gawędkę o równouprawnieniu kobiet, ani teoretykiem w czterech ścianach gabinetu ważącym i mierzącym mózg mężki i kobiety w celu wynalezienia pomiędzy nimi podobieństw i różnic. Pytania cisnące się na jej usta były pytaniami które targały serce matki, rozpałały głowę kobiety ubogiej, wysuwały się przed nią jak puklerz zasłaniający od — śmierci głodowej!

Żmińska wzruszyła lekko ramionami i rzekła z wolna,

— Powtórzyłaś pani wiele rzeczy: dla czego? Nie formułując kategorycznej odpowiedzi powiem pani, iż dla tego zapewne najbardziej i przede wszystkim, że mężczyźni są głowami domów, ojcami rodzin.

Marta patrzyła w mówiącą kobietę jak w tęczę.

Silne połyski oczu jej wywołane przed chwilą ciekawością myśli i gwałtem uczuć, kryły się za dwoma łzami, które wypłynęły z pod powiek i oszklify źrenice. Ręce jej splotły się jakby mimowoli.

— Pani, wymówiła, i ja także jestem matką.

Ludwika Żmińska powstała. W przedpokoju ozwał się dzwonek zwiastujący przybycie nowej ja-

kiejś osoby, właścicielka bióra zmierzała do ukończenia rozmowy z młodą wdową.

— Uczynię wszystko co będę mogła aby znaleźć dla pani odpowiednie zajęcie; nie spodziewaj się pani jednak otrzymać je prędko. W ogóle, w dziedzinie nauczycielstwa ofiara pracy przewyższa o wiele jej żądanie. Nauczycielki z bardzo wysokiem językowym i artystycznym uzdolnieniem, były pożądanemi i otrzymują świetne stosunkowo posady, takich jest przecież najmniej, za mało nawet w stosunkach do potrzeby: co do początkowego zaś nauczania zajmuje się niem lub zajmować pragnie takie mnóstwo kobiet, że nadmierna ta konkurencya nietylko sprowadza do niesłychanie niskiej cyfry cenę pracy, ale utrudnia, dla większości uniemożliwia zdobycie tej ostatniej!

Powtarzam jednak, że uczynię wszystko co będę mogła aby znaleźć dla pani lekcyę, idzie tu zresztą, tak dobrze o interes pani jak o mój własny. Za dni kilka, za tydzień chciej pani przyjść tu znouwu, a może znajdziesz już jaką wiadomość.

Mówiąc te słowa, właścicielka bióra od stóp do głowy okryta już była urzędowym chłodem i sztywnością, w pokoju bowiem ukazała się nowa postać kobieca.

Marta odeszła. Zstępowała ze wschodów powoli. Nie płakała tak jak owa młoda dziewczyna która przed godziną tę samą przebywała drogę, ale była głęboko zamyślona. Wyszedłszy dopiero na ulicę

oderwała wzrok od ziemi i przyspieszyła kroku. Miała jeszcze dnia tego wiele do uczynienia.

W kamienicy sąsiadującej z tą, w której było jej mieszkanie znajdowała się garkuchnia. Marta weszła do zakładu tego i prosiła o przynoszenie jej obiadów. Przez wzgląd na bliskość miejsca i z warunkiem małej dopłaty, zgodzono się przysłać jej obiady na poddasze przez małego posługacza. Żądano tylko opłaty z góry, która wynosić miała dziesięć złotych tygodniowo, summę wielką dla Marty której majątek cały wynosił niespełna złotych dwieście.

Otwierając pugilaresik który majątek ten mieścił w sobie, Marta uczuła pewien nieokreślony ale dolegliwy niepokój. Uczucie to zwiększyło się w niej jeszcze, gdy wstąpiwszy do mieszkania rządcy domu, wręczyła mu dwadzieścia pięć złotych miesięcznej opłaty za wynajmowanie izdebki i znajdujących się w niej sprzętów. Wprzód jeszcze kupiła w sklepiku z wiktóalami trochę cukru, herbaty, kilka bułek, małą lampkę i trochę nafty. Wszystko to razem o czwartą część zmniejszyło jej majątek.

Żancia zamknięta przez cały ranek w izdebce, wydała okrzyk radości usłyszawszy klucz obracający się w zamku. Rzuciła się na szyję wchodzącej Matki i twarz jej okryła pocałunkami.

Wrażenie chwili jest jedyną mocą silnie działającą na organizację dziecięce. Przyszłość nie istnieje dla ich myśli, przeszłość zaciera się szybko w ich pa-

mięci. Dzień wczorajszy jest już dla dziecka odległą przeszłością, to co było, działo się lub stało przed kilku dniami, znika i rozlewa się przed ich oczami w mgłę zapomnienia. Jancia była wesołą.

Ważki promień słońca wnikający do izby na poddaszu przez małe okienko radował ją, kominiek z okopconą głębią zastanawiał i zaciekawiał, zabierała znajomość z nowymi sprzętami, śmiała się z dwóch krzeseł u których jedna noga krótszą była od trzech innych i porównywała je do kalek staruszków widywanych przez nią na ulicach miasta. Samotność wśród jakiej przepędziła cały ranek, utworzyła w główce jej zapasik myśli, które języczek spragniony mówienia z pośpiesznym i głośnym szczebiotem wypowiadała przed Matką.

Poraz pierwszy wesołość dziecięcia ciężkie wrażenie wywarła na umyśle Marty. Wczoraj gdy Jancia lepiej jeszcze pamiętała o znikłej z przed oczu jej postaci Ojca, kiedy zasmucona utratą ścian wśród których żyła dotąd i wszystkich pięknych rzeczy do których widoku nawykła, z płaczem odmawiała pożywienia, wielkie czarne swe oczy podnosiła na twarz Matki z wyrazem bolesnego błagania i bez świadomego przerażenia, Marta oddałaby wszystko co pozostało jej jeszcze, aby wywołać uśmiech na drobne jej usteczka, rumieniec zdrowia na poblądłe policzki. Dziś srebrny śmiech dziecka napełniał ją nieokreśloną ale ciężką trwogą. Cóż więc zmieniło się w jej położeniu? Była samotną jak wczoraj, ubogą

jak wczoraj, ale pomiędzy wczoraj i dziś stał ów ranek probierczy, w którym po raz pierwszy w świat nieznany, ściślej niż kiedykolwiek porachowała się sama z sobą. Wczoraj była pewną, że nim doba upłynie będzie już posiadała w ręku swem możność pracowania i obrachowania się ze spodziewanym zarobkiem, mającym pewne określone zarysy nadać jej przyszłości. Doba upłynęła a przyszłość pozostała nieokreśloną. Kazano jej czekać nie oznaczając nawet czasu oczekiwania, czekać na coś co w każdym razie będzie musiało być bardzo drobnem.

— Jakże byłam niedoświadczoną myśląc, iż oczekiwać nie będę potrzebowała, jakże byłam nierozumną, spodziewając się od siebie samej rzeczy wielkich!

Tak myślała Marta stojąc wieczorem u okna, za którym wisało czarne niebo jesienne i wielkie miasto gwarzyło nieustannie.

— Co za natłok! wszystkie stany, wieki, narodowości cisną się tam kędy ja iść zamierzyłam! Czy utworzę sobie drogę wśród tego tłumu, i czem utworzę skoro tak małe, po siadam narzędzia do walki! A jeżeli nie wpuszczą, mię wcale na drogę tę, jeżeli upłynie tydzień, dwa, miesiąc a ja nie znajdę zarobku?

Na myśl tę zimny dreszcz przebiegł po ciele Marty. Odwróciła głowę szybko i ogarnęła uspioną główkę Janci takim wzrokiem, jakby się o nią nagle przełękała, jakby nagle ujrzała wiszące nad nią, groźne jakieś niebezpieczeństwo.

Brzydki to był, szary, dżdżysty, błotnisty dzień listopadowy, w którym Marta bardzo pośpiesznym krokiem dążyła z ulicy Długiej na Piwną, z bióra informacyjnego do domu. Obłoki płakały ale twarz młodej kobiety jaśniała. Ludzie osłaniali się przed deszczem parasolami, przed chłodem płaszczami, ale ona nie osłaniając się niczem, obojętna na dokuczliwość natury tak jak obojętną byłaby zapewne w tej chwili na jej pieśszoty, biegła lekko po zблоconych chodnikach, z głową podniesioną, ze wzrokiem błyszczącym.

Nigdy jeszcze odkąd na wysokiem zamieszkała poddaszu, przebycie wązkich, brudnych, ciemnych, trzypiętrowych wschodów, nie przyszło jej z taką łatwością; uśmiechała się wydostając z kieszeni klucz ciężki i zardzewiały, z uśmiechem przestąpiła, przeskoczyła niemal próg izby, przyklekła, otworzyła ramiona i milcząc przycisnęła mocno do piersi czarnookie dziecko, które z krzykiem radości rzuciło się na jej spotkanie. Przyłgnęła ustami do czoła dziewczynki.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu, Janciu! szepnęła, chciała coś więcej powiedzieć, nie mogła: dwie łzy spłynęły na uśmiechnione jej usta.

— Czego ty mamó śmiejesz się? Czego ty płaczesz? zaszczębiotała Jancia drobnemi rączkami muskając rozpalone policzki matki.

Marta nie odpowiedziała; zerwała się z ziemi i spojrziała w czarną głębią komina. Teraz do-

piero uczuła że była zmokniętą, że w izbie było zimno.

— Możemy dziś sobie ogień rozpalić na kominku, rzekła biorąc z za pieca jedyną znajdującą się tam wiązkę drzewa.

Jancia poskoczyła z radości.

— Ogień! ogień! wołała, ja lubię ogień mamó! Tak dawno nie zapalałaś już go na kominku!

Kiedy żółte płomienie strzeliły do góry, gorącym b'askiem napełniły czarną głąb komina i falę przyjemnego ciepła rozlały po izbie, Marta usiadła przed ogniem i wzięła dziecię swe na kolana.

— Janciu! rzekła pochyłając się ku bladej twarzy; jesteś małą jeszcze dzieciną, ale powinnaś zrozumieć już to co ci powiem.

Mama twoja była bardzo, bardzo biedną, bardzo smutną. Wydała wszystkie swoje pieniądze, i za kilka dni nie miałyby już za co kupić ani obiadu dla ciebie i dla siebie, ani drewek do zapalenia w piecu. Dziś dano Mamie twojej robotę za którą jej zapłacą... Dla tego przychodząc mówiłam ci, abys podziękowała Bogu, dla tego rozpalilam ten piękny ogień, aby nam było dziś ciepło i wesoło...

Marta otrzymała w istocie robotę. Po miesiącu oczekiwania, po kilkunastu bezowocnych wycieczkach do informacyjnego bióra, Ludwika Żmińska oświadczyła młodej kobiecie, iż otrzymała dla niej lekcją francuzkiego języka. Zarobek ów pół rubla codziennie wynosić mający, wydał się Marcie otwo-

rzoną przed nią kopalnią bogactw. W tej samej izbie, w której mieszkała teraz, również oszczędnie, oszczędniej może niż dotąd opędzając swe potrzeby, z zasobem tym żyć mogła z dzieckiem. Żyć mogła! Dwa te wyrazy znaczyły wiele dla kobiety, która w przeddzień jeszcze otrzymania pomyslniej tej wiadomości dowiadywała się gdzie i komu sprzedać można zbywającą częśćkę odzieży.

Do tego jeszcze, pierwszy błysk pomyślności oświecił perspektywę z lepszą przyszłością u końca. Jeżeli, rzekła Żmińska, w domu do którego cię wprowadzam, zdobędziesz sobie imię nauczycielki sumiennej i umiejętnej, bardzo być może iż lekcye jej zażądaniem będą przez wiele innych. Wtedy otrzymasz pani prawo nietylko wyboru, ale wymagania warunków zyskowniejszych nad te, który ci teraz ofiarowanemi został y.

Były to słowa któremi Ludwika Żmińska zakończyła rozmowę z młodą wdową. W głowie Marty uwięzły głęboko dwa wyrazy: „sumienną i umiejętną.”

Pierwszy z dwóch tych wyrazów nie budził w niej najlżejszej obawy ni wątpliwości, drugi nie wiedziała sama dla czego, odpychała od siebie; pragnęła o nim zapomnieć, niby o czemś co zmącić jej mogło pierwszą oddawna chwilę uspokojenia.

O naznaczonej godzinie Marta wchodziła do jednego z mieszkań przy ulicy Ś-to Jerskiej położonych. W pięknym, smacownie i dość kosztownie urządzi-

nym saloniku, spotkała ją kobieta młoda jeszcze, bardzo ładna, bardzo ładnie ubrana, prawdziwy typ Warszawianki, z układem żywym i pełnym wdzięku, z twarzą oświetloną wyrazem bystrego pojęcia, z mową prędką, ożywioną i wytworną. Była to żona jednego z głośniejszych literatów miejscowych, pani Marya Rudzińska. Tuż za nią wbiegła do saloniku dwunastoletnia dziewczynka, śmiejąca się, błyskająca pojętnymi oczami, powiewająca króciutką, ozdobną według ostatniej mody sporządzoną sukienką, i ciągnąca za sobą długi pąsowy sznur, z którym przed chwilą odbywała zapewne po wygodnem i obszernem mieszkaniu swych rodziców, gimnastyczne ćwiczenia.

— Panią Martę Świcką zapewne mam przyjemność widzieć, przemówiła gospodyni domu wyciągając jedną rękę ku przybywającej, drugą wskazując jej jeden z fotelów przy kanapie stojących. Pani Żmińska mówiła mi wczoraj wiele o pani, szczerze więc cieszę się że ją poznaję. Przedstawiam pani moją córkę a przyszlą jej uczennicę. Jadwisiu! Ta pani jest tak dobra, że chce dawać ci lekcyje francuzkiego języka, pamiętaj abyś nie sprawiała jej najmniejszego zmartwienia i uczyła się tak dobrze, jak przy pannie Dupont!

Dziewczynka ze smukłą i giętką kibicią, z fizio-nomiją pełną swobody i pojętności, bez najmniejszego zmieszania, ukłoniła się przyszłej nauczycielce swej bardzo zgrabnie.

W tój samej chwili w przedpokoju ozwał się dzwonek; do salonu jednak nikt nie wszedł, tylko po kilkunastu sekundach portyera całkiem prawie przysłaniająca drzwi sąsiedniego pokoju, poruszyła się i w szczelinie utworzonej pomiędzy ciężkimi fałdami paśowej materji, ukazała się para czarnych jak węgiel ognistych oczu, należących widocznie do twarzy męskiej, bo po nad nią widać też było kawałek śniadego czoła, z gęstą, czarną krótko przyszczyżoną fryzurą, a poniżej ukazywał się rożek czarnej sterczącej bródki. Wszystko to jednak zaledwie było widocznem wśród gęstych załomów materji, a pozostało zupełnie niewidzialnem dla osób rozmawiających w salonie, profilem do drzwi zwróconych.

Gospodyni domu ciągnęła dalej rozmowę swą z Martą.

— Ostatnia nauczycielka córki mojej, panna Dupont, uczyła bardzo dobrze i Jadzia czyniła przy niej znaczne postępy. Mąż mój przecież sądził i mnie o tem przekonał, że niezupełnie dobrze było z naszej strony, dawać sposobność pracowaniu cudzoziemce wtedy, gdy naokoło nas tyle znajduje się najzacniejszych kobiet miejscowych, tak usilnie poszukujących pracy i z taką trudności ją znajdujących. Do wszystkich zresztą nauczycieli którzy kształcą umysł naszej córki tak ja, jak mąż mój zanosimy jedyną prośbę, aby nauczanie było gruntowne, szerokie, wyczerpujące, aby obejmowało wszystkie gałęzie danego przedmiotu tak, iżby dziecko nasze

mogło kiedyś władać nim i mieć go w zupełnem swem posiadaniu.

Marta skłoniła się w milczeniu i powstała. — Jeżeli Pani od dziś już rozpocząć raczysz lekcye... rzekła gospodyni domu powstając także, i uprzejmym gestem wskazując drzwi z portyera z za której wraz z powstaniem dwóch kobiet, zniknęła para oczu, wąsiki i bródka, oto jest gabinet przeznaczony do nauki dla mojej córki.

Gabinet skromniej był urządzony niż salon, panowały w nim przecież dobry smak i wygoda. Pod jedną ze ścian stał duży stół zielonym sukniem okryty, pełen książek, zeszytów i przyborów do pisania. Jadzia czuła się tu już u siebie i podnosząc ładne oczy na twarz przyszłej nauczycielki, z poważną miną przybliżyła do stołu wygodny fotel, i położyła przed nim kilka książek i sporą ilość grubych zeszytów...

Marta jednak nie zaraz usiadła. Twarz jej która po upłynionym świeżo miesiącu oczekiwania, chudsza i bledsza była niż przed tem, okryła się w tej chwili wyrazem głębokiego zamyślenia, powieki w dół opadły, ręce któremi objęła krawędź stołu drżały nieco. Stała tak parę minut, z nieruchomą twarzą i postawą. Można by rzec, że rozmyślała nad tylko co usłyszanemi słowami matki swej uczennicy, albo sama sobie zadawała pytanie jakieś, odpowiedzi na nie szukając w rozumie swym lub sumieniu. Gdy podniosła wzrok, spotkała się oczami

z utkwionem w nią spojrzeniem gospodyni domu. Spojrzenie to opłynęło przez chwilę od stóp do głowy, smukłą, delikatną, wytwornie piękną postać nowej nauczycielki. Zatrzymało się przydłużej na szerokiej białej taśmie, żalobną pręgą okalającej czarną jej suknię, i spoczywało teraz na bladej, zamyślanej jej twarzy z wyrazem współczucia i trochę ciekawości.

— Pani nosisz żałobę; zniżonym łagodnym głosem wymówiła Marya Rudzińska, po matce może lub po ojcu...

— Po mężu, wyrzekła Marta z cicha, a powieki jej znowu w dół opadły zwolna i ciężko.

— Pani więc jesteś wdową! zawołała Marya a w głosie jej brzmiał ten żal, ta trwoga jakich kobieta szczęśliwa w małżeństwie doświadcza, ilekroć słyszy że ktoś podobne szczęście utracił, a więc że i jej własne wiekuistym zapewne nie jest; i może... może pani masz dzieci?..

Tym razem Marta podniosła wzrok w którym żywe zadrgały światła.

— Mam córkę, pani! odrzekła, a jakby wyraz ten uderzył ją nagłem jakimś, nakazującym przypomnieniem, usiadła na podanym jej przed chwilę fotelu i rękami które jeszcze drżały trochę, zaczęła jedną po drugiej otwierać złożone przed nią książki. Z książek tych Marta dorozumiewać się mogła, że dwunastoletnia Jadzia wiele już uczyła się i daleko zaszła w nauce; o wysokiej znajomości języka jaką

posiadała przeszła nauczycielka dziewczynki, świadczyło tu i owdzie rozsypane po zeszytach pismo biegle, przełamujące z widoczną łatwością największe trudności językowe, wnikające w grunt i subtelne odcienia przedmiotu. Marta powiodła dłonią po oczach, jakby wzrok sobie rozjaśnić lub myśl jakąś natrętną odpędzić od siebie chciała. i zamykając kajety i książki zadała uczennicy swej, kilka pytań. Marya Rudzińska tymczasem odeszła ku oknu, i wzięwszy do rąk drobną jakąś robótkę, gotowała się usiąść z nią przy małym stoliczku, gdy portyera rozchyliła się nieco i ozwał się z za niej głos mężczy i dźwięczny:

— Kuzynko Maryniu! proszę tu na chwilę!

Marya cicho przebyła pokój, przyjazne spojrzenie raz jeszcze zatrzymała na twarzy nowej nauczycielki swej córki i z cicha zamknęła za sobą drzwi za portyera ukryte, z gabinetu do salonu wiodące.

Na środku salonu stał młody, 26 lat może mężczyzna, szczupły, zgrabny, według ostatniej mody ubrany, ze śniadą, ściągłą twarzą, kruczemi włosami i jak węgiel czarnemi oczami. Powierzchność człowieka tego miłą była, a nawet na pierwszy rzut oka zajmująca. Uderzała w niej przedewszystkiem niezmierna pełność życia swobodnego, wesolego, niecierpliwie jakby rwącego się i kapryśnie wybujałego. Pełność ta życia po bliższej uwadze, wydawała się nawet jego nad miarę. Żrenice młodego

człowieka pałały, migotały, w koło ust na wpół okrytych czarnym wąsikiem, wiły się roje uśmiezków to przymilających się, to figlarnych, to żartobliwych, cała fizyognomja w jednej sekundzie, w jednym mgnieniu oka mieniała się wyrazem dowcipu, żartu. Był to widocznie człowiek wiekuistej wesołości, wiekuistego śmiechu, ale zarazem widać było, że był to człowiek wesołego, o nic nie dbającego życia. To ostatnie objawiało się w zmęczonej nieco cerze jego twarzy, którą uwydatniały z przeciwieństwem młodość całej postaci, ognisty połysk źrenic, dziecinna niemal pustota uśmiechów.

W chwili gdy Marya Rudzińska wchodziła do salonu, postawa młodego człowieka tego była co najmniej osobliwa. Stał on twarzą zwrócony do zamkniętych przez gospodynię domu drzwi gabinetu, z postacią w tył nieco odgiętą, rękami wzniesionymi w górę, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Teatralnej postawie tej, towarzyszył wyraz twarzy oznaczający również teatralne i wielce komicznie wyglądające zachwycenie:

— Olesiu! napominającym tonem wymówiła Marja, cóż to znowu za niedorzeczność?

— Bogini! półgłosem nie zmieniając postawy ni wyrazu twarzy wymówił młody człowiek. Bogini! powtórzył i wzdychając na sposób bohaterów komedyi, opuścił w dół głowę i ręce.

Marya nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Wzruszyła jednak ramionami i z robotą w rękę siadając na sofie, rzekła tonem lekkiej wymówki.

-- Zapomniałeś przywitać się ze mną, Olesiu!

Na te słowa młody człowiek poskoczył, i kilka pocałunków złożył na rękę gospodyni domu.

— Przebacz Maryniu, przebacz! mówił tym samym wciąż co pierwszej patetycznym tonem, byłem tak zachwycony! och!

Usiadł na krześle obok młodej kobiety, i przycisnąwszy dłoń do serca podniósł znowu wzrok na sufit. Marya patrzyła na niego tak jak się patrzy na rozswawolone dziecko.

— Jakież znowu dziwactwo zajechało ci do głowy? spytała po chwili siląc się widocznie na powagę, lecz nie mogąc w zupełności ukryć uśmiechu. Czy to w drodze do mego domu spotkałeś tę nową jakąś boginię, która cię w taki zachwyt pogrążyła? Boję się doprawdy bardzo, aby na cały już dzień nie pozbawiła cię ona rozsądku.

— Okrutna jesteś, Maryniu, z tym twoim rozsądkiem, z nowem westchnieniem wymówił młody człowiek; w twoim to właśnie domu ujrzałem tę piękność...

Przy ostatnim wyrazie z przesadzonym gestem, wskazał na drzwi gabinetu. Marya wydawała się na wpół rozśmieszoną, na wpół zdziwioną.

— Jakto? rzekła, więc to o nowej nauczycielce Jadzi mówisz?

— Tak kuzynko, przybierając nagle poważną minę odparł młody człowiek; mianuję ją królową wszystkich bogiń moich..

— Ale gdzieżeś ją widział wietrzniku?

— Przychodząc do ciebie dowiedziałem się w przedpokoju, że jesteś zajęta rozmową z nową nauczycielką swojej córki. Nie chciałem ci przeszkadzać i wszedłszy drzwiami od kuchni, zajrzałem przez portyerę...

Żart na stronę jednak, mówił dalej, cóż to za piękna osoba! jakie oczy! co za włosy! wzrost królewski!

— Olesiu! z lekką niechęcią przerwała gospodyni domu, jest to widocznie nieszczęśliwa jakaś kobieta; nosi żałobę po mężu...

— Młoda wdówka! podnosząc znowu oczy w górę zawołał młody człowiek; nie wiesz może o tem kuzynko że nie ma na ziemi miłszych istot jak młode wdówki... naturalnie wtedy gdy są ładne... twarz blada, oczy sentymentalne.. uwielbiam blade twarze i sentymentalne oczy u kobiet.

— Bredzisz! wyrzekła Marya wzruszając ramionami, gdybyś nie był moim ciotecznym rodzonym bratem, i gdybym nie wiedziała że pomimo całej twej pustoty jesteś w gruncie dobrym chłopcem, mogłabym znienawidzić cię doprawdy za to dziwne lekceważenie kobiet..

— Lekceważenie! zawołał młody człowiek; ależ

kuzynko, ja uwielbiam kobiety! . Są to boginie serca mego i życia...

— Boginie które liczysz na tuziny.

— Im więcej człowiek ma przedmiotów miłości kuzynko, tem więcej kocha... Są to egzercycye a tylko przez egzercycye serce nabiera téj siły, tego ognia, który...

— Dosyć już tego, Olesiu; z żywą już i widoczną niechęcią przerwała gospodyni domu; wiesz dobrze jak martwi mię kierunek umysłu twego i serca...

— Kuzynko! Kuzyniu! Kuzyneczko! Amen! na Boga powiedz już Amen! zawołał młody człowiek odsuwając się wraz z krzesłem, na którym siedział i składając ręce jak do pacierza; pięknym usteczkom kobiecym nic mniej nie przystoi jak kazanie...

— Gdybym była prawdziwie dobrą siostrą, mówiłabym ci je od rana do wieczora..

— I nic byś dobrego nie uczyniła, siostruniu. Kazanie powinno być krótkiem; przepis wyjęty z praw moralnych, filozoficznych, artystycznych. Oto lepiej opowiedz mi cokolwiek o tej czarnookiej nimfie, która zaprawdę warta jest lepszego losu niż ślęczenie nad twoją Jadzią.

— Oto lepiej, żywo podjęła gospodyni domu, powiedz mi dla czego w tej porze dnia jesteś tutaj?

— I gdzież mam być jeśli nie u stopek twoich, droga kuzynko?

— W biórze, krótko odpowiedziała Marya Ruzdzińska.

Młody człowiek westchnął, ręce załamał i głowę na pierś opuścił.

W biórze! szepnął, o, Maryniu! jakże jesteś okrutną? Czyliż jestem śledziem? powiedz mi, czy naprawdę podobny jestem do śledzia?

Wymawiając te pytania, człowiek wiekuistego śmiechu podniósł głowę i patrzył na gospodynię domu tak szeroko rozwartymi oczami, z tak komycznym wyrazem żalu, obrazy i zdumienia, że Marya nie mogła wstrzymać się od głośnego prawie śmiechu.

Wkrótce jednak powaga zastąpiła u niej chwilowe rozweselenie.

— Nie jesteś śledziem, wyrzekła patrząc na robotę, którą trzymała w ręku z obawy zapewne aby nie zaśmiać się znowu, nie jesteś śledziem; ale jesteś...

— Nie jestem śledziem! zawołał młody człowiek jakby po wielkim przerażeniu oddychając głęboko, dzięki Bogu, nie jestem śledziem! ponieważ zaś nim nie jestem, rzecz prosta iż nie mogę po całych dniach dusić się w biórze jak śledź w beczce...

— Ale jesteś człowiekiem, i powinieneś raz już przecie poważniej zastanowić się nad życiem i jego zadaniami. Możnaż tak zawsze bąki tylko zbijać i za boginiami się upędzać? Żal mi doprawdy twe-

go dobrego serca które masz, i twych zdolności których ci także nie brak. Jeszcze lat parę takiego życia, a staniesz się jednym z tych ludzi bez celu bez zajęcia, bez przyszłości, których i tak już u nas za wiele...

Urwała i z wyrazem prawdziwego smutku spuściła twarz ku robocie. Młody człowiek wyprostował się i wymówił z uroczystością — Amen! kazanie długie było, niemożna mu przecież odmówić pewnej essencji moralnej, w której skąpane serce moje jak w łzach umoczona gąbka, pada do stóp twoich, droga kuzynko!

Olesiu! rzekła powstając gospodyni domu, jesteś dziś nierozsądniejszym jeszcze jak zwykle... nie mogę dłużej rozmawiać z tobą; idź do bióra, a ja pójdę do kuchni.

— Siostruniu! Maryniu! do kuchni! fi donc! c'est mauvais genre! Żona literata do kuchni! mąż jej pi-sze może o poetyczności obowiązującej niewiastę, i ona idzie do kuchni!

Mówiąc to wstał i z wyciągniętymi rękami patrzył na odchodzącą kobietę.

— Siostro! zawołał raz jeszcze, Maryo! ach nie opuszczaj mię!

Marya nia odwróciła się i była już przy drzwiach od przedpokoju. Wtedy młody człowiek poskoczył ku niej i pochwycił jej rękę.

— Czy rozgniewałaś się na mnie Maryniu? Czy

naprawdę rozgniewałaś się na mnie? No, wstydź się! daj pokój! czyż chciałem cię obrazić? Czyż nie wiesz że cię kocham jak rodzeniuteńką, najrodzeńszą siostrę? Maryńku! no spójrzże na mnie! Cóżem winien zem młody! Poprawię się, zobaczysz, niech tylko wprzód postarzeję trochę! Mówiąc to wszystko całował ręce młodej kobiety, a fizyognomija jego mieniła się takim wyrazem połączonych lub szybko po sobie następujących — żalu, pustoty, smutku, czułości, przymilenia, że patrząc na nią można było śmiać się lub odejść wzruszając ramionami, ale gniewać się na to dorosłe dziecko nie było sposobu. To też Marya Rudzińska opierając się chwilę pieścizotom i przeprosinom brata, skończyła na uśmiechu.

— Ileżbym dała za to, abyś ty mógł zmienić się Olesiu...

— Ileżbym dał za to, abym mógł zmienić się, Maryniu! ale ... natura nie sługa, wilka do lasu... ciągnie...

Mówiąc ostatni wyraz skurczył się naksztalt dziecka nieśmiało wyrażającego swe żądanie, i wskazujący palec wyciągnął ku drzwiom od gabinetu.

— Czy znowu, rzekła Marja kładąc dłoń na klamce.

— Ani słowa już więcej nie powiem o czarno-okiej tej bogini, którą jak widzę niby Anioł Stróż osłaniaasz skrzydłami pobożnej opieki! zawołał Oleś

pochwytnąc znowu rękę kuzynki; ale przedstawiś mię jej, siostraniu? Nie prawdaż że przedstawiś?

— Ani myślę o tem, odparła Marja.

— Moja droga! moja miła! moja jedyna! przedstaw mię jęj gdy tu wejdzie! Powiedz: oto jest brat mój, wzór wszystkich przymiotów i doskonałości, chłopak poczciwy...

— I zarazem wielkie nic dobrego!

Z ostatniemi słowami Marja wyszła z salonu. Oleś stał chwilę przy drzwiach jakby niepewny czy ma zostać czy pójść za siostrą, poczem okręcił się na pięcie, stanął przed lustrem, poprawił krawata i fryzury, zanucił piosenkę, przestał nucić, na palcach podszedł ku drzwiom od gabinetu i uchyliwszy portyere ucho przyłożył do drzwi. Za drzwiami słychać było głos małej Jadzi mówiący.

— L'imparfait du subjonctif! zapomnialam jak mam pisać trzecią osobę. Z jakiego czasu pani tworzy się l'imparfait du subjonctif?

Odpowiedź nie zaraz nastąpiła. Słychać było przewracanie kartek książki. Nauczycielka szukała znać w książce odpowiedzi, jaką zmuszona była dać swej uczennicy.

— Du passé défini de l'indicatif, wymówiła po chwili Marta.

Oleś wyprostował się, wznosił oczy w górę i powtórzył zcicha.

— De l'in- di- ca- tif! co za anielski głosik!

W gabinecie panowała znowu cisza. Uczennica zajęta widać była pisaniem i po chwili dopiero o-zwała się.

— Bateau! nie wiem pani jak się pisze *bateau*.
Eau czy *au*?

Odpowiedzi nie było, nauczycielka milczała.

— O! szepnął Oleś, ciężko coś idzie mojej bogini! nie wie podobno co odpowiedzieć na pytanie tej małej mądrali... a może marzy... ach!

Na palcach odszedł od drzwi i stanął przy oknie, zaledwie jednak spojrział przez szyby na dość ludną i ruchliwą ulicę, zawołał.

— Co widzę! panna Malwina! tak rano już na mieście? Biegnę, leczę, pędzę!

Mówiąc to pędził w istocie ku drzwiom, i z wielkim impetem otwierając je, spotkał się oko w oko z Marją, która do salonu wracała.

— Dla Boga, rzekła gospodyni domu cofając się do przedpokoju, dokądże tak pędzisz? Czy do bióra?

— Zobaczyłem przez okno pannę Malwinę, śpiesznie wkładając paltot odpowiedział młody człowiek poszła ku placowi Krasińskich, zapewne do sklepów po sprawunki. Muszę przecież być tam z nią koniecznie...

— Czy obawiasz się, aby panna Malwina nie wydała w sklepach za wiele pieniędzy, jeśli opiekować się nią nie będziesz?...

— Głupstwo pieniądze! ale kawałeczek serca swe-

go zgubić może po drodze. Do widzenia Maryniu...
kłaniaj się ode mnie czarnookiej bogini....

Ostatnie wymawiał już na wschodach.

W niespełna godzinę potem Marta wchodziła do izby swej na poddaszu. Opuszczając ją miała twarz ożywioną, krok lekki, z uśmiechem przyciskała do piersi i całowała w czoło małą córkę, nauczając ją jak w czasie nieobecności jej bawić się ma ze swą lalką i dwoma kalekami krzesłami, służącemi lalce za łóżko i kołyskę; wróciła powolnym krokiem ze spuszczonej oczami i wyrazem ciężkiego zamyślenia na twarzy. Powitalnym wykrzykiem i uściskom dziecka odpowiedziała przelotnym, zaledwie milczącym pocałunkiem. Jancia popatrzyła na matkę swemi wielkimi pojętnymi oczami. Mamo! rzekła otaczając szyję Matki drobnem ramieniem, czy nie dali ci roboty? Nie śmiejesz się już, nie całujesz mię, jesteś znowu taką jaką byłaś wtedy.. wtedy kiedy ci nie dawano roboty.

Dwie te istoty różnych wieków tak zeszyły się ze sobą wśród biedy i osamotnienia, że dziecko z wyrazu twarzy i siły pocałunku odgadywało smutki i niepokoje kobiety. Tym razem jednak Jancia pytała daremnie, matka jej wsparła czoło na dłoni i w tak głębokie zapadła zamyślenie, iż nie słyszała nawet jej głosu. Po chwili jednak Marta powstała.— Nie, rzekła z cicha, tak być nie może! Nauczę się, muszę nauczyć się, muszę umieć! Trzeba mi

książek, dodała i po chwilowym namyśle otworzyła mały tłomoczek, wydobyla zeń jakiś przedmiot, owinęła go chustką i wyszła na miasto. Wróciła przynosząc ze sobą trzy książki. Była to grammatyka francuzka, chrystomatya i przeznaczona do użytku szkół, historia francuzkiego piśmiennictwa.

Wieczorem, w izdebce na poddaszu paliła się mała lampka, a przy niej nad roztwartą książką siedziała Marta. Oparła czoło na dłoniach i pożerała oczami karty książki. Zawile prawidła grammatyczne, tysiączne zagadnienia jednej z najtrudniejszych w świecie pisowni, plątały się przed oczami jej jak pasma powikłanych nici, jak labirynt wskazówek i faktów naukowych nieznanym całkiem lub tak dobrze jak nie znanych bo zapomnianych. Marta skupiała całą moc swego pojęcia, wszystkie siły swej pamięci, aby w ciągu jednego wieczoru, jednej nocy, zrozumieć, zapamiętać, przywłaszczyć sobie to, czego zrozumienie wymaga pracy lat kilku, pracy powolnej, cierpliwej, systematycznej, loicznie prowadzonego, stopniowo zaokrąglanego kursu. Biedna kobieta myślała, że wyteżone, gorączkowe wysilenie wynagrodzić zdoła umysłowi lata zastoju, że drobna chwila obecna zaważy na szali z przeszłością całą i przeważy ją, że pragnienie niezmierne jednoznaczy w życiu z możliwością. Łudziła się. Długo łudzić się jednak nie mogła. Wysilenia jej trawiły się w gorączce, nuży-

ły ciało i ducha, samem swem naprężeniem uniemożliwiały postęp wszelki, chwila obecna na wskroś przejęta dolegliwym niepokojem, niewyraźną jeszcze lecz już gryzącą gorycz sączyła w serce kobiety, która opuszczona przez wszystko na ziemi zaczynała pojmować, iż zawiodła się na samej sobie, że najmniej była przyjazną dla studyów które aby obfite przyniosły owoce, jak ptak dla rozwoju skrzydeł swych powietrza, potrzebują spokoju. Najsilniejsze pragnienie, najgorętsza aspiracya ducha, najgwałtowniejsze porywy woli nie mogły sprawić, aby umysł nieświadomy przejrzał odrazu tajemnice nauki, aby władze pojęcia i pamięci niewyćwiczone gięły się jak delikatne struny, jak błyskawice zakreślały szybkie kręgi, jak wosk rozmiękczony w probierczym ogniu wsiąkały w siebie to, czem je pojono.

Łudzić się długo Marta nie mogła, ale głusząc w sobie rozbiór wszelki całą siłą umysłu swego i woli, upierała się przy myśli: naucz się! tak jak rozbitek walczący z falami morza, całą siłą obu rąk swoich upiera się przy jedynej desce, której wsparcie wlewa mu do głowy myśl: utrzymam się na powierzchni!

Teraz jak wprzód, w ciągu długich jesiennych nocy, nakształt szumiących wichrów huczały i nieskończoną gammą wzdymały się i opadały tajemnicze gwary wielkiego miasta, ale Marta już ich nie słuchała, słuchać lękała się, bo przejmowały ją tą nieokreśloną zgrozą, która ogarnia istotę ludzką uczu-

wajacą bezpomocne zapadanie w żywioł potężny, nieznany, przepaścisty.

Teraz o północnej godzinie chodziła po izbie oświetlonej bladawym płomykiem lampki, z jaskrawymi rumieńcami na policzkach, z opuszczonemi na plecy czarnemi warkoczami, rękami splecionemi z nerwową siłą, z ustami szepczącemi wciąż, szepczącemi wyrazy obce, zaczerpnięte z tej książki, która roztwarta pod promieniem lampy jeżyła się jak kolcami rzędami tysiacych końcówek, znaków, cyfr oznaczających prawidła, nawiasów, wyjątki. Książka ta było owo dzieło Chapsala i Noëla nauczające mnogich tajemnic subtelnej mowy Franków. Wyrazy powtarzane ustami Marty od zmroku do północy, częstokroć od północy do białego świtania, były to owe nudne deklinacje i koniugacje, nad któremi na kuli ziemskiej poziewają codziennie tysiacy dzieci.

Ale Marta nie poziewała. Brzmienia suche i monotonne, ściany szkół napelniające echami nudy, w ustach jej posiadały znacznie tragiczne. Łamała się z nimi i z sobą, z pojęciem swem niewprawnem, z pamięcią niewycwiczoną, z myślą ulatującą gdzieindziej, z niecierpliwością wprawiającą ciało w nerwowe drzenie. Łamała się ze wszystkim co było wkoło niej, nadewszystko z tem co było w niej samej, a z tej walki upornej nie wynosiła nic lub prawie nic.

Postępowała zwolna, bardzo zwolna, dzień jutrzejszy niszczył i w otchłań zapomnienia pogrążał czę-

stokroć to, co z ciężkim mazołem zdobyć zdołała wczoraj: wiedza przybliżała się i cofała, dawała okrucyży pożytku a zabierała ogromy sił i czasu. Marta załamywała ręce, jak posąg nieruchomy, ze skamieniałą twarzą, przesiadywała nad książką godziny całe; wstawała, gorączkowym krokiem przebiegała izbę, piła zimną wodę, zanurzała w niej czoło i oczy, i uczyła się znowu aby nazajutrz obudziwszy się powiedzieć sobie: nie umiem jeszcze nic!

— Czasu! czasu! wołała niekiedy w myśli swej młoda kobieta obrachowując, ile wierszy wyuczyć się może codzien lub stronnic co tydzień. Gdybym miała przed sobą dwa lata, rok, choćby kilka miesięcy czasu!...

Ale czas tak hojny dla niej kiedyś w chwili bezczynności i spoczynku, gnał ją teraz postrachem głodu, chłodu, wstydu, nędzy. Pragnęła na wyłączną własność swą osiąść choćby rok jeden, a jutro nie należało już do niej. Jutro już powinna była umieć wszystko, czego za ledwie rok, szereg lat nauczyć może; powinna była, musiała jeśli nie chciała aby z dłoni jej wypadło narzędzie zarobku. Pora w której kobieta ta rozpoczynała walkę o byt swój i swego dziecka, nie była już dla niej porą do nauki sposobną, a jednak ona uczyła się....

Miesiąc upływał od dnia, w którym młoda wdowa poraz pierwszy wchodziła do ładnego mieszkania przy Ś-to Jerskiej ulicy. Pani tego mieszkania wi-

tała ją, zawsze uprzejmie, przemawiała do niej przyjaźnie, nawet serdecznie ale do serdeczności przyłączał się coraz widoczniejszy odcień milczącego politowania, zakłopotania nawet niekiedy, przymusu powstrzymującego na ustach trudne do wymówienia wyrazy. Mała Jadzia względem nauczycielki swej, zachowywała nieprzerwanie grzeczność dobrze wychowywanego dziecka, ale z ruchliwych, pełnych życia jej oczów, strzelał od czasu żartobliwy promyczek, na świeżych ustach przebiegł uśmieszek figlarny, szybko wprawdzie stłumiony niemniej przecież zdradzający wewnętrzne zadowolenie lub zdumienie uczennicy, podchwytyjącej smutną, tajemnicę nieświadomości swej nauczycielki, mówiącej sobie w duchu: ależ ja więcej umiem od niej!

Nadszedł dzień, w którym Marta otrzymać miała od Matki swej uczennicy zapłatę, za całomiesięczną swą pracę. Marja Rudzińska siedziała w saloniku z robotą w ręku, którą jednak w zamyśleniu opuściła na kolano. Pogodne zwykle czoło szczęśliwej kobiety dnia tego zachmurzone było nieco, piękne oczy jej z wyrazem smutku tkwiły w zamkniętych i portjerą okrytych drzwiach gabinetu.

— Czy można wiedzieć co drogą siostrę moją wprawilo dziś w tak ponure usposobienie? ozwał się przy oknie głos mężki.

Marja zwróciła wzrok w stronę mówiącego.

-- Jestem w istocie bardzo zmartwioną Olesiu,

i proszę cię abyś miał wzgląd na to moje usposobienie i nie niecierpliwił mię żadnemi żartami...

— O! o! o! o! wymówił młody człowiek składając gazetę, którą dotąd twarz sobie przystaniał; co za uroczystość mowy! Cóż się stało? czy artykułu nakreślonego utalentowanym piórem szwagra mego, do druku nie przyjęto? Czy małej Jadzi koniec noska zabolął? Czy melszpejz z jablek nie dopiekl się dostatecznie? Czy... Młody człowiek zadawał pytania te ze zwykłą sobie komiczną emfazą, w głosie, nagle jednak przestał mówić, powstał, zbliżywszy się do siostry usiadł przy niej, i przez chwilę popatrzył jej w twarz z dłuższą, i baczniejszą uwagą, niż można się było spodziewać po tak ruchliwej i rozstrzepanej istocie.

— Nie; wyrzekł po chwili, to nie artykuł i nosek Jadziny i nie melszpajz. Jesteś Maryniu zmartwioną na prawdę, i czemś ważnem... co to takiego?

Ostatnie wyrazy wywócił z prawdziwą czułością w głosie. Wziął przytem rękę siostry i przycisnął ją do ust.

— No, rzekł, patrząc jej w oczy, co to takiego co cię tak martwi? powiedz...

W tej chwili człowiek ten wiekustego śmiechu, wyglądał na chłopaka dobrego i szczerze do siostry swej przywiązanego. To też Marya przyjaźnie nań spojrzała.

— Wiem że masz dobre serce, Olesiu i że s nu-

tek mój martwi cię szczerze. Radabym ci powiedzieć go, ale lękam się wywołać twe żarty.

Oleś wyprostował się i dłoń do serca przyłożył.

— Mów śmiało siostró! wyrzekł, słuchać cię będę z powagą księdza siedzącego w konfesyjonałach i z uczuciem brata, dla którego ty nieraz byłaś dobrym aniołem spowiednikiem... Słuchać cię będą z gotowością na wszystko... jeśli ci się zachciało drzewka śpiewającego lub ptaszka gadającego, pójdę po nie za góry i morza... Jeżeli Jadziunię nóża lub buzia zabolala zwołam wnet wszystkich doktorów jacy tylko w Warszawie śpią i jedzą... jeśli cię kto obraził... wyzwę na pojedynek lub... lub kijem obłożę a że to wszystko zrobię i wykonam, przysięgam na wszystkie piękne oczy wszystkich moich bogiń... na pamięć lat dziecinnych z tobą Maryo spędzonych, na okrzuszone ściany mego bióra i na komórki serca mego, w których jedna z twoją siostró, krew płynie!

Kiedy młody człowiek mówił to wszystko, kameleonowa natura jego okrywała mu twarz i postać tak rozlicznymi i szybko mieniącymi się barwami, pustej trzpiotowatości, serdecznego uczucia, przesadnej emfazy i rzeczywiście gotowości do poświęceń, że Marya czuła widocznie ochotę i do gniewu i do śmiechu i do uściśnienia ręki temu wietrznikowi, który jednak przypominał jej lata dziecinne wspólnie z nim spędzone i jedną krew w ich żyłach płynącą,

— Nie jest to zresztą rzecz tak nadzwyczajnie

ważna, rzekła po chwili wahania się, nie takiego coby wpłynąć mogło na los mój lub bliskich mi osób.

— Ale żal mi strasznie tej biednej kobiety, która w tej chwili jest tam, za temi drzwiami...

— A! więc to o czarnooką boginię chodzi? no! chwala Bogu! odetchnąłem swobodniej... myślałem już doprawdy, że jakie nieszczęście...

— Jest to w istocie nieszczęście, ty!ko nie nas tyżące się ale jój....

— Nieszczęście, doprawdy? no to chyba i ja pożałuję już trochę interessującej tej wdówki. Ale i cóż jój stać się mogło? Czy nieboszczyk mąż przyśnił się? czy...

— Daj pokój z żartami O'lesiu! jest to jak widzę nieszczęśliwsza kobieta niż zrazu sądziłam... biedna a podobno nic nie umie...

Oleś szeroko oczy roztworzył.

— Nic nie umie! i to całe nieszczęście! cha! cha cha! beau malheur ma foi! Taka młoda i ładna....

Umilkł nagle, bo pasowa portyera uchyliła się i do salonu weszła Marta. Weszła, postąpiła parę kroków i stanęła z ręką opartą o poręcz fotelu. Była w tej chwili bardzo piękną. Ciężka jakaś walka, ostatnia może chwila długo w piersi jój toczącej się walki, okryła blade policzki jój żywym rumieńcem; przed minutą lub dwiema w przystępie wielkiej jakiejś boleści, zapuścić musiała ręce w czarną gęstwinę swych włosów, bo dwa ich pasma kru-

cze i kędzierzawe, opadały teraz na czoło jęj głęboką bladością posępnie niemal odbijające od rumieńców opływających policzki. Gdy stanęła z pochyloną nieco głową i nawpół spuszczonei oczami, postawa jęj nie wyrażała ani wahania się ani znużenia, tylko głęboki, ostateczny namysł.

Dość było jednego na nią spojrzenia aby odgadnąć, że ważyła się ona w tęg chwili na cośco posiadało dla nięj wagę ogromną, na krok jakiś którego uczynić nie mogła bez wielkiego wysilenia, bez skupienia wszystkich władz swęj woli. Podniosła nakoniec głowę i postąpiła ku gospodyni domu.

— Lekcyja już ukończona? ozwała się Marya która przy wejściu młodęj wdowy powstała i siliła się na uśmiech swobodny.

— Tak, pani, zniżonym nieco ale pewnym głosem odpowiedziała Marta, skończyłam dzisiejszą lekcyą z panną Jadwigą i przyszłam aby oznajmić pani, że była ona ostatnią. Nie mogę dłużej uczyć córki pani... Na twarzy Maryi Rudzińskiej malowały się: zdziwienie, smutek i zmieszanie. Ostatnie było najsilniejszym. Serce dobrej kobiety, nie pozwoliło jęj w obec dobrowolnego tego zrzeczenia się wymówić słowo o wymówieniu jednak którego myślała sama oddawna.

— Pani nie będziesz już uczyła córki mojęj? wymówiła Marya jākając się, dla czego pani?

— Dla tego, z wolna i cicho odrzekła Marta, dla tego, że nie umiem uczyć.

— Mówiąc to spuściła oczy; rumieniec okrywający jej policzki podniósł się na czoło i okrył twarz całą wyrazem pognębiającego wstydu.

— Omyliłam się na samęj sobie, mówiła dalej; zostając ubogą pojęłam, że pracować powinnam.. widziałam, słyszałam, że ubogie lub zubożałe kobiety, po większej części zostają nauczycielkami... myślałam więc, że i ja także w zawodzie tym znajdę dla siebie pracę i chleb.. Powieziadano mi, że jednego tylko francuzkiego języka nauczać jestem zdolną, sądziłam w istocie, że język ten posiadam, bo mówię nim dość poprawnie i z łatwością. Teraz przekonałam się, że dobre mówienie nie stanowi jeszcze całej znajomości języka, że nigdy nie uczyła się go gruntownie, a tę trochę wiadomości, którą nabyłam w dzieciństwie zapomniałam... Były to nieoderwane, pobieżne, nie dokładnie zrozumiane wiadomości, nie więc dziwnego, że wyszły mi z pamięci. Cudzoziemka która dotąd udzielała lekcyi córce pani była doskonałą nauczycielką... panna Jadwiga daleko więcej umie odemnie....

Umilkła na chwilę jakby potrzebowała na nowo zebrać swe siły. Zarobek jest dla mnie zapewne rzeczą bardzo ważną, rzekła, niemniej jednak gdy przekonałam się, że nie mogę nauczyć się prędko wszystkiego co umieć mi trzeba, pomyślałam iż nie powinnam postępować wbrew memu sumieniu... Wszak zawierając ze mną umowę powiedziałaś mi pani, iż przedewszystkiem i wyłącznie prawie żądasz

od nauczycieli swęj córki, aby nauczanie jęj było szerokie i gruntowne, obejmowało wszystkie gałęzie przedmiotu... ja o nauczaniu takim marzyć nawet nie mogę. . przytem pani byłaś dla mnie tak dobrą, że oprócz nieuczciwości byłabym jeszcze niewdzięczną, gdybym....

Tu Marja nie pozwoliła już nieszczęśliwej kobiecie mówić dłużej. Pochwyciła obie jej ręce i ścisnąjąc je mocno w swych dłoniach rzekła:

— Kochana, droga pani! nie mogę zapewne zaprzeczyć temu co mówisz o sobie samej, ale wierzaj, że bardzo, bardzo mi smutno rozstawać się z panią.. Może przynajmniej mogę ci być w czem użyteczną... mam znajomości, stosunki...

— Pani, rzekła Marta podnosząc oczy, jedynem pragnieniem mojem jest otrzymać możność pracowania...

— Ale jakże, nad czem pracować byś pani chciała i mogła? z pośpiechem zapytała pani domu.

Marta milczała długo.

— Nie wiem, odrzekła w końcu cichym głosem, nie wiem co umiem, czy umiem dobrze cokolwiek?

Przy ostatnich wyrazach powieki jej w dół opadły; w głosie zdrzała głębokie upokorzenie.

— Możebyś pani życzyła sobie udzielać lekcyi muzyki?

Jedna z moich krewnych poszukuje teraz właśnie kogoś, ktoby lekcyę muzyki dawał jej córce.

Marta przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, pani, rzekła, w muzyce dziesięć razy jeszcze słabszą jestem, niż we francuzkim języku.

Marya zamysliła się. Nie wypuszczała jednak ręki Marty ze swych dłoni, jakby obawiała się aby kobieta ta nie odeszła od niej bez otrzymania rady i pomocy.

— Może, ozwała się po chwili, może pani pracowałaś choć trochę nad naukami przyrodniczymi; mąż mój wychowuje młodego chłopaka, któremu trudno idzie w szkołach, dla przygotowania go więc, dla korepetycyi...

— Pani, przerwała Marta, wiadomości moje z dziedziny nauk przyrodniczych tak są pobieżne, że zupełnie prawie żadne...

Zawahała się nieco i po chwili dodała.

— Umiem trochę rysować. Jeśli pani zna kogo k toby potrzebował lekcyi rysunku.....

Marya po chwili namysłu przecząco wstrząsnęła głową.

— Z tem, rzekła, najtrudniej.., mało osób uczy się rysunku a do tego jeszcze nauczają go przeważnie mężczyźni... Taki już zwyczaj.

— A więc, zaczęła Marta ściskając rękę gospodyni domu, pozostaje mi tylko pożegnać panią i podziękować jej za okazywaną mi dobroć i uprzejmość.

Marya sięgnęła ręką, po zgrabną kopertkę w któ-

rej widać było parę assygnat, ale w tej chwili ktoś z boku dotknął jej rękawa. Był to wesóły Oleś który przez cały czas rozmowy stał zdala w postawie bardzo skromnej i z wyrazem twarzy wcale nie wesółym. Oczy jego nawpół z zachwyceniem, nawpół ze szczerem politowaniem tkwiły w twarzy młodej wdowy, która na obecność jego nie zwracała najmniejszej uwagi. Być może iż wchodząc do salonu widziała go, ale cóż obchodzić ją mógł jeden człowiek więcej, mający być świadkiem upokorzającego jej wyznania, skoro najstraszniejszym a nierozłącznym z nią świadkiem jego była ona sama? Cóż obchodzić ją mogło przypuszczenie, iż oczy czyjeś patrzą na nią w chwili w której wzrok jej własny zapadał z przestachem w głębią własnej jej nieudolności, w głębszą jeszcze otchłań czekającej ją doli? Marta tedy nie zwracała uwagi na obecność młodego człowieka, Marya zapomniała o niej i czując że ją ktoś z lekka pociąga za rękaw, odwróciła twarz z trochę zdziwienia. Zdziwiła się bardziej jeszcze na widok fizyognomji Olesia. Ruchliwe oczy jego były teraz pełne smutku, usta okrążone zwykle pustym uśmiechem, ułożyły się w zarys łagodny a nawet trochę jakby poważny.

— Maryniu! rzekł zcicha młody człowiek, mąż twój pracuje przy jednym z pism illustrowanych; możeby tam potrzebowano kogoś kto umie rysować...

Marya klasnęła w ręce.

— Masz słuszną, zawołała, zapytam o to męża !!

— Ale trzeba to zrobić zaraz! zawołał Oleś ze zwykłą już sobie żywością, dziś właśnie sesya w redakcyi...

— I mąż mój jest na sesyi. .

— Na sesyi najłatwiejby o tem dowiedzieć się można...

— Napiszę zaraz do mego męża...

— Ale co tam to pisanie! to za długo, pójdę i wywołam Adama z sesyi...

— Idź, idź Olesiu...

— Idę, lecę, pędzę! zawołał młody człowiek, pochwycił kapelusz i z nadzwyczajnym pośpiechem nakładając go na głowę przed progiem jeszcze, zapominając o pożegnaniu się z dwoma kobietami wypadł do przedpokoju. Tam narzucił palto na plecy i wołając raz jeszcze—biegnę, pędzę, lecę! biegł w istocie, pędził i leciał ze wschodów tak samo jak czynił to przed miesiącem, kiedy szło mu o dogonienie ujranej przez okno młodej piękności. Marya nie myliła się przypisując ciotecznemu bratu swemu dobroć serca, to też z rodzajem zadowolenia przeprowadziła go oczami do progu, poczem zwróciła się wnet znowu ku Marcie. Młoda wdowa stała nieruchoma, z gorętszym jeszcze jak wprzód rumieńcem na twarzy. Nie mogła nie widzieć, że obudzała litość nietylko w tej kobiecie, która przed chwilą ścisnęła jej dłonie, ale i w owym mło-

dym człowieku nieznanym jej prawie, za ledwie bowiem parę razy mimochodem przez nią widzianym. Po raz to pierwszy w życiu swem była przedmiotem litości ludzkiej, wywołała ją niemal sama, uchylić się od niej, odrzucić ją nagłona gwałtowną potrzebą nie mogła, a jednak uczucie to okazywane jej, dobre samo przez się przytłaczającym ciężarem spadło na głowę jej i w dół ją chyliło.. Nie była zadowoloną z siebie, ze swej rozmowy z Maryą, która u ludzi całkiem jej obcych wywołała oznaki litości nad nią... Przebiegała jej przez głowę myśl, iż powinna była być silniejszą, skrytszą, powściągliwszą, doświadczała takiego poczucia, jakby w tej chwili ubyla cząstka godności jej osobistej. człowieczej, jakby po raz pierwszy wyciągała dłoń po jałmużnę. Kiedy siostra i brat zamieniali ze sobą żywe wyrazy ją mające na celu, kiedy młody człowiek wybiegał z pokoju aby kiedyś do nieznanych, nigdy przez nią niewidzianych ludzi nieść prozbę w jej imieniu, powstało w niej niezmierne pragnienie odejść, odejść natychmiast, za chwilę litości zapłacić słowem podziękii, ale jałmużny nie przyjąć i powiedzieć:

— Mam nadzieję że sama poradzę sobie.

Pragnienie to było silne, zatamowało głos w pierśsi młodej kobiety, fala krwi rzuciła jej się do głowy a jednak nie uległa mu, nie odeszła, stała nieruchoma z głową pochyloną i splecionemi rękami. W najdalszej głębi jej istoty rozlegał się szept po-

sępny. Nie mam nadziei abym sobie poradzić mogła. Nie mogę ufać sobie! Było to rodzące się poczucie nieudolności własnej. Pod wpływem uczucia tego rósł w niej wstyd nieokreślony, lecz dolegliwy. Gdybym była sama na świecie!... myślała. Gdybym nie miała dziecka!

— Chciej mi pani powiedzieć, przemówiła Marya, jakim sposobem oznajmić Jej będę mogła o wyniku starań, jakie ja i mąż mój czynić będziemy w celu pozyskania dla niej zajęcia.... Zastawisz mi pani może swój adres?

Marta myślała chwilę.

— Jeżeli pani pozwoli, odrzekła, przyjdę tu sama zasięgnąć wiadomości.

Chciała zrazu dać swój adres, ale przemknęła jej przez głowę myśl, że młoda szczęśliwa kobieta zapomnieć o niej może. Zawstydziała ją litość jakiej była przedmiotem, ale bardziej jeszcze przestraszało przypuszczenie, że nadzieja zarobku, która błysnęła przed jej oczami, zniknie znowu i zostawi ją w okropnej niepewności, nieokreśloności położenia.

Zarobek! jakiż to prozaiczny, trywialny, czysto ziemski wyraz! zawołacie może czytelnicy. Gdyby na miejscu jego była tu jaka pałająca miłość, sercowa tęsknota, wzniosłe marzenie, uczucia i myśli młodej kobiety obracałyby się we właściwszym dla nich kręgu moralnych zjawisk, obudzałyby sympatyi więcej, współczucie silniejsze! Być to może; nie wiem. Co pewna to że Marta myślała albo przeczuwała, że

jedyną rękojmnią życia i zdrowia jedynego na ziemi przedmiotu jej miłości, dziecięcia jej, ukojenie tęsknoty której pełnemi były samotne kąty ubogiej jej izby, nie już wzniosłości ale czystości i uczciwości jej marzeń i myśli była praca — przynosząca zarobek. Marta myliła się może; przyszłość jej dopiero udowodnić miała prawdziwość lub błędność tego jej mniemania.

Po kilku jeszcze zamienionych wyrazach. Marta Swicka zegnała gospodynię domu. Marya sięgnęła znowu po kopertę z lilijowemi brzeżkami.

— Pani, rzekła z trochę nieśmiałości, oto jest dług który względem niej zaciągnęłam za całomiesięczne nauczanie mej córki.

Marta nie wyciągnęła ręki.

— Nic mi się nie należy, rzekła, bo ja niczego wcale córki pani nie nauczyłam.

Marya Rudzińska chciała nalegać, ale Marta chwyciła jej rękę, uścisnęła ją silnie w swych dłoniach i śpiesznie opuściła pokój. Dla czego uchodziła tak śpiesznie? Pragnęła może umknąć po raz pierwszy w życiu doświadczonej złej pokusie? Czuliła że pieniądze które jej ofiarowywano nie należały do niej, że nie zarobiła na nie niczem chyba bezowocnymi dobrymi chęciami, że gdyby je przyjęła popełniłaby postępek nieuczciwy. To też nie wzięła ich ale gdy o szarej godzinie, dla oszczędności nie rozniecając w izbie lampy, przy niepewnym świetle dnia dogorywającego, otworzyła swój pugilaresik i przeliczy-

ła znajdujące się w nim sztuki drobnej monety: gdy pomyślała, że oprócz pieniędzy tych starczyć mogących zaledwie na dni parę żadnych już innych nie ma a te są resztkami summy otrzymanej ze sprzedaży jednej z dwóch posiadanych przez nią sukien: kiedy mała Jancia tuląc się do jej kolan, poskarżyła się na zimno panujące w izbie i poprosiła o zapalenie ognia na kominie, a ona odmówić jej tego musiała, bo zasób drewek był bardzo już szczupłym, a o zwiększeniu go i marzyć teraz nie mogła: kiedy nakoniec ogarnęły ją ciemności nocne powiększające smutek, niepokój zamieniające w trwogę, przed oczami jej tajemną jakąś siłą wyobraźni wywołana, przesunęła się zgrabna kopertka ozdobiona lilijowemi brzeżkami, z trzema pięciorublowemi assygnatami wewnątrz. Marta zerwała się z siedzenia i zapaliła lampę. Widmo niezpracowanych pieniędzy zniknęło wraz z ciemnością, ale w umyśle Marty pozostało po niem głuche przerażenie. Mogłoby to być, zawołała, abym żałowała tego iż nie popełniłam nieuczciwości?

Głęboko zawstydzająca myśl ta wzbudziła w niej reakcją ducha, nowe wyprężenie upadłej na chwilę energii. Zdaje mi się, rzekła sobie, że daremnie niepokoję się tak bardzo. Wszak obiecano mi nowe zajęcie.... rysowałam przecież kiedyś nieźle, znajdowano we mnie dość wielką nawet zdolność do rysunku... Zadanie to jeśli mi je tylko do spełnienia dadzą, spełnię już chyba dobrze! Mój Boże! jakże gorliwie starać się będę, aby tym razem już praca nie

wyniknęła sę z rąk moich. A że dostarczą mi jej ludzie obcy przez litość, przez współczucie? cóż ztąd? Nie powinno mię to upokarzać! Jestem jeszcze za dumną! Słyszałam wprawdzie nieraz, że ubóstwo z dumą chodzić w parze mogą, ale muszą to być tylko teorye, przekonywam się że jest inaczej! Ostatnia myśl ta ponowiła się w głowie Marty, gdy nazajutrz zrana schodziła na dół i nieśmiało puknęła do drzwi mieszkania rządcy.

Rządca domu przyjął ją w pokoju dobrze ogrzanym i wygodnie urządzonym.

— Panie! rzekła Marta, za dwa dni nadejdzie termin, w którym obowiązana jestem uiszczać opłatę za najem mieszkania i sprzętów.

— Tak, pani, tonem twierdzenia i zarazem pytania odpowiedział rządca.

— Przyszłam aby oznajmić panu, że nie będę jeszcze w stanie opłatę tę uiszczyć.... Wyraz twarzy rządcy objawił na te słowa pewne dość widoczne niezadowolenie. Nie był to jednak człowiek zbyt surowy, fizyonomiję miał uczciwą, łagodną i noszącą ślady długich lat przebytych i wielu trosk doświadczonych. Spojrzał uważnie na twarz młodej kobiety, i po chwili namysłu odpowiedział.

— Bardzo to przykro jest... ale cóż robić? Lokal który pani wynajmujesz jest nie wielkim i sądzę że właściciel domu nie zechce odmawiać go pa-

ni przy pierwszej nieakuratności w opłacie. Jeżeli jednak powtórzyła się ona...

— Panie! z żywością przerwała Marta, mam przyobiecana robotę która jak sądzę, dostarczy mi środków do życia. Rządca skłonił się w milczeniu, Marta spłoniona i ze spuszczonei oczami wyszła na ulicę. Niebawem wróciła do izby swej przynosząc w chustce rozmaite zakupione na mieście przedmioty. Nie mogła już brać obiadów z garkuchni, wyrzucała sobie nawet że brała je dotąd, ponieważ wydała na nie więcej niż wydać mogła. O sobie mało myślała; w obec trosk które ją obiegły i celu ku któremu dążyła, ilość i rodzaj żywności mającej podtrzymać jej życie, nie mogły w myślach jej wielkiego zajmować miejsca. Sądziła, że szklanką mleka i parą bułkami dziennie zdoła przez czas jakiś dostatecznie podtrzymać swe sily. Ale mała Jancia drżąca nieraz od chłodu w izbie źle ogrzanej potrzebowała koniecznie, raz na dzień przynajmniej ciepłego pokarmu.

To też młoda wdowa za pozostałe jej kilka złotych zaopatrzyła się w trochę masła, kaszy i mały garnuszek. Zamiast zrana, palić w piecu teraz będę w południe, myślała, i zarazem zgotuję codziennie dla Janci trochę gorącej strawy!

Nie mogła też oswoić się z myślą, że dziecko jej zaprzestanie jeść mięso. I tak już było ono blade, wątłe, zmęczone licznymi niewygodami których dawniej nie znało. Ale mięso świeże kosztuje dużo,

dla sporządzenia żeń potrawy trzeba też sporo drzewa spalić. Marta kupiła więc funt wędzonej szynki. Gdy załatwiała wszystkie te sprawunki przychodziły jej na myśl tanie kuchnie. Słyszała o nich kiedyś, wtedy gdy była jeszcze żoną urzędnika pobierającego znaczną płacę, i sama hojną ręką przyczyniała się do składek na rzecz dobroczynnych instytucji urządzanych. Oprócz tego jednak, że kuchnia tania w obecnem jej położeniu mogłaby dla niej być jeszcze za drogą, Marta czuła instynktowy, nieprzewyciężony wstręt do uciekania się pod skrzydła, jakiejkolwiek filantropijnej instytucji.

— Istnieje to dla starców, myślała, dla chorych, kalek, dla dzieci zresztą pozbawionych opieki lub ludzi ostatecznie niedołężnych czy zniechęconych moralnie i umysłowo.

Jestem młodą i zdrową, wielu jeszcze rzeczy robić nie próbowałam, które może robić potrafię, a że nie udało mi się znaleźć zarobku w jednym zawodzie, mamże dla tego uciekać się do dobroczynności publicznej? Nigdy! zawołała w duchu i otworzywszy znowu swój pugilaresik, przeliczyła pozostałą w nim po załatwieniu sprawunków drobną monetę. Znajdowało się tam jeszcze około trzech złotych. Wystarczy to jeszcze przez tydzień na mleko i bułki dla mnie i dla Janci, myślała, tymczasem dobrzy ci ludzie znajdą dla mnie pewno robotę...

Znajomi Marty przy S-to Jerskiej ulicy mieszkający, byli w istocie ludźmi bardzo dobrymi i szczerze

zajmowali się przyniesieniem pomocy ubogiej kobiecie, która wzbudziła w nich współczucie połączone z szacunkiem.

Pocziwym tym usiłowaniam dopomagało wielce szczęśliwe położenie, jakie zajmował mąż Maryi Rudzińskiej względem jednego z pism Warszawskich illustrowanych, najzamożniejszych i najwięcej rąk zatrudnić mogących. Był on współpracownikiem pisma tego dawnym, zasłużonym i wysoko szacowanym. Głos jego tak u wydawcy jak na sessjach redakcyjnych znaczył wiele, wstawienie się za kimś, słowo prośby przez niego wymówione lekceważeniem być nie mogło. Do tego jeszcze Adam Rudziński, był pisarzem wyłącznie prawie poświęcającym się badaniom kwestyi społecznych, a pomiędzy niemi i położeniem w społeczeństwie kobiet ubogich. Martę widział on kilka razy w swym domu, gdy udzielała lekcye jego córce a zajmująca powierzchowność młodej kobiety, żałobna jej suknia, pełen godności układ w połączeniu ze szlachetnym postępkim jej, o którym w słowach pełnych zapału opowiedziała mu Marya, wzmogły gorliwość jego usiłowań.

Skutek usiłowań tych pomyślny był i prędki.

Jedna więcej para rąk nie okazała się zbyt czną dla pisma, które potrzebowało szerokiego współdziałania i szło już tylko o stopień uzdolnienia nowej robotnicy, mający wyrokować o przyjęciu lub odrzuceniu jej prośby.

Jakkolwiek jednak starania Adama Rudzińskiego względnie do natury okoliczności otrzymały skutek bardzo prędkie, względnie do położenia Marty czas trwania ich był bardzo długim. Od dnia w którym dobrowolnie zrzekła się zawodu nauczycielskiego, upłynął tydzień, szczupłe pieniądze zasoby młodej kobiety wyczerpały się całkiem prawie, oprócz tego przymusowa bezczynność ciążyła jej straszliwie, sen odbierała i sumienie niepokoiła. Marta wyszedłszy pewnego ranka na miasto, udała się na ulicę Długą i zapukała do bióra informacyjnego. Ludwika Żmińska przyjęła ją daleko zimniej i urzędowniej jak wprzód.

— Słyszałam, rzekła, że pani nie udzielasz już lekcyi w domu państwa Rudzińskich. To szkoda wielka szkoda, jak dla pani tak dla mnie, od zdania bowiem takich domów zależy po większej części opinija podobnych mojemu zakładów.

Marta oblała się rumieńcem; zrozumiała wymówkę mieszczącą się w słowach właścicielki bióra. Szybko jednak podniosła głowę i z wyrazem otwartości rzekła.

— Przebacz mi pani że naraziłam ją na zawód...

— Zawód osobiście mnie sprawiony bardzo tu małą posiadałby wagę, przerwała Żmińska, ale jeżeli ludzie zawodzą się na mojem słowie, zakład mój cierpi na tem bardzo...

— Omyliłam panią, ciągnęła Marta, dla tego że omyliłam się na samej sobie. Panna Rudzińska była uczennicą zbyt daleko już dla mnie posuniętą w nauce. Sądzę przecież iż gdyby szło o właściwe początki zdołałabym odpowiedzieć może zadaniu. Z tą myślą przyszłam raz jeszcze do pani. Czy nie mogę otrzymać lekcy początków.

Postawa Ludwiki Żmińskiej była bardzo zimną.

— Osób poszukujących początkowych lekcy jest daleko więcej niż takich które pobierać je potrzebują, odrzekła po chwili z odrobiną ironji w głosie. Konkurencyja ogromna, ceny więc bardzo niskie. Czterdzieści groszy, dwa złote najwyżej za godzinę...

— Przystałabym na wszelką opłatę wymówiła Marta.

— Zapewne, przystać trzeba skoro inaczej być nie może. Ja jednak nic pani nie przyrzekam. Zobaczę, postaram się... w każdym razie wszystkie wiadome mi miejsca są dziś zajęte i przyjdzie pani długo czekać.

Gdy właścicielka bióra wymawiała te słowa, Marta bacznie na nią patrzała. Oczy jej smutne, zamysłone lecz spokojne, szukały może na twarzy niemłodej kobiety tego błysku rozrzewnienia i życzliwości, jaki zjawił się na niej gdy była tu po raz pierwszy: ale Żmińska była tym razem niewzruszoną.

chłodną i urzędową. Marcie przysły na myśl słowa przed dwoma miesiącami z ust jej usłyszane:

„Kobieta wtedy tylko utorować sobie może drogę pracy, zdobyć byt niezależny i położenie szacunek nakazujące, jeśli posiada wyłączny jakiś talent, lub doskonałą jaką umiejętność.” Marta żadnego z warunków tych nie posiadała; właścicielka informacyjnego bióra raz już zawiódłszy się na niej, poznawszy szczupły zasób jej wiadomości, małą doniosłość jej uzdolnienia, uważała ją widocznie za klientkę bardziej natrętną i kompromitującą niż jakąkolwiek korzyść zakładowi jej obiecującą. Tam zaś, gdzie zjawiało się codziennie kilka lub kilkanaście osób w tem samem położeniu w jakim ona była zostających, z temi samemi prośbami na ustach, z takim samym niedostatecznym zasobem w głowie, o trwałem współczuciu ze strony osoby, która je przyjmowała i mowy być nie mogło.

Marta pojęła, że karyera jej w zawodzie nauczycielskim stanowczo skończoną została, że gdziekolwiek z żądaniem swem udałaby się teraz, przejrzanoby naprzód towar wiedzy przez nią przynoszony, a przekonawszy się o podrzędnym jego gatunku, odprawionoby ją z niczem lub zepchnięto w szeregi czekające długo na zarobki małeńkie. Ona poprzestałaby zapewne na zarobku małym, ale czekać długo nie mogła.

Z ulicy Długiej idąc na Ś-to Jerską, Marta jedną

tylko myśl miała w głowie. Jakże nierozsądną by-
łam, jak nie znałam świata i siebie samej wtedy,
gdym owego pierwszego wieczoru po zamieszkaniu
w nędznej izbie myślała, że trzeba mi tylko pójść
oświadczyć się z chęcią pracowania, aby zostać przy-
jętą w szeregi pracujących.

Oto idę teraz z ulicy w ulicę, od jednego domu do
innego i szukam... A jednak ... gdybym umiała!....

Marya Rudzińska spotkała przychodzącą do niej
z wesołą twarzą, uścisnęła gorąco jej ręce, i uprze-
dzając pytanie rzekła.

— Pismo którego mąż mój jest współpracowni-
kiem a po części i współredaktorem, potrzebowało
właśnie osoby umiejącej rysować. Oto jest szkic
narysowany przez znanego u nas rysownika, którego
skopijowanie pani powierzonom zostało. Co do o-
płaty zależeć już ona będzie całkiem od zalet pracy
pani; ta którą wykonasz teraz, ma być próbą stano-
wiącą o zamówieniach dalszych.

Błady promień grudniowego słońca przebijając się
przez las gzemsów i załomy murów, ozłacał małe
okienko poddasza i ślizgał się po czarnej powierz-
chni stołu, nad którym siedziała Marta z oczami
utkwionemi w leżący przed nią rysunek. Było tam
tylko parę drzew rozłożystych, kilka gęstych krze-
wów, w cieniu ich siedząca piękna postać kobieca
i parę uśmiechniętych główek dziecięcych wychyla-
jących się z za uplotów gałęzi. Na najdalszym planie

w niepewnych już ale wdzięcznych zarysach, ukazywał się domek wiejski z werendą oplecioną bluszczem i wybiegająca z za niego droga, której szlak kręty i mgłą przysłoniiony rozptywał się i nikał w oddaleniu. Była to kompozycja prosta, jedna ze scen codziennego, wiejskiego życia przedstawiającą, ale wykonaną biegłą i natchnioną ręką utalentowanego rysownika, stanowiła piękne acz drobne dzieło sztuki. Od wiejskiego domku czterema swemi prostymi oknami wdzięcznie spoglądającego na widza, i smukłej postaci kobiecej w pełnej rozkosznego zaniedbania postawie siedzącej pod cieniem drzewa, do figlarnych twarzyczek dziecięcych, przeglądających z za uplotu różnnych gałęzi i krętego szlaku drogi rozptywającego się wśród mgły i przestrzeni, wszystko tu nosiło na sobie piętno szczęśliwie pochwyconej i dobrze uwydatnionej charakterystyki, zachwycało oko, budziło wyobraźnię, skłaniało myśl do porównań i odgadywań. Wyborna poprawność i przedziwna lekkość rysunku, szła tu w parze z poetycznością, pomysłu uwydatniając i podnosząc jego zalety. Natchnienie i znajomość techniki zarówno mu dopisały artyście w chwili, gdy lekką a zarazem pewną siebie ręką, rzucał na papier tę wiązkę linii, z której powstała całość pełna głębokiego uczucia, prostego wdzięku i cichej harmonji.

Techniczne zalety rysunku nie odrazu przecież przykuły do siebie uwagę Marty, siłą wspomnień

i tragicznością, kontrastu pochwyciła ją, naprzód myśl kompozycyi. Z wiejskiego domu, z drzew cieni-
nistych i krzewów gałęzistych, z twarzy młodej matki ścigającej wzrokiem falujące za przezrystą gęstwiną ruchy dwóch drobnych postaci dziecięcych, try-
snęły ku młodej kobiecie wspomnienia zalewające pierś jej fałdą uczucia bolącą i razem rozkoszną. I ona także żyła kiedyś w takiej cichej, kwiecistej, cieni-
stej ustroni, deptała lekką stopą puszystą murawę, zrywała róże z chylających się ku niej gałęzi krzewów, i z drobnymi rękami pełnymi wonnego kwicia biegła ku takiej werendzie takim jak tu bluszczem ocienionej, wśród czterech okien rozgrzanych upalnym słońcem rozwieszającej namiot zielony, pod chłodną i orzeźwiającą osłonę gotowy przyjąć ukochane dziecię domu!

I za jej także hyżemi stopami posuwało się niegdyś troskliwe spojrzenie matki, i ku niej także trwożny głos macierzyński wołał, aby nie wybiegały po za dom, daleko, na tę drogę która pełna kamieni i wąwozów, zawad i niebezpieczeństw kręto wiała się i przepadała wśród tajemniczych wzgórz i niedojrzanych przestrzeni. Daremne wołanie! daremne drżenie macierzyńskiego serca!

Przyszł czas, w którym dziecię wiejskiego domu wyszło na ową drogę z za ścian jego wybiegającą krętym kamienistym szlakiem, i poszło w świat, pomiędzy tajemnicze wzgórza, w nieznane prze-

strzenie, pomiędzy zawady i niebezpieczeństwa i zaśzło tu, gdzie u szczytu wysokiej miejskiej budowy wznosiły się cztery ściany ciasne, nagie, zimne, duszne, samotne... Był to kontrast przeszłości z terażniejszością. Marta oderwała oczy od rysunku, powiodła spojrzeniem w okół izby, zatrzymała je na bladem dziecięciu, które owinięte od chłodu wełnianą chustką matki, drżało jednak i nakształt zgnęanej ptaszyny tuliło główkę jej do kolan.. W uchu kobiety dźwięczał znany, dobrze zapamiętany śpiew małego ptaszka, tego samego zda się ptaszka, który na rysunku muskał rozpiętymi skrzydłami szczyt różanego krzewu, a z tem echem oddalonego wspomnienia łączył się ciężki, drżący od zimna oddech jej dziecka... Po nici wspomnienia przypłynęła ku niej piękna twarz Matki, potem łagodne oblicze Ojca, potem jeszcze ujrzała zawieszone przed sobą, w powietrzu ciemne oczy młodzieńca, które wpatrzony w nią z głębokim wyrazem mówiły jej: kocham! w czasie gdy usta jego wymawiały: zostań moją żoną! Wszystkie te rysy drogie jej nad życie, pomroką śmierci pochłonięte na zawsze, wszystkie miejsca w których rozwijała się bezchmurna sielanka dzieciństwa jej i pierwszej młodości, wszystkie światła pogasłe, uroki rozwiane, radości zatrute i połamane podpory, drgnęły życiem, przybrały dawne kształty i barwy, skupiły się w jeden obraz i zawisły przed nią niby w ramy przerażającej brzydoty

i nagości opravione w puste, szare, zimne kąty samotnej izby.

Marta nie patrzyła już na rysunek; utkwione w pustą przestrzeń nieruchome jej źrenice, zasły szklistą powłoką, która jednak nie topiła się w łzy, pierś jej oddychała szybko i ciężko ale łkań nie wydawała. Płacz gwałtowny rozrywał widocznie wnętrze tej kobiety, ale ona walczyła z nim, walczyła z sercem swem usiłując stłumić przyspieszone jego bicie i z rozgorzałą swą głową odtrącając od niej roje wspomnień i falę marzenia. Był w niej tajemny głos jakiś który wołał, iż z każdą łzą, która wypłynie z jej oka, z każdym łkaniem które wstrząśnie pierśią, z każdą sekundą spędzoną w tej strasznej męczarni ducha płaczącego nad grobami nadziei swych i miłości, ujdzie cząstka sił jej i woli, ubędzie odrobina energii, cierpliwości i wytrwałości. A jej tych sił, tej woli, tej wytrwałości trzeba było tyle! tyle! Południe życia jej stało się dla niej tak surowem i wymagającym, jak pieszczotliwym i pobłażliwym był jego poranek. Jancia podniosła ku Matce bladą twarzyczkę.

— Mamo! ozwała się jęklivym głosem, jak tu dziś zimno! Rozpał ogień na kominku!

Za całą odpowiedź Marta schyliła się, wzięła dziewczynkę w objęcia, przycisnęła mocno do piersi drobne jej ciało, do czoła jej przyłgnęła ustami i tak została przez chwilę nieruchoma... Na-

gle powstała, ściślej owinęła Jancię welnianym szalem, posadziła ją na niskim stołeczku, przyklekła przed nią, uśmiechnęła się, pocałowała ją w blade usteczka i zupełnie prawie swobodnym głosem rzekła.

— Jeżeli Jancia spokojnie bawić się będzie swoją lalką, jutro lub pojutrze skończę robotę, drewek kupię i rozpalę dla Janci taki śliczny ciepły ogień. Czy dobrze Janciu? czy dobrze moje dziecko kochane?

Uśmiechnęła się mówiąc to i rozgrzewała w swych dłoniach zziębnięte ręce dziewczynki. Jancia uśmiechnęła się także, usta jej dwoma pocałunkami zamknęły na chwilę wpatrzone w nią oczy matki, sięgnęła po lalkę swoją, po parę drobnych drewnianych zabawek i przestała patrzeć w okopconą, pustą i chłodem wiejącą głębię komina. Cisza zupełna panowała znowu w izbie, Marta siedziała za stołem i przyglądała się robocie wybornego rysownika.

Teraz zwyciężone i odepchnięte rozkazem woli wspomnienia i żale, legły na dnje jej piersi nieumarłe lecz milczące, twarz jej wyrażała spokojne skupienie wszystkich władz umysłu, i tylko oczy jaśniały żywym połyskiem zapału z jakim przystępowała do téj nowej próby sił swych i uzdolnień. Teraz nie w pomyśle już artysty, nie w rzewnej uczuciowości i poetyczności obrazka zatoneła uwaga Mar-

ty, ale w technice wykonania, w tej technice, która biegła w znawstwie, bogata w środki, sięgała do gruntu istoty sztuki i zarazem z lekkością ptaszcęcego pióra, ślizgała się po jej powierzchni, małemi sposobami tworzyła rzeczy piękne, wcielała pomysł w każdą by najsubtelniejszą linijkę, posługiwać się umiała każdą cząstką płaskiej powierzchni, którą dowolnie jakby orzucała smugami światła i cieniów. Marta nie rysowała nigdy z natury ale kopiowała niegdyś małe krajobrazy, drzewa, kwiaty, twarze ludzkie. Doskonałość więc leżącego przed nią rysunku zachwyciła ją ale nie zniechęciła. -- Nie jestem zapewne taką artystką jak ten który narysował ten śliczny obrazek, myślała, ale skopijować robotę czyjaś potrafię chyba... potrafić muszę.

Myśląc tak otworzyła podługowate pudełko w którym mieściły się przyrządy do rysowania. Marya Rudzińska wiedzona dobrocią serca i delikatnością uczuć, odgadła nową potrzebę w jakiej najdzie się uboga kobieta, i wręczyła jej to pudełko wraz ze wzorem z którego kopija wykonaną być miała. Ołówek Marty posuwał się po gładkim papierze, czuła że ręka jej była lekka, że myśl jej spajała się ściśle z myślą artysty, że oko jej dostrzegało bez trudu najzawiększe zgięcia linii, najsubtelniejsze różnice i przelewania się światła z cieniami. Serce jej uderzało coraz silniej i radośniej, oddech stawał się coraz łatwiejszym, rumie-

niec wstępował na blade policzki, oczy rozplomie-
niały się pogodą i płonęły zapalem. Pocieszycielka
strapionych, towarzyszka samotnych, piastunka bu-
rzami życia miotanych, praca, wstąpiła na ubogie
poddasze i przywiodła ze sobą — spokój. Daremnie
promień słońca pieszczący zrana nagie ściany izby,
zniknął za wysokimi dachami domów, daremnie
wielkie miasto toczyło w dole głuche swe tajemni-
cze nieustanne gwary, Marta nie widziała nic i nic
nie słyszała.

Podnosiła czasem oczy od roboty, aby popatrzeć
na cicho w kącie izby bawiące się dziecię, przema-
wiała doń słów parę i znowu pogrążała się w swem
zajęciu. Niekiedy brwi jej zsuwały się, wyraz głę-
bokiego namysłu osiadał na czole. Trudności i za-
gadnienia sztuki zjawiały się wtedy przed nią i sta-
wiły jej twarde, urągliwe czoło. Ale ona łamała
się z niemi i zdawało się jej, że przelamywała je
szczęśliwie. Gdy podnosiła głowę i przypatrywała
się swej robocie, miała uśmiech na ustach który
znikał gdy porównywać ją zaczynała z robotą mistrza.
W umyśle jej rodziły się znać wątpliwości i obawy,
ale ona usuwała je od siebie jak coś zbyt natrętnego,
zbyt dla jej sił ciężkiego, dla serca dolegliwego.
Pracowała z wielkim skupieniem umysłu, z nie-
zmiernym wytężeniem woli, z porywającym zapalem
wyobraźni rozkochanej w przedmiocie swej pracy,
pracowała z całego rozumu, z całej duszy i z całych

sił swoich i przestała pracować wtedy dopiero, gdy do izby napływać zaczęły pierwsze cienie wieczornego zmroku. Wtedy zawołała do siebie Jancię, posadziła ją na kolanach i patrząc w dziecięcą twarzyczkę uśmiechnęła się do niej znów. Ale teraz uśmiech jej był innym niż z rana, nie wymuszonym przemocą na ściśniętym boleścią sercu, nie sprzeczący się z posępnym wyrazem oczu. Wykwitł on sam przez się i bez wysiłku z piersi młodej matki ukojonej pracą, rozgrzanej nadzieją.

Marta opowiadała małej córeczce swej jedną z owych bajek, których treść upleciona ze zjawisk cudownych, z barw tęczowych, ze śpiewów ptaszęcych i skrzydeł Anielskich, tak bardzo pochłania umysły i zachwyca wyobraźnię dziecięce; ale gdy usta jej snuły dla biednego, uczyły podobnej oddawna spragnionego uszka, długie nici fantastycznych opowieści, głowę jej napępiała myśl jedna, powtarzająca się wciąż niby przygrywka mieszcząca w sobie temat pieśni życia.—Gdybym potrafiła... jeżeli potrafię... jeżeli umiem!...

— Czy potrafiłam? czy umiem? myślała Marta w parę dni potem, wstępując na wschody mieszkania Rudzińskich.

Wewnętrzne pytania tej młodej kobiety nie otrzymały tym razem stanowczej odpowiedzi. Wkrótce jednak nastąpić ona miała; dzień jutrzejszy bowiem był dniem przeznaczonym na sesję redakcyjną, na

której ludzie kompetentni wydać mieli sąd, o mierze artystycznych uzdolnień Marty i wartości dokonanej przez nią, roboty.

— Przyjdź pani po jutrze z rana, rzekła Marya Rudzińska. Mąż mój przyniesie dla niej z jutrzejszej sessyi pewną już wiadomość.

Marta przybyła w oznaczonej porze. Właścicielka ładnego saloniku spotkała ją ze zwykłą uprzejmością i ukazała jej fotel stojący przy stole, na którym leżała przed dwoma dniami ukończona robota Marty i przy którym siedział mężczyzna średniego wieku, z twarzą rozumną, szlachetną i łagodną. Był to Adam Rudziński; powstał na powitanie Marty, z pełnym uszanowaniem ruchem, podał jej rękę a gdy usiadła usiadł także, spuścił oczy i milczał chwilę.

Marya usunęła się w głąb salonu i widocznie zasmuconą, twarz oparłszy na rękę, siedziała też ze spuszczonei oczami w milczeniu. Przez kilkanaście sekund ciężka cisza panowała w salonie. Każdej z trzech obecnych osób, pierwsze słowo mającej toczyć się rozmowy, trudnem znać było do wymówienia. Adam Rudziński pierwszy przerwał milczenie...

— Smutno mi bardzo, rzekł, iż jestem posłem przynoszącym pani nie zbyt zapewne miłe wiadomości. Nie było przecież w mocy mojej, uczynić je innymi niż są...

Umilkł i patrzył na Martę oczami w których malowała się szlachetna otwartość, połączona ze szczerem współczuciem. Przerwał na chwilę mowę swoją dla tego może, aby dać czas młodej kobiecie do zebrania sił, do przygotowania się na przyjęcie ciosu który miał ją spotkać. Marta zbladła trochę i spuściła nagle oczy, ze skupioną uwagą wpatrzone dotąd w twarz przemawiającego do niej mężczyzny. Z ust jej nie wyszedł przecież wykrzyk żaden, ani z piersi westchnienie. Adam Rudziński z postawy i wyrazu twarzy młodej kobiety odgadł, że umiała powściągać się i mogła być mężną. Po chwili tedy mówił dalej.

— W sprawie, która obecnie panią zajmuje, sam osobiście kompetentnym sędzią nie jestem, i powtórzę tu tylko słowa, które zlecono mi przed panią powtórzyć. Uczynię zaś to z zupełną otwartością dla tego, ażeby oszczędzić pani nowych zawodów i rozczarowań, i dla tego także, iż materyalnie i moralnie nic szkodliwszem nie jest dla człowieka, jak nieznanie własnych zasobów z którymi przychodzi do wrót społecznego życia, jak częste mylenie się na samym sobie.

Z roboty, którą pani wykonałaś widocznie się okazuje że uczyłaś się pani rysunku i posiadasz istotne zdolności, ale... uczyłaś się go pani za mało, za pobieżnie, za powierzchownie przez co i zdolności jej niedostatecznie wyćwiczone, a wymagania

sztuki nie wtajemniczone, należytego stopnia rozwoju i siły nie dosięgają. Sztuka wszelka posiada dwie strony: jedną, która wypływa z samej natury poświęcającego się jej człowieka, z przyrodzonego mu talentu i drugą z którą nikt już nie rodzi się, którą nabyć można tylko pracą, nauką. Z talentu powstaje zapewne natchnienie, ale natchnieniem raz już istniejącem rządzi umiejętność. Umiejętność techniczna nie ożywiona talentem prawdziwego dzieła sztuki stworzyć nie może i posługuje co najwyżej rzemieślniczym robotom ale nawzajem talent choćby najwyższy pozbawiony umiejętności technicznej jest siłą pierwotną, ślepą, nierozwiniętą i zarazem nieokiełznaną, zdolną conajwyżej tworzyć rzeczy kalekie, chaotyczne i nie kompletne. Pani posiadasz do rysunku talent, talent dość nawet wysoki skoro odgadnąć go można w robocie pani pomimo więcej niż wadliwej techniki jej wykonania. Ale...

— Adamie! ozwał się w tej chwili głos gospodyni domu, Marya Rudzińska powstała i zbliżając się do stołu, przy którym toczyła się rozmowa patrzyła na męża z wyrazem prośby w oczach, na słuchającą go kobietę z żalem i trwogą. Marta zrozumiała obawę dobrej kobiety. Podniosła głowę i rzekła pewnym głosem.

— Pani! ja pragnę usłyszeć całą, całą prawdę. Z krótkich dotąd doświadczeń moich przekonałam się o wielkiej słuszności tego co mąż Jej powie-

dział przed chwilą: nie materialnie i moralnie szkodliwszem nie jest dla człowieka, jak nieznanie własnych zasobów, z którymi przychodzi do wrót społecznego życia, jak często mylenie się na samym sobie...

Marya usiadła przy stole, Marta zwróciła wzrok na Adama Rudzińskiego, który mówił dalej.

— Sztuka posiada różne stopnie, znajomość jej ludzie nabywają dla różnych celów. Dość nizki nawet stopień artystycznego wykształcenia, dostatecznym jest aby dostarczyć posiadającemu go człowiekowi pewną summe przyjemności, którą upiększa, urozmaica on chwile życia sobie i otaczającym. Pobieżna ta znajomość sztuki, ovladanie drobną częścią wiadomości o niej i środków ku jej wcieleniu służących, nazywa się dylletantyzmem artystycznym, posiada pewne dodatnie znaczenie w salonach, a choćby w salonikach, zgadza się z bytem zamożnym, co najmniej dostatnym, zaprawiając go pewną dozą wdzięku, poezji, świąteczności wrażeń i zajęć. Dylletantyzm ten jednak jakkolwiek nie pozbawiony całkowicie stron szlachetnych i pożytecznych, jakkolwiek dość szerokie miejsce zajmujący w duckowej ekonomice ludzkości, nie może być czem innem jak dodatkiem, przyozdobieniem życia, wdzięcznym wzorkiem rzuconym na osnowę istnienia dla ubarwienia jej i urozmaicenia. Budować na nim byt fizyczny, omijać w koło niego przedzę ducha tak długą, jak długiem jest życie ludzkie—niepodobna

i nie godzi się. Niepodobna, gdyż z przyczyny niekompletnej wynikać nie może skutek kompletny: niegodzi się, gdyż to co oddaje światu drobną i wielce cząstkową przysługę, nie posiada prawa rościć do świata pretensyi o przysługę wzajemną, tak ważną i zupełną jaką jest byt fizyczny i spokój moralny. Po nad dylletantyzmem artystycznym dopiero, w wysokościach, o których częstokroć ten najlżejszego nie ma wyobrażenia, istnieje—artyzm, siła potężna, kompletna, z rozwiniętego do ostatecznych granic, prawidłowo ukształtowanego przyrodzonego talentu i gruntownej, szerokiej wiedzy złożona.

Dylletantyzm jest zabawką życia—artyzm tylko może być dlań opoką. Może on być dla życia opoką, fizyczny byt zarówno jak moralny podpierającą.

Ale w dziedzinie sztuki, jak nauki, jak rzemiosła, ten otrzymuje najwięcej, kto w dzieła swe społeczności ofiarowywane wkłada największy kapitał czasu, pracy, umiejętności i wprawy. Tu jak gdzieindziej istnieje konkurencya, żądanie i ofiara stają naprzeciw siebie, przyglądają się sobie i wazą się wzajemnie, tu jak gdzieindziej stopień dobrobytu robotnika zostaje w prostym stosunku ze stopniem doskonałości wyrobów. W dziedzinie sztuki tak jak w każdej innej dziedzinie, ofiarującej pole dla pracy ludzkiej, człowiek zdobyć może dostateczne, niekiedy świetne warunki bytu, zdobyć je przecież może wtedy tylko, jeśli posiada talent nie tylko przyrodzony

ale wykształcony, jeśli nie jest dylletantem tylko, ale artystą.

Wypowiedziawszy to wszystko, Adam Rudziński powstał i z uszanowaniem skłaniając się przed Martą dodał. Przebacz pani że mówiłem tak długo. Nie mogłem jednak rozmowy mej z nią zawrzeć w kilku słowach. Lękałem się abyś pani nie przypuściła iż ci, którzy mojami uszy odrzucają jej pracę, powodują się kaprysem lub uprzedzeniem jakim, któreby w tym razie było niemal występkiem. Rysunek pani nie odpowiada potrzebom pisma, któremu miał służyć. Nie jest on dość poprawnym ani dość dokładnym, nie powtarza dostatecznie myśli i charakterystyki pierwowzoru. Twarz młodej matki naprzykład rysowaną była przez panią z widocznem uczuciem i zamięłowaniem, a jednak jakże rysy jej wydają się mglistymi w porównaniu z wyrazistością, którą im nadał umiejętny i wprawny rysownik. Jakże w skutek mglistości tej, wiele ubyło wyrazowi tych oczu ścigających poruszenia ukochanych im istot, charakterowi tej głowy podanej nieco naprzód, z gotowością niby wydania ostrzegającego lub pieszczotliwego wykrzyku.

Drzewo to tak bogato na wzorze rozwijające gałęzistą swą gęstwinę wygląda tu ubogo i chorobliwie, droga wybiegająca z za domu którą artysta umyślnie orzucił mgłą tajemniczości, na rysunku pani całkiem prawie osłonięta zbyt grubemi pociągami ołówka, staje się dla cka patrzącego zagadkowym

prawie, niezrozumiałym, czarnym szlakiem. Zrozumiałaś pani pomysł artysty, wniknęłaś weni i polubiłaś go; jest to widocznem, niemniej przecież widocznie przy każdym szczególe, przy każdym pociągnięciu ołówka, łamałaś się pani z techniką sztuki i nie przelamałaś trudności jakie ci ona stawiała; nie przeniknęłaś jej zagadnień ponieważ w ręku swem nie posiadałaś dostatecznych środków umiejętności, wprawy... Oto jest cała prawda, którą wypowiadam z podwójnym smutkiem. Jako znajomy pani żałuję, żeś pani nie otrzymała pożądaney ci pracy, jako człowiekowi smutno mi, żeś pani nie kształciła dostatecznie swego talentu. Posiadasz pani niezaprzeczony talent; szkoda że nie uczyłaś się więcej, gruntowniej, obszerniej, że uczyć się teraz już jej podobno nie sposób...

Marta powstała, zwolna opuściła splecione ręce i wymówiła z cicha:

-- Tak, uczyć się teraz już mi nie sposób....

— Nie mam na to czasu, dodała po chwili, poczem umilkła i stała chwilę ze spuszczonei oczami w milczeniu. Adam Rudziński patrzył na nią z wielkiem zajęciem, z trochę podziwu nawet. Spodziewał się, obawiał się może łez, jęków, wyrzutów, mdleń i spazmów, natomiast usłyszał kilka zaledwie słów wyrażających żal nad niemożnością uczenia się, nad brakiem czasu do uczenia się konieczny.

Wiotka, delikatna, z wyniosłą postacią i piękną

twarzą, kobieta ta posiadać musiała wiele energii, skoro potrafiła bez łyzy, bez westchnienia wysłuchać surowego wyroku wskazującego na śmierć drogą jej nadzieję, przyjąć na barki swe ten niewymowny ciężar niepewności, nieokreśloności położenia jaki po krótkiej uldze spadł na nie znowu. Serce i głowa młodej kobiety bardzo ciężkimi musiały być w tej chwili, nie rozplakała się ona jednak, nie jęknęła, nie westchnęła nawet.

Znać pora jęków głośnych i płaczu nie wstydzącego się oczów ludzkich, nie przyszła jeszcze dla niej, duma jej człowiecza nie była jeszcze złamaną ani siły starganemi. Wszak stała ona u początku dopiero Kalwaryjskiej swej drogi, dwie stacye jej tylko przebyła, dwa razy tylko spłonęła wewnętrznym wstydem, zadrżała do głębi w poczuciu własnej nieudolności.

Posiadała jeszcze dość sił aby dumą i wolą powściągać wybuchy własnych uczuć, nie posiadała dość znajomości samej siebie, aby przestać spodziewać się...

Adam Rudziński uszanował milczący żal ubogiej kobiety, obcy jej w zupełności: kilka razy zaledwie przez nią widziany uczuł, że w tej chwili oddalić się powinien. Pożegnawszy Martę acz pełnym szacunku ukłonem, wyszedł z salonu, ale żona jego wtedy dopiero pochwyciła ręce Marty, i ściskając je w swych dłoniach rzekła pośpiesznie.

— Nie trać nadziei, droga pani! nie mogę pogo-

dzić się z myślą, abyś tym razem jeszcze opuściła dom mój niepokieszona i nie zaspokojona w słusznych swych żądaniach. Nie znam przeszłości twej, ale zdaje mi się iż odgaduję trafnie sądząc, że ubóstwo zaskoczyło cię niespodzianie, że nie byłaś przygotowaną do zajęcia wśród społeczności miejsca pracownicy dla siebie i dla innych byt zdobywającej...

Marta podniosła nagle oczy na mówiącą.

— Tak, przerwała z żywością, tak, tak...

Spuściła znowu oczy i chwilę milczała. Znać było, że myśl jej uderzona została z nagłą wyrażeniem tego, co dotąd w nieokreślonych stawało przed nią zarysach.

— Tak, powtórzyła po chwili z mocą. Ubóstwo i potrzeba pracy zaskoczyły mię niespodzianie. Nic mię nie uzbroiło przeciw pierwszemu, nic nie nauczyło drugiej... Przeszłość moja była cała ciszą, miłością i zabawą... na burzę i samotność nie wyniosłam z niej nic...

— Okropny los! wyrzekła po chwili milczenia Marya Rudzińska, gdyby przeniknąć go, odgadnąć, zrozumieć całą jego okropność mogli wszyscy ojcowie, wszystkie matki!...

Powiodła dłonią po oczach i zwyciężając szybko swe wzruszenie, zwróciła się ku Marcie.

— Mówmy o pani, rzekła. Jakkolwiek z dwóch już dróg na jakie wstąpić próbowałaś, wytrącił cię brak stosownych do torowania ich narzędzi, nie trać nadziei i odwagi. Zawody nauczycielski i artysty-

czny okazały się dla pani niestosownymi, ależ praca umysłowa i artystyczna to jeszcze nie cały zakres działalności ludzkiej, a nawet kobiecej. Pozostaje jeszcze przemysł, handel, rzemiosło. Gdyś pani rozmawiała z moim mężem, przyszła mi do głowy myśl szczęśliwa... Znam zbliska właścicielkę jednego z najzamożniejszych sklepów bławatnych... byłam z nią nawet parę lat na pensji i odtąd zachowałyśmy pomiędzy sobą stosunki jeśli nie przyjaźni, to przynajmniej dobrej znajomości. Sklep obszerny, modny i zasobny, do usług swych potrzebuje prawdziwej armji komissantów, subjektów itd. Co więcej; niedawniej jak przed tygodniem, Ewelina D. spotkawszy się ze mną, w teatrze mówiła mi, że utraciła teraz jednego z najużyteczniejszych sklepowi jej subjektów i znajduje się z tego powodu w pewnym kłopotcie. Czy zgodziłabyś się pani stać w sklepie za kontoarem, przyjmować gości sklepowych, mierzyć materye, urządzić w oknach wystawy itd. Miejsca takie bywają bardzo dobrze opłacane, aby spełniać przywiązane do nich czynności niczego więcej prawie nie trzeba jak uczciwości, przyzwoitości układu i dobrego smaku. Czy pojedziesz pani ze mną do Eweliny D.? przedstawię cię jej, w potrzebie poproszę, namówię...

W kwadrans po wymówieniu słów tych przez Maryę Rudzińską, dorożka wioząca dwie kobiety zatrzymała się przed jednym z najokazalszych sklepów przy ulicy Senatorskiej istniejących. Przed drzwia-

mi opatrzonemi w szerokie zwierciadlane szyby stały dwie karety, pięknemi bardzo końmi zaprzężone, ze stangretami w liberyi na koźle.

Dwie kobiety wysiadły z dorożki i weszły do sklepu. Na odgłos dzwonka zawieszzonego u drzwi, z za długiego stołu całkiem prawie przedzielającego sklep na dwie połowy, wybiegł młody mężczyzna i z bardzo zgrabnym ukłonem zapytał je czego żądają.

— Chciałabym widzieć się z panią Ewelina D., rzekła Marya Rudzińska, czy jest w domu?

— Nie wiem z pewnością, z nowym ukłonem odpowiedział młody człowiek, ale natychmiast służyć pani będę z odpowiedzią.

Kończąc te słowa, poskoczył ku przeciwległej ścianie i przyłożył usta do otworu tuby prowadzącej na wyższe piętra domu głos mówiący na dole.

— Wyszła ale zaraz wróci, odpowiedziano z góry.

Młody człowiek poskoczył znowu ku dwom, niedaleko drzwi stojącym, kobietom.

— Raczą panie usiąść, wymówił wskazując stojącą w rogu sklepu, aksamitem obitą kanapkę, albo dodał wyciągając rękę w stronę wschodów zasłanym kobiercem, może na górę...

— Zaczekamy tutaj, odrzekła Marya Radzińska i wraz z towarzyszącą jej kobietą usiadła na kanapie.

— Mogłybyśmy pójść na górę i doczekać się po-

wrotu pani Eweliny w jej mieszkaniu, półgłosem mówiła Marya do swej towarzyszki, zdaje mi się jednak, że dobrze będzie jeśli przed rozmową z właścicielką sklepu, przypatrzysz się pani zwykłym zajęciom osób, sprzedających towary i zobaczysz na czem one polegają.

Widok jaki oczom dwóch kobiet przedstawiał się w głębi sklepu, niezmiernie był ożywionym. Składało go ośm istot ludzkich głośno i z nadzwyczajnym zapalem mówiących, i stopy materji rozwijanych, zwijanych, szeleszczących połyskiem jedwabiu i wszystkimi barwami tego świata, mieniających się i błyszczących. Z jednej strony długiego stołu, całkowicie zakrytego piętrzącemi się jedne na drugich lub rozwiniętymi i falującymi sztukami kosztownych materji stały cztery kobiety, ubrane w atłasy i sobole, właścicielki zapewne dwóch przed drzwiami sklepu oczekujących karet. Z drugiej strony stołu znajdowało się czterech młodych mężczyzn... tak: znajdowało się, niepodobna bowiem dla określenia pozycyi w jakiej zostawali użyć innego wyrazu jak ten, który określa pozycye ciał ludzkich wszelkie: stojące, chodzące, skaczące, przyginające się na wszystkie strony, wdrapujące nie na wszystkie ściany, rozdające ukłony wszelkich znaczeń i rozmiarów, dokonywające giesta najrozliczniejsze za pomocą najrozliczniejszych poruszeń rąk, piersi, głowy, ust, brwi, nawet włosów... Te ostatnie jakkolwiek w zwykłym porządku rzeczy dość poślednią grają-

ce rolę w organizmie i powierzchowności człowieka, tu na szczególną zasługiwały uwagę.

Wypomadowane, wyperfumowane, połyskujące, woniejące, w misterne pierścienie poskręcane lub w pełnym znaczenia nietadzie na czoła opadające, stanowiły one arcydzieła sztuki fryzjerskiej i zaraz do bardzo wysokiego stopnia podnosiły wytworność postaci młodych sklepowych. Być może iż postacie te nie były z przyrodzenia wielce wytwornemi, znać było nawet że natura obdarzyła je niepospolitą siłą fizyczną, grubością i jędrnością mięśni w zupełności upoważniającą do zajęcia się rodzajem pracy cięższym nieco, mniej wybrednym i przyjemnym jak rozwijanie jedwabnych tkanin, przesuwanie w dwóch palcach pajęczych koronek i wywijanie politurowanym, leciuchnym, zgrabniuchnym łokciem. Ramiona ich były szerokie, ręce duże, palce grube, twarze niezbyt nawet młodzieńcze, dojrzałością rysów i bujnością zarostu trzydziestkę z górą objawiające. Ale z jakimże pełnym najwybredniejszego smaku wytworem, sporządzone były czarne tużurki szerokie ramiona te obejmujące, jak wspinał się poniżej bujnych zarostów kolorowe krawaty rozwijały motyle swe skrzydła, jak wdzięcznemi gestami poruszały się te duże muskularne ręce, jakie gustowne a zarazem bijące w oczy pierścienie zdobiły te grube palce! Nic na świecie z wyjątkiem jednego śniegu, prześcignąć nie mogło w białości koszul puszystemi żabotami i wypukłemi haftami

wzdymających się na ich piersiach, nic na świecie żadna struna, żadna sprężyna, żadna gutaperczana piłka ani gorsetem wykształcona kibić niewieścia, iść nie mogły w zawody z giętkością poruszeń ich, sprężystością poskoków, ruchliwością oczów i doskonałym wyćwiczeniem języków.

— Kolor *Mexique* w białe *ramaże*! mówił jeden z tych młodych panów, rozwijając przed oczami dwóch kupujących kobiet jedną ze sztuk materii.

— Panie przełożą, może *Mexique pur*! zawołał drugi.

— Albo *gros-grains, vert de mer*! jest to ostatnie mody...

— Oto są koronki *Cluny* do oszycia peplonów i wolantów, brzmiał dźwięczny głos mężki przy drugim końcu stołu.

— *Valansieny, Alansony, Briuze, Imitacye, Blondyny, Illuzye*...

— *Fay* koloru *Bismark*! może trochę zbyt światły zbyt *voyant*? Oto inny z *ramażem* czarnym.

— *Bordeaux couleur sur couleur*! Pani żąda czegoś lżejszego?

— *Mosambique! sultan! kolor de chair!* wyborny dla brunetek!

— Panie życzą sobie czegoś w pasy! W horyzontalne czy w perpendykularne?

— Oto jest materya w *reyony*! białe i różowe, efekt wyborny! bardzo *voyant*!

— Reyony popielate, zupełnie dystyngowane!

— Rzut błękitny na białem fon! dla osób młodych!

— Koronka na puf albo na papilioną? Oto są barby—z brzegami dentelés i unis? które panie wolą?

— Panie kupują Bismark z ramażem? bardzo dobrze! ile łokci? piętnaście? nie! dwadzieścia?

— Panie przekładają barby z brzegami dantelowanemi? gust wyborny! czy na papilioną?

— Dla pani reyny popielate a dla pani rzut błękitny na białem fon? po ile łokci?

Urywki te rozmów prowadzonych przez czterech młodych panów z czterema kupującymi paniami składały się na pewien, jeśli tak wyrazić się można, szczebiot, który wychodząc z ust mężczyzn sprawiał efekt wcale niepospolity. Gdyby nie brzmienia głosów, które jakkolwiek przedziwnie ukształconymi modulacyami naśladowały miękko szelesty falujących materyi i ciche szmery rozwijanych koronek, niemniej przecież wychodziły z piersi męzkich, zaoznaczonych wyraźnie przez naturę w dość potężne płuca i doskonale zbudowane organa głosowe, niepodobnaby nawet wpaść na domysł, aby owe *ramaże*, *reyony*, *rzuty*, *fony*, *barby*, *wolanty*, *peplony*, *papiliony*, aby cały ten szczebiot niezrozumiały wszelkiemu niepoświęconemu uchu, niesłychaną erudycją w dziedzinie gałganków rozwijający, wychodzić mógł w istocie z ust mężczyzn,—mężczyzn, tych

przedstawicieli poważnej siły, poważnego myślenia i poważnego pracowania.

— Pani Ewelina D. wróciła! rozległ się po sklepie basowy głos, z otworu tuby wychodzący.

Marya Rudzińska szybko powstała.

— Zaczekaj tu pani chwilę, rzekła do Marty, rozmówię się wprzód sama z właścicielką sklepu, aby w razie odmowy z jej strony nie narażać panią na nadaremna przykrość. Jeżeli jak mam nadzieję wszystko pójdzie dobrze, przyjdę wnet po panią.

Marta z wielką wciąż uwagą, przypatrywała się odbywającej się z dwóch stron długiego stołu manipulacyi sprzedawania i kupowania. Po białych jej ustach przesunął się od czasu do czasu uśmiech: bywało to wtedy gdy poskoki sklepowych panów stawały się najsprężystszymi, fryzury najruchliwsiemi i oczy najwymowniejzemi.

Marya Rudzińska tymczasem przebiegła szybko wschody puszystym zasłane kobiercem, dwie duże sale ostawione dokoła oszklonemi szafami, i weszła do bardzo pięknie umeblowanego buduaru, w którym po kilku zaledwie sekundach dał się słyszeć szelest szybko sunącej po posadzce jedwabnej sukni.—Ach! c'est vous Marie! zawołał dźwięczny, pieszczony, bardzo mile w ucho wpadający głosik niewieści, i dwie białe zgrabne rączki pochwyciły w uścisk obie ręce Maryi.

— Usiądźże, moja droga, usiądź proszę cię! uczyniłaś mi prawdziwą niespodziankę! Jestem zawsze

tak szczęśliwą gdy cię widzę! Jakże ślicznie mi⁷ wyglądasz? A szanowny małżonek twój czy zdrow i zawsze tak wiele pracuje? Czytałam ostatni artykuł jego o .. o... niepamiętam już doprawdy o czym... ale prześliczny! A miluchna Jadzia, czy dobrze uczy się? Mój Boże! gdzie się to te czasy podziały, kiedyśmy z tobą Maryniu uczyły się także razem u pani Devrient! Nie wyobrazisz sobie jak drogiem mi jest wspomnienie tych chwil, z tobą na pensyi spędzonych!

Zgrabna, wystrojona, trzydziestoletnia przeszło kobieta z bardzo misternym kokiem z tyłu głowy, bardzo regularnemi choć nieco już zwiędłemi rysami twarzy i z ruchliwemi czarnemi oczami ocienionemi brwią czarną i szeroką, wymówiła ten potok wyrazów szybko, bez odetchnięcia prawie, nie wypuszczając z dłoni swych rąk Maryi, która usiadła przy niej na kozetce palisandrowej kosztownym adamaszkiem obitej. Mówiłaby pewno dłużej jeszcze, ale Marya przerwała jej mowę:

— Droga Ewelino! rzekła, przebacz że skrócę tym razem powitanie moje z tobą i nie wdając się w żadne wstępy zacznę rozmowę o interesie, który mi bardzo leży na sercu!

— Ty Maryniu, masz do mnie interes? mój Boże! jakże jestem szczęśliwą! mów, mów co najprędzej w czym ci mogę być użyteczną! Gotowam dla ciebie pójść pieszo na koniec świata..

— O, nie tak wielkiej ofiary żądać od ciebie bę-

dę, kochana Ewelino! zaśmiała się Marya, poczem dodała poważnie: poznałam niedawno pewną biedną kobietę, która wzbudziła we mnie bardzo żywe zajęcie...

— Biedną kobietę! z żywością przerwała właścicielka bogatego sklepu, żądasz więc pewno abym jej w czem dopomogła? O, nie zawiodłaś się na mnie Maryniu! ręka moja otwarta jest zawsze dla tych, którzy cierpią!

Mówiąc ostatnie wyrazy sięgnęła do kieszeni i wydobywszy z niej spory pugilares z kości słoniowej miała już go otworzyć, ale Marya zatrzymała jej rękę.

— Nie o jałmużnę tu idzie, rzekła; osoba o której chcę ci mówić nie żąda i nie przyjąłaby może jałmużny....pragnie ona i poszukuje pracy...

— Pracy! podnosząc lekko czarne brwi powtórzyła piękna pani Ewelina cóż więc przeszkadza jej pracować?

— Wiele rzeczy, o których zbyt długo by mówić poważnie odparła Marja i ujmując rękę dawnej towarzyszki nauk z prośbą i uczuciem w głosie dodała. Do ciebie właśnie przybyłam Ewelino z prośbą, abys jej dała możliwość pracowania.

— Ja...jej...możliwość pracowania? a to jakim sposobem moja droga?

— Abyś ją przyjęła za pannę sklepową.

Brwi właścicielki sklepu podniosły się wyżej jesz-

cze. Na twarzy jej malowały się zdziwienie i zakłopotanie.

— Droga Maryo, zaczęła po chwili jakając się i z widocznym zmieszaniem, to do mnie nie należy... w ogóle interessami tyzącącemi się sklepu zajmuje się mąż mój..

— Ewelino! zawołała Marya, dla czego mówisz przedemną nieprawdę? Mąż twój jest właścicielem sklepu w obec prawa ale ty zarządzasz interessami wspólnie z nim, więcej nawet od niego i wszyscy wiedzą dobrze, tybardziej ja wiem, że znasz się na interessach wybornie i masz dużo energii w przeprowadzaniu swych planów...dla czegóż więc...

Ewelina nie pozwoliła jej dokończyć.

— A więc tak, tak, wymówiła z żywością, przykro mi było odmawiać twej prośbie Maryniu i chciałam wymówić się znalezionym na prędce pretekstem, zrzucić wszystko na mego męża...postąpiłam źle, nie byłam od razu otwartą, wyznaję, ale też droga Maryo życzenie twoje najzupe łniejniepodobnem jest do spełnienia, najzupełniej...najzupełniej.

— Dla czego? dla czego? pytała Marya z taką samą żywością, z jaką przemawiała do niej Ewelina.

Obie kobiety posiadały znać charaktery żywe i wrażliwe.

— Ależ dla tego, zawołała Ewelina, że w sklepie naszym kobiety nie zajmują się nigdy sprzedają towarów tylko mężczyźni.

— Ale dla czegóż, dla czego kobiety nie zajmują

się tem tylko mężczyźni? Czy trzeba umieć po grecku albo móżdgię w palcach sztaby żelazne, aby...

— Ależ nie, nie! przerwała znowu gospodyni domu, mój Boże, wprawiasz mię droga Maryo w prawdziwy kłopot. Jakże ci ja odpowiem na twoje: dla czego?

— Czy należysz do osób, które nie zdają sobie sprawy z powodów swoich czynności?

— Ależ naturalnie, że nie należę do takich osób... gdybym do nich należała nie mogłabym być tak jak jestem czynną współniczką męża mego w przemysłowym przedsięwzięciu... oto widzisz dla tego że... że taki już zwyczaj.

— Znowu chcesz mię zbyć niczem, Ewelino, a jednak nie uda ci się to. Dawne koleżeństwo daje mi prawo do pewnej nawet względem ciebie niedyskrecyi. Powiadasz że taki jest zwyczaj...ależ zwyczaj każdy musi mieć swoje przyczyny leżące w interesach lub okolicznościach osób, które się go trzymają.

Gospodyni domu zerwała się z sofki i szybko parę razy przebiegła pokój. Długi ogon jej sukni szmerzał sunąc się po posadzce, na twarz jej na której tu i owdzie ukazywały się ślady nie dobrze startego pudru ryżowego wybił się lekki rumieniec zakłopotania.....

— Przypierasz mię do muru! zawołała stojąc przed Maryą, przykro mi będzie wymówić to co wymówię..., ale przecież ciebie, bez odpowiedzi po-

zostawić nie mogę. Odpowiem ci: publiczność nasza nie lubi kobiet sprzedających w sklepie... przekłada nad nie mężczyzn.

Marya zarumieniła się trochę i wzruszyła ramionami.

— Mylisz się, Ewelino, zawołała, albo mówisz znowu nieszczerze; to być nie może...

— A ja ci powiadam że tak jest... młodzi, dobrze ułożeni, przystojni sklepowi-sprawiają dobry efekt, pociągają do sklepu nabywców a raczej nabywczy-nie ..

Tym razem twarz Maryi zapłonęła wstydem i oburzeniem. Ostatnie przemogło.

— Ależ to szkaradzieństwo! zawołała, jeżeli mówisz prawdę, niewiem już doprawdy czemu ją przypisać...

— I ja niewiem czemu fakt ten przypisać należy, po prawdzie nie zastanawiałam się nigdy bardzo nad jego powodami... co mi do tego...

— Jakto... co ci do tego? Ewelino, przerwała znowu Marya, czyż nie rozumiesz że stosując się do tego, jak powiadasz zwyczaj, schlebiasz jakiemuś złemu, nie wiem dobrze jakiemu mianowicie ale naj-pewniej złemu...

Właścicielka sklepu stanęła na środku pokoju i wpatrzyła się w Maryą szeroko otwartymi oczami...

W oczach tych było wiele sprytu, nawet rozumu, w tej chwili jednak po powierzchni czarnych błę-

szczących źrenic przelatywały powściągane uśmieški.

— Jakto? wymówiła powoli, czyż sądzisz Maryo że dla jakichś tam teoryi powinnam antreprzyzą, naszą, jedyny fundusz nasz i naszych dzieci narażać na straty, na niebezpieczeństwa?.. Dobrze to wam literatom rezonować w ten sposób siedząc nad książką i piórem, my przemysłowcy musimy być praktycznemi...

— Czyliż przemysłowcy dla tego, że są przemysłowcami, uważać się mają za uwolnionych od uczuć i obowiązków obywatelskich? zapytała Marya.

— Wcale nie! z nowem uniesieniem zawołała właścicielka sklepu, to też ani mąż mój ani ja nie uchylamy się nigdy od spełnienia tych obowiązków. Dajemy zawsze ile tylko możemy...

— Wiem o tem że jesteście dobroczynnymi, należycie do wszystkich składek, filantropijnych projektów i zakładów, ale czyż tu o jałmużnę tylko idzie, o filantropią? Jesteście ludźmi zamożnymi, pod pewnym względem wpływowymi, powinniście brać inicjatywę we wszystkim co ma na celu poprawienie złych zwyczajów, prostowanie błędów społecznych.

Ewelina zaśmiała się z przymusem.

— Moja droga, rzekła, poprawianie i sprostowanie należy do takich ludzi jak mąż twój naprzykład... do uezonych, pisarzy, publicystów... My jesteśmy ludźmi ścisłego rachunku..... najściślejsze

zaś rachunki prowadzić musimy z publicznością, z jej gustami i wymaganiami... ona jest naszą panią, do niej zależy byt nasz... pomyślność i przyszłość naszego przedsięwzięcia...

— Tak, z mocą rzekła Marya i dla tego powinuiscie schlebiać jej bezsensownym kaprysom i bardzo podejrzaney czystości i podejrzanego smaku sympatyom... Aby cię za to coś powiedziała zmartwić trochę przynajmniej, powiem ci kochana Ewelino, że twoi sklepowi krygujący się i naksztalt papug paplający o *ramażach* i *papillionach* doskonale śmiesznie wyglądają...

Ewelina parsknęła śmiechem.

— Wiem o tem! zawołała zanosząc się od śmiechu.

— I że gdybym była na twojem miejscu, ciągnęła Marya, doradziłabym tym panom aby zamiast do jedwabiów i koronek wzięli się do pługa, siekiery, młota, kielni, lub czegoś podobnego. Dalekoby z tem przyzwoiciej wyglądali...

— Wiem o tem, wiem! śmiejąc się wciąż wołała gospodyni domu.

— A na miejsce ich, kończyła Marya, wzięłabym kobiety, które zbyt mało mają sił fizycznych aby orać, kuć i kamienice wznosić...

Ewelina przestała nagle śmiać się i z wielką powagą spojrzała na Maryę.

— Droga Maryo! rzekła; ci ludzie potrzebują także zarobku i potrzebują go daleko niezbędniej,

gwałtowniej niż kobiety... są oni przecież ojcami rodzin...

Tym razem Marya uśmiechnęła się.

— Moja droga, rzekła, muszę znowu odwołać się do praw koleżeństwa aby ci powiedzieć, że machinalnie powtórzyłaś w tej chwili to, o czem mówiących słyszysz ciągle, a nad czem nigdy chyba nie zastanowiłaś się sama. Ci ludzie są ojcami rodzin, być może, ale kobieta za którą wstawiałam się do ciebie, ma także dziecię, które wyżywić i wychować musi. Gdyby mnie naprzykład spotkało nieszczęście utracenia zacnego i drogiego człowieka, który nietylko daje mi szczęście sercu ale pracą swą, był mi zabezpiecza, nie byłabym matką i odpowiedzialną opiekunką mojej rodziny?

Gdybyście oboje, mąż twój i ty, za lat kilka zeszli ze świata i jak bywa często nie pozostawili po sobie majątku czyliż najstarsza córka wasza nie byłaby obowiązana, do podtrzymywania bytu, do starań około wychowania i pokierowania w świecie młodszego rodzeństwa?

EWELINA słuchała słów tych ze spuszczonemi oczami, trudno jej było widocznie zebrać się na odpowiedź. Niemniejszej jednak trudności doświadczała w odrzuceniu bez dostatecznych powodów prośby kobiety, z którą stosunek miłym znać był jej sercu, a może i pochlebiał jej miłości własnej. Niepospolity spryt malujący się w wyrazie twarzy jej i oczów, poddał jej po chwili nową odpowiedź.

— Gdyby zresztą i nie to, rzekła podnosząc oczy, znajdujeszże droga Maryo przyzwoitem, aby młoda kobieta (protegowana twoja jest zapewne kobieta, młodą) po całych dniach przebywała za jednym stołem z kilku młodymi ludźmi? Czy podobna okoliczność nie byłaby powodem zejść zgubnych dla niej, przykrych dla mnie a sklep mój narażających w obec publiczności na pewną kompromitację?

-- Powtórzyłaś znowu Ewelino jeden z krążących po świecie kommunałów. Obawiacie się aby praca wspólnie z mężczyznami podejmowana nie nadwyrężyła cnoty i honoru kobiety, a nie obawiacie się aby tego samego nie uczyniła bieda. Protegowana moja, jak nazywasz osobę o jakiej mowa, przed trzema miesiącami utraciła męża, ma dziecię które kocha, smutna jest, poważna, cała zajęta wyszukiwaniem dla siebie środków zarobkowania i jak o tem przekonałam się sama, bardzo ucziwa. Czyliż możesz przypuścić, aby kobieta w takim zostająca położeniu, z takimi uczuciami, wspomnieniami, z taką trwogą o jutro, mogła najlżejszą zwrócić uwagę na twoich wyelegantowanych pomocników? Zaręczam cię, że żadna myśl płocha nie powstałaby w jej głowie...

— Droga Maryo! zawołała Ewelina, tego co powiedziałaś niczem dowieść niepodobna. Kobiety są tak płocze... tak płocze...

— Prawda, z powagą patrząc na dawną koleżankę swą odparła Marya, ale czyż odpychanie ich od

wszelkiej pracy dobrem jest lekarstwem na płochość? Raz jeszcze powtarzam ci Ewelino, że kobieta o której mówię nie jest *teraz* ani płołąą, ani nieuczciwą.. jeżeli jednak zebrząc pracy jak jałmużny, od wielu drzwi odejdzie tak jak od twoich za chwilę odejść jej przyjdzie, nie ręczę wcale jaką stanie się w przyszłości.

— Przypierasz mię znowu do muru! zawołała właścicielka sklepu, a więc dobrze, wierzę ci że osoba którą się zajmujesz jest wzorem i uosobieniem cnoty, powagi, uczciwości...ale czy również będziesz mi mogła zaręczyć, że posiada ona tego ducha porządku, tę umiejętność ścisłego rachunku, tę akuratność w stawieniu się do roboty i pełnieniu jej, która nie cierpi ani chwili zwłoki, ani cienia zaniedbania?

Teraz przyszła na Maryę kolej zawahania się z odpowiedzią. Przypomniała sobie niepowodzenie jakie z powodu niedostatecznej umiejętności spotkało Martę w nauczaniu i rysowaniu, przypomniała sobie własne słowa Marty przed kilku godzinami do niej wyrzeczone: Nic nie uzbroiło mię przeciw ubóstwu, nic nie nauczyło pracy."

Marya milczała, gospodyni domu przenikliwa i żywa jak iskra, pochwyciła w locie chwilę zakłopotania i wahania się towarzyszki.

— Mówiłaś przed chwilą droga Maryo, że osobom zajmującym się sprzedażą towarów trzeba tylko umieć rozwijać, układać i mierzyć materye.

Tak to się zdaje na pozór. W gruncie powinny

one posiadać wiele innych przymiotów, jak na przykład: przyzwyczajenie do jak najściślejszego porządku, jeden bowiem przedmiot nie na właściwym miejscu umieszczony, jedna fałda materyi źle zagięta, jeden zwój koronki niedbale rzucony sprawia zamieszanie w sklepie lub przyczynia mu ważne straty. Trzeba także aby sklepowi umieli rachować i nie byle jak rachować, tam bowiem gdzie w każdej godzinie, minucie niemal wpływają summy coraz nowe i coraz inne cyfry reprezentujące, opuszczenie jednego grosza stać się może przyczyną nieładu w rachunkach, którego my najpilniej strzedz się musimy; nakoniec i przedewszystkiem sklepowi powinni znać świat, ludzi, wiedzieć w jaki sposób z kim się obejść, jak komu dogodzić, komu wierzyć na słowo, komu odmówić kredytu i t. d. Wszystkich przymiotów tych najczęściej pozbawione są kobiety. Nie przyzwyczajone do porządku, nieakuratne, dla przerachowania najdrobniejszej summy nosić muszą w kieszeni tabliczkę mnożenia, niewinne trusiątka tylko co odczepione od spódniczki mamy, zaledwie śmieją podnieść oczy na twarze kupujących, nie wiedząc jak do nich przemawiać, co o każdym z nich myśleć, albo też puszczane samopas, rozhukane, roztrzepane pozują na lwice, wdzięczą się, mówią i postępują bez taktu narażając siebie na niesławę, zakład w którym pracują niby na kompromitacyę. Mężczyźni jakkolwiek śmiesznymi wydają się z powodu układu swego i zajęć nie zupełnie męzkich, dla właścicieli

sklepów są bardzo dogodnymi i użytecznymi. Dla tego może każdy sklep na większą skalę do usług swych używa mężczyzn, kto tylko zaś próbował zastąpić ich kobietami źle na tem wyszedł. Kobiety moja droga, nie są dziś jeszcze wychowane tak, aby pogodzić się mogły z surowością obowiązku, despotycznością cyfry i wymaganiami tak różnolitej społeczności, a jaką jest społeczność kupujących.

Właścicielka sklepu przestała mówić i z pewnym tryumfem patrzyła na swą towarzyszkę. Miała w stocie do tryumfowania słuszną przyczynę. Marya Rudzińska stała ze spuszczonei oczami, z wyrazem smutku na twarzy i milczała. Ewelina wzięła jej rękę.

— No powiedz mi droga Maryo, rzekła, powiedz szczerze: czy możesz ręczyć za to, że twoja protegowana jest osobą porządną, akuratną, biegłą w rachunkach, pełną taktu i znajomości ludzi, tak jak ręczyłaś że jest ona uczeiwą.

— Nie, Ewelino, z trudnością wymówiła Marya, za to ręczyć nie mogę.

— A teraz, z coraz większą żywością nacierała na towarzyszkę właścicielka sklepu, powiedz mi czy możecie wy ludzie teoryi i rozumowań sprawiedliwie wymagać od nas, ludzi rachuby i praktyczności, abyśmy przez filantropiją, przez, jak mówiłaś, inicjatywę obywatelską, przyjmowali do zakładów naszych osoby do interesów niezdatne, a przez to narażali się na kłopoty, straty, całkowity może upadek naszych

przedsiębiorstw? Powiedz mi czy ktokolwiek może słusznie wymagać od nas tego?

— Zapewne że nie, wyjąkała Marya.

— Widzisz więc, rzekła Ewelina, że powinnaś mię mieć za usprawiedliwioną, jeśli życzeniu twemu zadość nie uczyniłam. Fakt wytrącenia z dziedziny przemysłu kobiet ubogich jest zapewne smutny, ale na konieczność jego, i nieuniknioność składają się tak kaprysy i nie zupełnie jasne instynkta kobiet bogatych żądnych rozrywki i Bóg wie jakich wrażeń, jak niedołężność, płochosć, płytkosć kobiet ubogich, potrzebujących pracy a pełnić ją nie umiejących. Kiedy pierwsze porozumnieją i wyszlachetnieją, a drugie okażą się lepiej przygotowanemi do pełnienia zajęć ścisłych i obowiązkowych, wtedy odprawię moich subjektów, a ciebie poproszę, abyś na ich miejsce wybrała dla mnie z liczby twych protegowanych panny sklepowe.

Przy ostatnich słowach Ewelina D. z cechującą ją żywością ucałowała Maryę w oba policzki.

Siedząca w sklepie kobieta w żalobie, usłyszała szelest sukni i kroków swej chwilowej opiekunki wtedy, gdy ta znajdowała się jeszcze u szczytu wschodów. Słuch jej był znać wyprężony, niecierpliwosć wielka. Powstała i zatoneęła oczami w twarzy zstępującej ze wschodów kobiety. Po kilku sekundach patrzenia ręka jej zadrżała lekko i oparła się o poręcz krzesła. Ze spuszczonej oczów Maryi i ży-

wych rumieńców, które wystąpiły na jej policzki, odgadła wszystko.

— Pani! zbliżając się do Maryi rzekła z cicha, oszczędź sobie przykrości opowiadania mi szczegółów. Nie przyjęto mię...wszak prawda?

Marya potwierdzająco skinęła głową i w milczeniu uścisnęła dłoń Marty. Wyszły ze sklepu i stanęły na szerokim chodniku ulicy. Marta była bardzo bladą. Można by rzec, że ogarnął ją chłód dolegliwy, bo drżała trochę pod futrzaniem okryciem, i że wstydzila się czegoś głęboko, bo nie mogła oderwać oczu od kamieni chodnika.

— Pani! pierwsza ozwała się Marya, Bóg widzi jak mocno boli mię niemożność dopomożenia ci na twej trudnej drodze. Z jednej strony zapiera ci ją własne twe niedostateczne przygotowanie, z drugiej obyczaj, brak inicjatywy, zła sława której używają kobiety pracownice...

— Rozumiem, zwolna i cicho wyrzekła Marta, nie przyjęto mię tu, bo opiera się temu zwyczaj, bo nie obudzam zaufania...

— Daj mi pani swój adres, unikając odpowiedzi rzekła Marya, może dowiem się o czemś dla pani pożytecznem, może będę kiedy mogła być jej pomocną....

— Marta wymieniła nazwę ulicy i numer domu w którym mieszkała, potem, podnosząc oczy w których malowała się gorąca wdzięczność, obie ręce wy-

ciągnęła ku dobrej kobiecie chcąc ująć i uścisnąć jej dłoń.

Zaledwie jednak ręce dwóch kobiet połączyły się, Marta usunęła żywo swoją i cofnęła się o parę kroków. Marya Rudzińska wsunęła jęj w dłoń tę samą kopertę z lilijowemi brzeżkami, której ona dwa tygodnie temu przyjąć od niej nie chciała.

Marta stała chwilę nieporuszona, przedchwilowa bladość jęj ustąpiła przed płomiennym rumieńcem.

— Jałmużna! szepnęła, jałmużna! i razem z tym wyrazem stłumiony jęk i głuche jakieś łkanie wstrząsnęły jęj piersią. Nagle zaczęła biedz szybko w stronę w którą poszła Marya. Fala przechodniów płynąca nieustannie chodnikiem, zakrywała przed nią osobę, którą dogonić pragnęła i utrudniało gonitwę. Na rogu ulicy dopiero Marta ujrzała skrećając w przeciwną stronę dorożkę, a w niej siedzącą Maryę.

— Pani! zawołała!

Głos jej był słaby, głuchy; przytłumił go, zdławił całkiem gwar i turkot uliczny.

Kobieta obdarzona litościwą ręką skierowała się ku Śto-Jerskiej ulicy, z zamiarem zapewne zwrócenia daru, który gorącym rumieńcem upokorzenia piętnował jęj czoło. Krok jęj szybki zrazu i gorączkowy, po chwili jednak stawał się coraz powolniejszym i mniej pewnym. Czy wzruszenia moralne jakich tyle doświadczyła w dniu tym zachwiały jęj fizyczną siłą? Czy może ogarniał ją namysł

jakiś głęboki, jakieś wahanie się wewnętrzne wstrząsało zamiarem, który powzięła była przed chwilą? Ścisnęła w dłoni delikatną kopertę, w której szeleściło parę wartościowych papierków, na rogu ulicy Śto-Jerskiej stanęła. Stanęła i przez chwilę pozostała nieruchoma, ręką oparta o róg muru, z twarzą bladą i pochyloną nisko. Nagle, zwróciła się w inną stronę i podążyła ku swemu mieszkaniu.

Duma i trwoga stoczyły w niej walkę ciężką, rozdzierającą, w której pierwsza uległa drugiej. Młoda i zdrowa niczem jeszcze nie sterana i nie znużona, łaknąca pracy wszystkimi siłami i pożądaniami swjej istoty, Marta przyjęła jałmużnę. Nie przyjęła-by jej może, uczucie godności osobistej nie ustąpiłoby w niej może przed obawą nędzy, gdyby była samą na świecie. Ale u szczytu wysokiej kamienicy, pomiędzy czterema nagiemi ścianami dziecię jej drżało od zimna, tęsknemi oczami spoglądało w okopconą głębię pustego komina, bladością twarzyczki, zapadnięciem policzków, chorobliwą szczupłością, drobnego ciała, wzywało obfitszego pożywienia ..

I był to w życiu młodej kobiety dzień bardzo ważny lubo ona z ważności jego nie zdawała sobie może dokładnej sprawy. Był to dzień, w którym po raz pierwszy przyjęła ona jałmużnę, a więc skosztowała tego chleba, który gorzki dla starców i kalek, trującym jest i rozkładającym jadem dla młodych i zdrowych.

Tego wieczora w izbie na poddaszu palił się na

kominię wesoły ogień, przy stole nad talerzem pełnym rosółu siedziała Jancia. Po raz pierwszy od dawna, dziecię to doświadczało przyjemnego poczucia ciepła i zjadało ze smakiem starannie sporządzoną, posilną potrawę. To też duże czarne oczy dziewczynki, przenosiły się z kolei to na ozłoczoną promieniem głębię komina, to na leżącą obok talerza krajankę chleba powleczoną warstewką masła, a usta nie zamykały się ani na chwilę. Marta siedziała przed ogniem w postawie nieruchomej; profil jej rysujący się na czerwonym tle płomienia surowy był i zamyślony. Oczy jej błyszczały suchym połyskiem, brwi zbiegły się i utworzyły pośród białego czoła głęboką bruzdę.

Przed nią zawieszona w pustej przestrzeni stała postać kobieca ze śmiertelną trwogą na twarzy, z rumieńcem wstydu na czole, z załamaniem rękami. Postać ta była własną jej postacią odbitą w zwierciadle jej wyobraźni. Tyżesz to jest, mówiła w myśli Marta do zjawiska wyłonionego z własnego jej ducha, tyżesz to jest tą samą kobietą, która tak pięknie przyrzekała sobie i dziecięciu swemu, że pracować będzie, że wytrwałością, energią drogę sobie pomiędzy ludźmi utoruje i miejsce pod słońcem zdobędzie. Cóżesz od chwili owych bohaterkich postanowień uczyniła? Jak spełniłaś obietnicę w głębinach ducha daną drogim ceniom Ojca tego dziecięcia?

Postać niewieścia zakolysała się w przestrzeni na wzór gałęzi wiotkiej, miotanej wichrami; za całą od-

powieź silniej załamala dłonie i drżącemi usty szepnęła: Nie potrafiłam! nie umiem! O, niedoleżna istoto! zawołała w myśli Marta, jesteście godną nosić nazwę człowieka skoro głowa twa tak bezmyślna, że nie wie dobrze co sądzić o sobie samej, ręce tak słabe, że nie zdołają osłonić opieką jednej drobnej, biednej główki dziecięcej! Za cóż więc ludzie szanowali się kiedyś? Możecie teraz szanować samą siebie?

Zawieszona w przestrzeni postać kobieca rozplotła dłonie i zakryła niemi twarz swą, która schyliła się nisko.

Z suchych dotąd oczów Marty łzy potoczyły się gorącym strumieniem, i bujnemi kroplami przeciekały przez palce, któremi sobie twarz przysłoniła.

— Ty płaczesz mamó! zawołała mała Jancia i zerwała się z krzesła. Stała przed matką, oczami w pół zdziwionemi, w pół rozżalonemi patrzyła na nią chwilę, aż nagle osunęła się na ziemię, drobnymi ramionami objęła jej kolana i pocałunkami okrywać zaczęła nogi jej i ręce. Marta odjęła dłonie od twarzy i kilka sekund siedziała jak skamieniała. Słodkie pocałunki ust dziecięcych paliły ją jak ślizgające się po ciele węże zgryzoty, gorąca miłość tej drobnej, u kolan jej klęczącej istotki, rozrywała jej serce i na torturach rozciągała sumienie...

Pochyliła się, wzięła dziecko w objęcia, po kilka razy przycisnęła usta do czoła jej i policzków, potem zerwała się z siedzenia, poskoczyła ku oknu i upadając na kolana wzrok i ręce podniosła ku ka-

walkowi nieba, którego tło ciemne i głębokie błyszczowało gwiazdami.

— Boże! zawołała głośno prawie, daj mi miejsce na ziemi! małe, biedne choćby miejsce ale na którym pomieścić bym się mogła wraz z dzieckiem mojem! Nie pozwól abym omdlała i bezsilna po raz drugi jeszcze przyjąć musiała jałmużnę, abym nie spełniła macierzyńskiego obowiązku, utraciła spokój sumienia i szacunek dla samej siebie!

Zaiste! próby, które kobiéta ta zanosila do nieba nedorzecznie, niesprawiedliwie wymagającemi były, nieprawdaż czytelnicy? Nie żądała ona wprawdzie zasiadać na ministeryalnym krześle ani imienia swego głosić po świecie stugębną sławą ani w wyuzdanej swobodzie używać zabronionych rozkoszy, ale pragnęła żyć i jedynéj istocie, którą kochała na ziemi życie kawałkiem chleba podtrzymać, pragnęła uniknąć doli żebraczej i módz przed samą sobą wstydem nie płonąć. Jakże ambitną była, zazdrośną, pożądliwą i w pożądaniami swych rozuzdaną! nieprawdaż?

Zwyciężyła siebie znówu, zgnębiła i do milczenia zmusiła szarpiące ją: wstyd, żal, trwogę, powstała z klęczek ze spokojną twarzą, rozplakaną dziewczynkę wzięła na swe kolana i cichym, łagodnym głosem opowiadać zaczęła ulubioną jej bajeczkę. Posiadała ona w sobie widocznie sporą sumę sił ducha i woli. Miałyżby siły te pozostać dla niej bez użytku, posługiwać jej tylko w walkach uczuć a giąć

się kornie i upadać bezwładnie pod wrogą mocą niedołężności głowy i rąk, uciążliwości otaczających ją żywiołów zewnętrznych.

Przez całą długą noc zimową, Marta nie zamykającami się ani na chwilę oczami, patrzyła w ciemność zalegającą izbę, machinalnie ścigała uchem spokojny oddech śpiącego obok niej dziecka, i myślała nad tem, co jej jutro czynić wypada.

Nazajutrz około południa kobieta w żałobie wchodziła do niezbyt wielkiego lecz bardzo wytwornego magazynu za którego oknami zwieszały się bufiaste kobięce suknie, i nakształt roju motylów, najrozlicniejszemi barwami migotały zgrabne kapelusiki i malutkie czepeczki. Był to magazyn w którym niegdyś Marta zaopatrywała się zwyczajnie w przedmioty do stroju potrzebne.

Na odgłos dzwonka, który zakołysał się u drzwi, z przyległego pokoju wyszła kobieta młoda jeszcze z piękną kibicią i bardzo przyjemną twarzą. Spojrzawszy na Martę uśmiechnęła się i ukloniła bardzo uprzejmie. Znać poznała dawną swą klientkę i widziała ją znowu u siebie z przyjemnością.

— Jakże dawno pani u nas nie była, z jednostajnie uprzejmym uśmiechem rzekła właścicielka sklepu, wnet jednak szybkim spojrzeniem orzucając żalobną suknię Marty dodała: Mój Boże! słyszałam o nieszczęściu, które panią spotkało. Znałam przecież dobrze p. Świckiego!

Wyraz boleści przesunął się po twarzy młodej

wdowy. Dźwięk nazwiska człowieka ukochanego i utraconego, ostrzem sztyletu drasnął świeżą ranę jęj serca. Nie wolno jęj było przecięż utrzymywać się długo śród drogi i beczynnje słuchać rozmawiających w jęj wnętrzu głosów, żalów i wspomnień.

— Pani! rzekła podnosząc oczy na stojącą, przed nią kobietę, dotąd przychodziłam tu zwykle aby nabywać różne rzeczy, teraz przychodzę do pani z prośbą, abyś chciała nabyć u mnie czas mój i pracę rąk moich.

Mówiąc to poskromiła drżenie głosu i na białych ustach swych wymogła uśmiech.

— Szczerze pragnęłabym stać się pani w czym użyteczną, ale... nie zrozumiałam dobrze znaczenia słów jęj.

— Czy nie przyjmiesz mnie pani do zakładu swego na szwaczkę.

Właścicielka magazynu usłyszawszy słowa te, nie wydawała się wcale zdziwioną, ani zmięszaną, nie zmieniła wyrazu twarzy pełnego uprzejmości i współczucia. Przez chwilę stała w milczeniu namyślając się, potem wskazała ręką na drzwi przyległego pokoju i bardzo grzecznie rzekła.

— Chciej pani wejść do pracowni; będziemy tam mogły wygodniej pomówić o interesie.

Pracownia przytykająca do magazynu zawierała się w dość dużej sali, w której przy stole pod oknami umieszczonym, mnóstwem wstążek, koronek, piór, kwiatów i kawałków materyi zarzuconym, siedziały

trzy młode kobiety sporządzające kapelusze, stroiki na głowę i ozdoby do sukien delikatnego obrobienia wymagające. W głębi sali rozlegał się turkot dwóch maszyn do szycia, nad którymi pochylały się także dwie postacie kobiece, pośrodku zaś stał stół cały okryty tablicami kroju i wielkimi kawałami sukien, płócien, batystów, muślinów pośród których błyszczały stalowe nożyce, w ołów oprawne kredki i ołówki. Wszystkie kobiety znajdujące się w pracowni pilnie zajęte były swemi robotami, jedna z nich tylko przy wejściu Marty podniosła głowę z nad maszyny; popatrzała na wchodzącą i spotkawszy się z jej wejrzeniem oddała jej grzeczny ukłon.

Właścicielka magazynu wskazała Marcie krzesło przy jednym ze stołów umieszczone, poczem zwróciła się do młodej panny, która w tej chwili właśnie przypinała bogate strusie pióro do aksamitnego kapelusza.

— Panno Bronisławo! rzekła, pani ta życzy sobie pracować u nas. Zdaje mi się że okoliczności składają się bardzo szczęśliwie. Wczoraj właśnie mówiłyśmy z panią, że jedna jeszcze para rąk byłaby nam bardzo użyteczną.

Panna w ten sposób wezwana i widocznie pomiędzy pracownicami magazynu pierwsze miejsce zajmująca, powstała i zbliżyła się do stołu.

— Tak, pani, rzekła, od oddalenia się panny Leontyny, jedna z maszyn pozostaje bezczynną. Panna Klara i panna Krystyna nie mogą wydołać szyciu.

Mnie także nie sposób zająć się krojem tyle ile trzeba ponieważ muszę dyrygować wyrabianiem kapeluszy. Robota opóźnia się, zamówienia nie spełniają się we właściwej porze.

— Masz pani zupełną słuszość, po chwili namysłu odpowiedziała właścicielka sklepu, myślałam już o tem sama a ponieważ pani Świcka przybyła tu z chęcią pracowania u nas, zdaje mi się iż nic nie przeszkadza abym mogła spełnić życzenie osoby, która w innej porze była na nas łaskawą.

Panna Bronisława skłoniła się grzecznie.

— Zapewne rzekła, jeżeli tylko pani zna się na kroju ...Słowa te wymówione były tonem pytania. W tej samej chwili jedna z maszyn umilkła, a siedząca przy niej młoda kobieta podniosła głowę z widoczną uwagą zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

Trzy osoby stojące przy wielkim stole pośrodku sali umieszczonym, milczały chwilę. Właścicielka magazynu i jej pomocnica z wyrazem pytania patrzyły na Martę; Marta wiodła wzrokiem po rozpostartych na stole tablicach kroju, od góry do dołu zakreślonych czarnymi linijkami, kropkami, wężykami które biegnąc wzdłuż i wszerz arkusza, krzyżując się, zbiegając, rozbiegając, zakreślając najrozmaitsze figury geometryczne przedstawiały nieumiejętnemu oku, chaos do rozwikłania niepodobny.

Powieki Marty podniosły się zwołna i ciężko. Nie mogę, rzekła, przyznawać się do umiejętności której

nie posiadam, byłoby to z mej strony nieuczciwością i zresztą nie przydałoby się na nic. Krój znam trochę ale bardzo mało o tyle, aby módz wykroić kołnierzyk, może koszulę....sukien, okryć a nawet wytworniejszej trochę bielizny krajać nie potrafię..

Właścicielka magazynu milczała, ale po ustach panny Bronisławy przeleciał niechętny trochę uśmiešek...

— To dziwne! rzekła zwracając się do naczelniczki zakładu, mnóstwo osób żąda zajmować się szyciem a tak trudno znaleźć kogoś ktoby był biegły w krajaniu. Jest to przecież podstawa całej roboty.

Tu biegła i niewątpliwie wysoko opłacana szwaczka zwróciła się do Marty.

— Co zaś do samego szycia? wymówiła pytającym znowu tonem.

— Szyć umiem nieźle, odrzekła Marta.

— Na maszynie, zapewne.

— Nie pani, na maszynie nie szylam nigdy.

Panna Bronisława zeszywniała, założyła ręce na piersi i stała w milczeniu. Właścicielka magazynu wyglądała też w tej chwili sztywniej i chłodniej trochę niż wprzódy.

— Prawdziwie.. zaczęła po chwili jękając się i z trochę zmieszania, jestem prawdziwie bardzo zmartwioną...potrzebowałam głównie osoby zdatnej do kroju...zresztą i do szycia ale na maszynie...u nas nie szyje się inaczej jak na maszynie.

I znowu pomiędzy kobietami stojącymi przy sto-

le, panowała chwila milczenia. Usta Marty drżały trochę, na twarzy jej gorące rumieńce mieniły się z bledością.

— Pani, wymówiła podnosząc oczy na właścicielkę magazynu, czy nie mogłabym nauczyć się.... pracowałabym tymczasem darmo... byleby mózdz nauczyć się...

— To niepodobna! ostrym trochę tonem zawołała panna Bronisława.

— To trudno, przerwała właścicielka magazynu i grzeczniejsza od swej domownicy mówiła dalej. Sporządzamy różne ubiory po większej części na zamówienia z materiałów kosztownych, do nauki i wprawiania się służyć nie mogących... roboty wykonywać musimy śpiesznie bo i tak z przyczyny niedostatku doskonale ukształconych pracownic, czujemy trochę brak dostatecznej ilości rąk i opóźniamy się... co przynosi nam straty i nieprzyjemności. Dla tego możemy przyjmować takie tylko pracownice, które są dostatecznie już przygotowanymi... Bardzo żałuję, niech pani wierzy, iż bardzo żałuję nie mogąc spełnić jej żądania....

Wtedy dopiero gdy właścicielka magazynu kończyła te słowa, maszyna, która umilkła była przy rozpoczęciu się rozmowy zaturkotała znowu. Schylona nad nią kobieta łzę miała w oku.

Marta po wyjściu z magazynu skierowała się nie ku mieszkaniu swemu ale w inną, zupełnie stronę. Z wyrazu twarzy jej poznać można że szła bez ce-

lu, ręce jej zasunięte były w rękawy okrycia i ściśle z sobą zwarte. Marta doświadczała wciąż bezwiednego lecz gwałtownego pragnienia podniesienia w górę splecionych dłoni i ściśnięcia niemi głowy, która płonęła i ciążyła jej niewymownie. W głowie tej była zrazu jedna tylko myśl powtarzająca się z uporczywą nieustannością i nadzwyczajną szybkością: nie umiem! Myśl ta roztrzeliwała się na tysiące błyskawic, na tysiące sztyletów, które przesywały mózg, kłuły w skronie i ostrzami spuszczały się aż na dno piersi. Po kilku minutach Marta pomyślała: — zawsze i wszędzie to samo...

Przez chwilę nie myślała znowu o niczem a raczej bezwiednie już ale nieustannie powtarzała w myśli: nie umiem!

Nagle wróciła do przedchwilowego twierdzenia i dodała doń pytanie. — Co to jest co idzie za mną zawsze i wszędzie, wypycha mię zewsząd?...

Potarła dłonią czoło i sobie samej odpowiedziała.

— Wszędzie i zawsze idę ja sama ze sobą i sama siebie wypycham zewsząd...

Zdo była się na wysilenie wielkie, aby módz myśleć i sięgnęła w przeszłość, poczynając od owej chwili w której w salonie informacyjnego bióra siadała do fortepianu, aby niefortunnie zagrać niefortunną *priere d'une vierge*, aż do tej ostatniej, w której stojąc w pracowni bogatego magazynu na zadawa-

ne jej pytania odpowiadać musiała: nie potrafię!...

— Zawsze to samo! powtórzyła w myśli, wszystkiego po trochu nie gruntownie i do dna... wszystko dla ozdoby lub drobnych wygódek życia, nie dla jego użytku...

Kilkanaście słów tych wymożonych na umyśle, oplątanych jak siecią, jednym słowem, nie umiem! zmęczyły ją. Dnia tego wychodząc z domu była tak stroskaną, tak zajęta, rozgorączkowaną, niemal nowym powziętym planem, że nie pomyślała o przyjęciu posiłku. Patrząc na Jancię wypijającą zwykłą swą poranną szklankę mleka, czuła nawet pewien wstręt do jedzenia. Targana wciąż i raniona w niej strona moralna oddziaływała na fizyczną. Nogi chwiały się pod nią, serce uderzało z mocą i szybkością, niezwyczajną, chociaż szła zwolna. Teraz tylko po głowie jej szamotało się nowe pytanie zawarte zrazu w krótkiej formule: dla czego? Po chwili do wyrazu tego przyrastać poczęły inne wyrazy bezwładne zrazu, potem szykujące się w pewien logiczny wątek myśli. — Dla czego... tak jest? pytała samą siebie młoda kobieta, dla czego ludzie wymagają odemnie tego czego nikt mi nie dał? Dla czego nikt mi nie dał tego czego dziś ludzie wymagają odemnie?

W tej chwili Marta drgnęła, uczuła że ktoś dotknął z lekka jej ramienia.

— Czy pani pozwoli abym przypomniała się jej

znajomości? zadźwięczał za nią łagodny, nieśmiały nawet trochę, głos kobiety.

Marta odwróciła się i zobaczyła tę samą kobietę która przy wejściu jej do pracowni magazynu podniosła głowę z nad maszyny i oddała jej grzeczny ukłon, a potem szyć przestała i z uwagą przysłuchiwała się rozmowie o losie jej stanowiącej. Była to osoba nieładna i wcale niepokązna, dość zgrabna jednak jak każda prawie Warszawianka, bardzo porządnie ubrana, z wyrazem rozsądku i dobroci na ospą oszpeconej twarzy.

— Pani nie poznaje mię może, postępując obok Marty mówiła panna, jestem Klara, pracuję w magazynie pani N. od pięciu lat blisko, szłam kiedyś suknie dla pani i odnosiłam je pani na Graniczną ulicę.

Marta patrzyła na postępującą obok niej kobietę omglonemi oczami.— W istocie, przypominam sobie, wymówiła po chwili z trudnością.

— Przepraszam panią, że jestem tak śmiała i zaczepiam panią na ulicy, ciągnęła dalej Klara, ale pani byłaś dla mnie kiedyś tak dobrą i grzeczną... miałaś taką śliczną malutką córeczkę.. czy córeczka pani...

Zawahała się z dokończeniem pytania, ale Marta myśl jej odgadła.

— Dziecko moje, rzekła, żyje....

Ostatni ten wyraz wyrwał się z ust jej mimowoli zapewne, bo szybko i niewyraźnie, zadźwięczała

w nim jednak gorycz taka jakiej dotąd w głosie jej nie było nigdy. Klara milczała chwilę jakby namyślając się, potem rzekła.

— Słyszałam o śmierci pana Świckiego i zaraz pomyślałam, jak też to pani da sobie radę na świecie... a jeszcze z dzieckiem. Ucieszyłam się bardzo zobaczywszy panią, przychodzącą do naszego magazynu i myślałam, że pani pracować z nami będzie. To byłoby bardzo dobrze bo pani N. jest dobrą, i płaci nieźle... panna Bronisława tylko trochę kapryśna i czasem fonfry stroi, ale kiedy człowiek biedny to musi przecież znieść czasem cokolwiek... byle robota była. To też było mi przykro, bardzo przykro jak posłyszałam że pani N. odmawia pani roboty... przypomniałam sobie zaraz moją biedną Emilkę... Ostatnie słowa szwaczka wymówiła ciszej i jakby do siebie, ale Marta uderzona niemi była więcej niż wszystkimi poprzedzającymi.

— Któż to taki, ta biedna Emilka, panno Klaro? zapytała młoda wdowa.

— To moja siostra cioteczna, o parę lat odemnie młodsza. Moja matka i jej matka były rodzonemi siostrami, ale jak często bywa nie jednostajne miały dole. Jej matka wyszła za urzędnika, moja za rzemieślnika. Kiedy dorastałyśmy obie, Emilka była panienką a ja prostą dziewczyną. Do tego jeszcze ona była ładną a mnie ospa do reszty już zeszpeciła, kiedym jeszcze miała lat dwanaście. To też ciotka bywało mówiła zawsze, Emilce dam

edukacją a potem za mąż ją wydam dobrze.. trzymała do niej guwernantkę na początki, potem na jakąś małą pensyjkę posyłała. Moja matka martwiła się naprzód okropnie, że mię ospa tak zeszpeciła, ale ojciec nie bardzo martwił się. — To i cóż? mówił, brzydka będzie; za mąż nie pójdzie, wielka bieda! albo to jeden mężczyzna nie żeni się, a dla tego żyje na świecie i nie bardzo mu źle! Moja matka odpowiadała. — Mężczyzna to co innego! broń Boże czego na nas to Klara nie wyszedłszy za mąż z głodu umrze! Ale ojciec zamiast martwić się tak jak matka, śmiał się a czasem i gniewał się. — Oj, wy baby, baby! mówił, u was tak, jak tylko za mąż nie pójdzie to i z głodu umrze! Albo to dziewczyna rąk nie ma, czy co? A trzeba wiedzieć że sam był cieślą i lubił chwalić się swoją siłą. Bywało mówił. — Ręce panie, to grunt! Głowę pan Bóg jednemu daje, drugiemu nie daje, ręce każdy ma! Miałam tedy lat trzynaście kiedy rodzice zaczęli posyłać mię na naukę do szwalni, naturalnie że płacili za mnie i dużo płacili, ale też chwała Bogu nauczyłam się wszystkiego czego trzeba..

— I długo pani uczyłaś się? zapytała Marta, która z coraz większem zajęciem słuchała prostego opowiadania szwaczki.

— O! uczyłam się dobre trzy lata! odpowiedziała panna Klara, a i potem jeszcze odrazu zarabiać nie mogłam tylko cały rok pracowałam darmo w magazynie, aby tylko wprawić się w krajanie, w szycie

na maszynie i nabrać gustu. Teraz za to umiem już tyle, że mogłabym sama założyć szwalnię albo magazyn gdybym miała pieniądze, bo na to trzeba mieć choć trochę pieniędzy... ale trzy lata temu ojciec nas odumarkł, oprócz mnie zostało przy matce dwóch młodszych braci, z których jeden terminuje u stolara, a drugi do szkół chodzi... za naukę obydwóch trzeba płacić a i matce, niemłodej już kobiecie jaką taką dać wygodę...

— I pani sama pracujesz na to wszystko?

— Prawie sama, bo po ojcu został się nam tylko mały domek na Solnej w którym mieszkamy... no to już za mieszkanie płacić nie potrzebujemy... zresztą pani N. płaci mi dobrze i jakoś tem co od niej biorę łatamy się jako tako, żeby i wyżyć i braci w świecie pokierować.

— Mój Boże! zawołała Marta, jakaś pani szczęśliwa!

— Tak, odrzekła Klara, po prawdzie nie bardzo to wesołe życie siedzieć tak po całych dniach przy robocie i tylko w Niedzielę albo święto na świat boży wychodzić, ale kiedy pomyślę sobie, że robota moja daje sposób do życia matce i jaką taką przyszłość zapewnia braciom, czuję się bardzo szczęśliwą i wielką mam litość nad temi, którzy jak bywało ojciec mój mówił, ani głowy ani rąk nie mają. Com się ja nie martwiła nad tą Emilką, com ja nie napłakała się z jej przyczyny...

— Czy nie wyszła za mąż? zapytała Marta.

— Ot tak, jakoś się stało, że choć miała edukacyą i była ładną nie wyszła. Ojciec jej stracił posesadę i ze zgryzoty zaniemógł, do tego czasu jeszcze leży w łóżku biedaczysko ni to żywy ni to umarły. Matka także chorowita i prawdę mówiąc, kapryśna, kobieta, zgryźliwa; oprócz Emilki ma jeszcze w domu młodszą córkę i syna, z którymi nie ma co zrobić bo za naukę wszędzie płacić trzeba, a tu w domu bieda, głód nietylko co... Emilkę ciotka zaczęła odrazu pędzić do pracy jak tylko zubożeli, ale oprócz tego że dziewczynie rozbałamuconej balami i strojami nie chciało się wziaść do pracy, pokazało się że ta wielka edukacya, którą jej ciotka dawała nie dała jej ani głowy ani rąk. Chciała być nauczycielką ale gdzie tam! brząkać brząka na fortepianie i po francuzku podobno niezłe mówi, ale jak przyszło do uczenia ani w ząb... nikt jej nie chciał... dostała była dwie lekcyje po 40 groszy za godzinę a i te prędko jakoś straciła...

Zresztą nic dobrze nie umie...gdzie tylko udała się prosząc o robotę odprawiali ją z kwitkiem, a tu matka w domu gryzie za próżniactwo, chory ojciec w łóżku stęka, brat bąki zbija po ulicach i tylko patrzeć jak złodziej z niego będzie, siostra z nudów i ze złości kłóci się z całą familiją, jeść czego nie ma ani w piecu czem zapalić. Emilka ma dobre serce to też martwiła się okrutnie, wymizerniała, myśleliśmy że już suchot dostanie, aż dwa miesiące temu dopiero znalazł się zarobek...

— Znalazł się jednak! zawołała Marta i odetchnęła głęboko, jakby z piersi jej zsunął się tłoczący jakiś ciężar. Gdy słuchała historii biednej nieznannej dziewczyny, zdawało się jej że ktoś opowiada dzieje kilku ostatnich przez nią samą przeżytych miesięcy. Podobieństwo smutnej doli tej do własnego jego losu, budziło w niej palące współczucie i ciekawość. Klara przecież milczała chwilę. Po namyśle dopiero i lekkim jakby wahaniu się nieśmiałym trochę głosem zaczęła mówić.

— Kiedy pani wyszła z naszego magazynu starałam się ją dopędzić na ulicy...na szczęście jest to pora w której codziennie idę do domu na dwie godziny, aby obiad zjeść i matce w uporządkowaniu kuchni dopomóc... potem wracam znowu na pięć godzin do magazynu... Otóż wybiegłam za panią aby pani powiedzieć że jeżeli...jeżeli byś pani wypadkiem...w takim samym znajdowała się położeniu w jakim dwa miesiące temu była moja biedna Emilka, to może... może byś pani zgodziła się pracować tam gdzie ona teraz pracuje...

Nieśmiałość z jaką słowa te wymówionemi były, uprzedzała już z góry, że zawierająca się w nich propozycja nie była arcy-świetną. Ale Marta szybko i jakby z długiego snu zbudzona pochwyciła rękę szwaczki.

— Panno Klaro, zawołała, mów pani, mów prędzej na wszystko zgodzę się, na wszystko w świecie! jestem przywiedziona do ostateczności. Głos jej gdy

mówiła stłumiony był i drżący, dłoń z konwulsyjną niemal siłą ścisnęła rękę szwaczki.

— Ach mój Boże! zawołała z kolei panna Klara, jakże to szczęśliwie że mi ta myśl przyszła do głowy skoro pani w takim przykrem zostajesz położeniu, a jeszcze z dzieckiem... z tym ślicznym aniołkiem z którym pani pozwalałaś mi czasem bawić się, kiedy odnosiłam suknie jej na Graniczną ulicę. Chociaż znowu doprawdy...nie zazdrośny to los tych kobiet które u Szwejcowej pracują...

— Któż to jest ta Szwejcowa? gdzie mieszka? czem zajmuje się? pytała Marta z gorączkową ciekawością i niepokojem.

— Szwejcowa pani, ma przy ulicy Freta zakład szycia, w którym sporządzają najrozmaitszą bieliznę. Ale to dziwny zakład doprawdy, obszerny i bardzo nawet zamożny, pracuje w nim około dwudziestu kobiet a ani jednej nie ma maszyny. Od sześciu z górą lat we wszystkich szwalniach i magazynach nie szyją inaczej jak na maszynach, ale Szwejcowa nie kupiła ani jednej, krojem zajmuje się sama z córką a do szycia przyjmuje takie tylko robotnice, które na maszynie szyć nie umieją, a roboty na gwałt potrzebują...to też płaci im płaci...aż wstyd i żal o tej zapłacie mówić..

— Wszystko to nie zmienia postanowienia mego panno Klaro, przerwała żywo Marta, ja także tak jak cioteczna siostra twoja nic dobrze nie umiem, i muszę iść tam gdzie wymagają najmniej.

— I dają najmniej, ze smutkiem dokończyła Klara; zapewne mówiła dalej, lepiej przecież mieć coś jak nic.

Skoro więc pani życzysz sobie tego; mogę panią zaprowadzić do Szwejcowej.

— Daj mi pani tylko dokładny adres, pójde sama. Wszak nie masz w wiele czasu do stracenia.

— Nie, pójde z panią; spóźnię się tylko na obiad ale to nic nie szkodzi; matka moja nie będzie niepokojną o mnie, bo zdarza się czasem że zatrzymuję mię w magazynie dłużej niż zwykle, gdy pilna jest robota. Zresztą i Emilki dawno już nie widziałam pójdziemy razem.

Marta nowym uściskiem ręki podziękowała poczciwej szwaczce i obie kobiety poszły drogą prowadzącą ku ulicy Freta . Po drodze Klara mówiła do Marty. Szwejcowa jest kobietą niemłodą i różnie ludzie o przeszłości jej opowiadają. Założyła szwalnię lat temu już ze dwadzieścia, ale nie szczególnie jej szło dopóki maszyn do szycia nie było. Odkąd zaczęto szyć na maszynach Szwejcowa wzbogaciła się. Może to komu wydać się dziwnem, a jednak tak jest. Słyszałam jak pani N. rozmawiając z panną Bronisławą, mówiła, że Szwejcowa *eksploatuje* biedne robotnice, które mało umieją i z wielkiej biedy muszą pracować za byle co. Nie rozumiem dobrze co ten wyraz znaczy, ale zdaje mi się, że jeżeli Szwejcowa krzywdzi biedne kobiety, nie tylko jej w tem wina ale jeszcze i ktoś innego...

Tu szwaczka umilkła i zamyśliła się. Nie umiała widocznie zdać sobie dokładnej sprawy z jakiejś myśli, która świtała w jej głowie.

— Nie wiem już doprawdy czyja to wina, ale proszę pani, dla czegoż są na świecie kobiety takie które można krzywdzić, co ja mówię, które chodzą i proszą jeszcze aby je krzywdzono, byleby tylko dano im także kawałek czarnego chleba?

Marta przyspieszała wciąż kroku; szła tak prędko że Klara zaledwie podążać za nią mogła. Niebawem też znalazły się na ulicy Freta.

— Tu, pani, rzekła Klara wchodząc w niską, wilgotną, bramę jednej z kamienic.

Z bramy weszły na dziedziniec, wązki, długi, ciemny, z czterech stron otoczony wysokimi, starymi i wilgotnymi murami, z podługowatym kawałkiem chmurnego nieba w górze. Pochmurno musiało być tam zawsze i duszno, bo nad wysokimi murami znajdowała się znaczna ilość kominów, z których wychodzący dym party ku dołowi wilgotnem powietrzem, kłębił się w ciasnem zamknięciu i grube szare opony rozpościerał w różnych stronach dziedzińca.

W najdalszej głębi dziedzińca, naprzeciw bramy, nad drzwiami nadpruchniałemi nieco i kilka wchodkami nad poziom wyniesionemi, wisiała wążka i długa tablica, na której brudno szafirowem tle wielkie żółte litery składały następujący napis:

Zakład szycia bielizny męskiej i damskiej, B. Szwejcowej.

Klara prowadząc za sobą Martę weszła do wielkiej sieni, w której wśród głębokiego zmroku widać było wschody prowadzące na wyższe piętra domu i otworzyła jedne z drzwi znajdujących się po obu stronach sieni. Gęsta fala stęchłego, wilgotnego powietrza uderzyła twarze obydwóch wchodzących kobiet. Weszły jednak i znalazły się w izbie obszernej, więcej długiej niż szerokiej, oświetlonej trzema oknami na dziedziniec wychodzącymi i do połowy białą, muślinową firanką przysłoniętymi, z głębią zatapiającą się w zupełnym prawie zmroku. Sufit był tam niski belkowany i okurzony, podłoga z prostych niepomalowanych desek, ściany tynkowane, spopielał się już nieco od pyłu, w kątach zaś i powyżej podłogi wielkimi czarnymi i błękitnymi plamami wilgoci okryte.

Z pośród szarego tła smutnej tej izby, mętnymi barwami lecz z wyraźnymi kształtami, występowały mnogie postacie kobiece to gruppami wkoło okien i stołów umieszczone, to pojedynczo siedzące w pobliżu ogromnych szaf, z za szyb których widać było stosy płócien uszytych lub do szycia przygotowanych. Pośrodku stał wielki na czarno pomalowany stół, a nad nim pochylały się dwie kobiety z nożycami w jednym ręku, z arkuszem śpilkami nasadzonym w drugim.

Znalazłszy się o parę kroków od progu Klara skinęła głową kilku robotnicom, które na nią wzrok podniosły, potem zwróciła się do stojącego pośrodku izby stołu.

— Dzień dobry, pani Szwejc, rzekła.

Jedna ze stojących przy stole kobiet zwróciła się twarzą ku przybyłej i uśmiechnęła się bardzo uprzejmie.

— A to pani, panno Klaro! przychodzisz zapewne aby odwiedzić swoją siostrę. Panno Emilijo! panno Emilijo!

Na dźwięk dwukrotnie powtórnego imienia, jedna z kobiet samotnie i w cieniu siedzących podniosła głowę. Była znać tak zajęta robotą swą lub tak pogrążona w myślach, że nic wcale nie widziała co się w koło niej działo. Teraz spojrzała przed siebie mętnemi oczami i zobaczyła Klarę. Nie zerwała się jednak z siedzenia i nie poskoczyła ku siostrze. Powstała zwolna, położyła robotę swą na stołku i zwolna postąpiła kilka kroków.—A! to ty Klaro! rzekła przyczem wysunęła ku przybyłej rękę białą, bardzo chudą, z palcami igłą nakłutemi.

Teraz całą postacią wysunęła się na światło przez okna płynące, a Marta orzuciwszy ją spojrzeniem poznała w niej ową młodą dziewczynę, którą spotkała na wschodach informacyjnego bióra wtedy, gdy przybywała tam po raz pierwszy. Emilija tę samą

nawet co wtedy miała na sobie suknię, tylko że przez trzy upłynione miesiące suknia wyszarzała się bardziej, świeciła tu i owdzie naprawkami i łataniami a twarz młodej dziewczyny pobiadła i schudła. Odzież i powierzchowność jej objawiały zarazem, że życie przedwcześnie zaczęło i szybko odbywało na niej złowrogi proces niszczenia.

Dwie siostry podały sobie ręce, przywitanie ich było krótkie i milczące. Emilija odeszła na opuszczone przed chwilą swe miejsce, Klara zwróciła się do naczelniczki zakładu.

— Pani Szwejc! rzekła, oto jest pani Marta Świcka, która życzy sobie znaleźć u pani robotę.

Szwejcowa od kilku już chwil patrzyła na Martę, ale wyrazu oczu jej nie można było dojrzeć bo okryte one były okularami. Głos jej przecież brzmiał bardzo uprzejmie, słodko, nieledwie czule gdy na odezwę Klary odpowiedziała.

— Bardzo wdzięczną jestem pani... jakże? pani Świckiej że pomyślała o skromnym moim zakładzie ale doprawdy... tyle już mam robotnic że nie wiem czy będę mogła....

Marta chciała coś mówić, ale Klara pociągnęła z lekka rękaw jej okrycia i szybko wpadła jej w mowę.

— Moja pani Szwejc, rzekła z rezolucją, osoby zupełnie niezależnej, a poniekąd wyższość swą czującej, po co tu daremnie słowa tracić? To samo

mówiłaś pani Emilce kiedy po raz pierwszy tu przyszła, a jednak przyjęłaś ją... cała rzecz w tem żeby zgodzono się na jak najmniejszą opłatę, nieprawdaż?

Szwejcowa uśmiechnęła się.

— Panna Klara zawsze żywego temperamentu, rzekła z jednostajną słodyczą; porównywasz pani opłatę jaką pobierają robotnice u pani N. z tą jaką dać może biedny nasz zakład i dla tego wydaje się pani że płacimy zbyt mało...

— O tem co ci się wydaje kochana pani Szwejc, wiem już ja sama, przerwała Klara; chciałabym tylko abyś pani jaknajprędzej powiedziała, czy pani Świcka znajdzie tu dla siebie robotę, bo w przeciwnym razie pójdziemy gdzieindziej...

Szwejcowa splotła ręce na piersi i spuściła głowę!

— Miłość bliźniego, zaczęła z cicha i przewlekłe, miłość bliźniego nie pozwala odmawiać pracy osobie....

Klara uczyniła niecierpliwe poruszenie.

— Moja pani Szwejc, rzekła, miłość bliźniego nie ma tu nic do czynienia. Pani Świcka ofiaruje pani swoją pracę, za którą pani płacić jej będziesz, ot i koniec. To tak samo jak kiedy człowiek przychodzi do sklepu, bierze towar i kładzie za niego pieniądze na stół. Po co tu miłość bliźniego? Szwejcowa westchnęła z cicha.

— Moja panno Klaro, rzekła, wiesz dobrze jak dbam o zdrowie moich robotnic, a przede wszystkim o ich obyczaje...

Przy ostatnim wyrazie twarz jej długa i pomarszczona, okryła się w istocie wyrazem twardym i surowym.

Klara uśmiechnęła się.

— Wszystko to do mnie nie należy. Chciałabym tylko usłyszeć na koniec: czy przyjmujesz pani pani Świckę do zakładu swego, czy nie?

— Cóż mam robić? cóż mam robić? chociaż do prawdy tyle mam już robotnic, że i roboty nie staje...

— A więc na jakich warunkach? żywo nacierała Klara.

— A cóż? na takich na jakich pracują wszystkie te panie, 40 groszy na dzień. Dziesięć godzin roboty.

Klara przecząco wstrząsnęła głową.

— Pani Świcka nie będzie za taką cenę pracować, rzekła rezolutnie i śmiejąc się dodała, 40 groszy za dziesięć godzin roboty, to znaczy cztery grosze za godzinę... To żart chyba.

Zwróciła się do Marty i rzekła. Chodźmy pani gdzieindziej. Klara zwróciła się już do drzwi, ale Marta nie postąpiła za nią. Stała chwilę jak przykuta do miejsca, nagle podniosła głowę i rzekła.

— Zgadzam się na warunki pani. Będę szyla po dziesięć godzin dziennie za 40 groszy.

Klara chciała jeszcze coś mówić ale Marta nie dopuściła ją do słowa. Tak już postanowiłam, rzekła i ciszej dodała, samaś przed godziną mówiła panno Klaro, że lepiej mieć coś jak nic. Umowa stanęła. Od następnego dnia Marta rozpocząć miała zawód szwaczki w zakładzie Szwejcowej. Nakoniec więc, po długich poszukiwaniach, po trudach podejmowanych nadaremnie, upokorzeniach również nadaremnie przenoszonych, po bezowocnem szamotaniu się śród dróg różnych i żebraczem pukaniu do drzwi wielu, Marta znalazła robotę, możliwość zarobkowania, tę podstawę na której budować się musiał byt jej i jej dziecka. A jednak gdy zmęczona długiem chodzeniem po mieście, wróciła do swej izdebki nie uśmiechała się tak jak owego dnia szczęśliwego powrotu z bióra informacyjnego, nie otworzyła ramion ku biegnącemu ku niej dziecięciu, i nie powiedziała mu ze łzą w oku i z uśmiechem na ustach: dziękuj Bogu! Błada, zamyślona, z głęboką fałdą na czole i zwartemi usty, Marta usiadła dziś przy małym okienku, szklannemi oczami wpatrzyła się w dachy otaczających domostw, i żadnego dźwięku rozróżnić niezdolnem uchem, wsłuchiwała się w gwary wielkiego miasta.

Niska cyfra przyobiecanego zarobku nie przestrazała ją; zbyt mało jeszcze upłynęło czusu odkąd

poczęła związywać i łątać środki do życia naksztakt szmaty spruchniałej, rwącej się i rozpadającej w ręku: zbyt niewprawną jeszcze była w groszowe rachunki ubogich i zbyt nieświadomą tego roju codziennych szczegółików, z których każdy drobniejszy od najdrobniejszej muszki zawieszanej w przestrzeni, kamiennem przecież brzemieniem spada na barki ubożego aby od razu zmierzyć mogła przyszły zarobek z przyszłemi potrzebami, i jasno dojrzeć niewystarczalność pierwszego, dolegliwość drugich.

Nie wiedziała jeszcze dokładnie, czy wraz z dzieckiem swem wyżyć będzie mogła 40-stu groszami dziennie, mała ta cyfra dzisiejsza była zresztą wielką w porównaniu z wczorajszą, która przedstawiała zero. Ale jeżeli Marta nowicyuszką była acz srodze już doświadczoną nowicyuszką, w szkole praktyki życiowej i w posępnej korporacyi idącej przez świat pod sztandarem nędzy, posiadała przecież dostateczną dozę rozsądku i oświaty, aby pojąć niskość tego szczebla pracy ludzkiej na jaki zstąpiła, na jakim zatrzymała się bez najmniejszego widoku podniesienia się kiedykolwiek na wyższy.

Był to szczebel, na którym zasiadało niedołącztwo wszelkie, opierające się śmierci głodowej.

Był to szczebel, ku któremu zstępowali tylko ci, którym zabrakło sił do utrzymania się na wyższych.

Był to szczebel pograżony w nizinach, w którym panuje mrok nieustanny, praca nudna zmudna, odet-

chnąć nie pozwalająca, dająca chleb czarny ciału, ducha trzymająca na żelaznej uwięzi wiecznej i nigdy dostatecznie nie zadowolnionej potrzeby ciała.

Był to szczebel nakoniec, na którym pająki snuły gęste pajęczyny i oplątywały muchy dobrowolnie ku nim zlatujące, na którym panowała krzywda i gniołła głowy kornie, w uznaniu nieudolności własnej schylone.

Nigdy, przenigdy, ani w dniach pomyślności i dostatku, ani w chwili zapadnięcia w samotność i ubóstwo, ani nawet w porze w której próbowała wstępować na różne drogi i ze wszystkich po kilku krokach uczynionych cofać się musiała, Marta nie wyobrażała sobie aby siły jej były tak słabe, wiedza tak ograniczoną, aby zstąpienie w tak niskie sfery przeznaczeniem jej być mogło.

Przeznaczenie to przyjęła ona z gorączkowym pośpiechem, i zupełną i stanowczą gotowością, a jednak było ono dla niej niespodzianką: cokolwiek w dniach ubiegłych przygotować ją doń mogło—było ono zawsze niespodzianką.

Tłumem gwarnym, kłótliwym, posępnym tłumem cisnęły się myśli nowe, dotąd nieznanne do głowy młodej kobiety siedzącej w wielkiej, mrocznej wilgotnej izbie ulicy Freta nad kawałem płótna, które zszywała pilnie podnosząc i w dół opuszczając rękę w jednozgodny takt z dwudziestu rękami, które wkoło niej podnosiły się i opadały.

Przychodząc tu po raz pierwszy jako robotnica, Marta uważniej niż dnia poprzedzającego rozejrzała się pomiędzy licznem gronem współtowarzyszek pracy i doli.

Wielkiem było jej zdziwienie gdy dostrzegła, że większa ich część składała się z kobiet, których delikatne twarze, giętkie kibicie, białe ręce objawiały pochodzenie z innej towarzyskiej sfery niż ta w którą zapadły: poranek życia bynajmniej niepodobny był do południa jego i wieczora. Były tam zresztą kobiety różnych wieków, powierzchowności, różnych też widocznie usposobień.

Jedne z nich siedziały na stołkach milczące i nieruchome, z wyjątkiem rąk, które poruszały się nieustannie. Głowy ich godzinami spuszczone nad robotą, w chwili opuszczania jej, podnosiły się z widoczną ciężkością, przy wyjściu z sali nogi ich wlokły się powoli a zagasłe źrenice wciąż prawie okryte zaczerwienionemi powiekami, ani jedną iskrą, ani jednym promieniem nie rozpały się, nawet na widok południowego słońca ozłacającego pełne ruchu ulice miasta, nawet na widok tego ruchu, ani na odgłos swobodnych głosów ludzkich otaczających je pełnym życia gwarem, wtedy gdy one nieme i onieczulone wychodziły na świat boży z posepnej swej pracowni.

Suknie ich były podarte, błotem ulic poplamione; włosy ich zaledwie przyczesane, w bezkształtny kłęb

z tyłu głowy zwinięte rozsypywały się w nieładzie po chudych szyjach, i tylko kiedy niekiedy jeszcze jakiś płócienny lecz nieskażonej białości kołnierz, jakaś obrączka ślubna na palcu połyskująca i złotymi połyskami całej znędzniałej postaci urągać się zdająca, przypominały jakieś przyzwyczajenia dawne, jakieś uczucia i związki serdeczne, które upłynęły w dal niedościgłą, na zbyt wartkiej fali niepowrotnej przeszłości. Były to istoty, które już zmęczone krótką, przebytą drogą, omdlałe na sercu i umyśle, z chorem ciałem a w niem z konającym duchem wlokły ciemne, ciężkie, beznadziejne swe istnienia, milczeniem niby ostatnią przez los im zostawioną szatą, osłaniając upornie poranione swe wnętrza. Nie one jednak, nie te omdlałe ciała i śmiertelnie smutne duchy, przedstawiały w pracowni Szwejcowej widok najsmutniejszy. Najbliżej okien, naksztalt niewolnych ptaszków pomiędzy kratami klatki szukających biasku dziennego, umieszczały się robotnice młodsze od innych jeżeli nie latami życia to latami cierpień, z większą żywotnością w charakterach, z uporczywszemi pragnieniami w piersiach, z uśmiechem który dławiony i powściągany skonać jednak nie chciał ani w sercu ani na ustach. Twarze ich były blade i chude, odzież bardzo uboga. Ale pod blademi czołami błyskały tam oczy co chwilę niemal podnoszące się z nad roboty, spojrzeniem szukające spojrzeń towarzyszek, figlarne nie-

kiedy albo urągliwe i złośliwie albo jeszcze niecierpliwie rwące się wzrokiem kędyś, po za wilgotne mroczne ściany izby. Od czasu do czasu pośród zapadłych, codzien prawie głębszą żółtością powlekających się policzków, zjawiały się uśmiechy wyrazem swym do wyrazu spojrzeń podobne: swawolne, szyderskie, tęskne lub marzące. Były tam głowy wspańniale okryte bogactwem warkoczów, wśród których niekiedy jakaś wstążeczka, kokardka, tasiemka choćby, błyszczała różową lub niebieską barwą; sznur kolorowych paciorek otaczał czasem szyję urągając jakby dziurom i łatom stanika, któremu niby ozdobę miał służyć. A wszystkie spojrzenia te, uśmiechy i ozdoby boleśniejszy i bardziej zagadkowy przedstawiały widok niż milczenie, omdlałość i onieczulenie innych robotnic. Objawiała się w nich jadowita sprzeczką uczuć i pragnień z gniotącymi je warunkami bytu, marzeń o zbytku z głęboką nędzą. Tam nastąpił już upadek bierny, tu grozić się zdawał co chwilę upadek czynny. Tamte nędzarki bliskimi już były końca ziemskiej wędrówki, te zbliżały się ku początkowi — występnego życia. Przed tamtymi roztwierał się grób, przed temi — kałuża.

Kiedy Szwejcowa i córka jej stały przy wielkim czarnym stole, zupełna na pozór cisza panowała w pracowni, i jedynym wyraźnym odgłosem były ostre dźwięki ogromnych nożyc, nieustannie prawie poruszanych wprawnymi palcami.

Cisza ta przecież była pozorną; oprócz jedyne go panującego nad nią wyraźnego odgłosu, było tam mnóstwo odgłosów innych niewyraźnych tylko, przerywanych, ale tworzących szmer nieustanny i z cicha falujący, wybuchający niekiedy niecierpliwą jakby falą, to znowu opadający i zlewający się niemal zciszą. Szmer ten składał się z szelestu dwudziestu przeszło poruszających się rąk, z oddechu dwudziestu piersi, z kaszłów suchych i krótkich lub gwałtownych i zanoszących się, z szeptów zaledwie poruszających się ust, z cichutkich i szybko tłumionych chichotów. Robotnice siedzące w głębi pracowni kaszlały; robotnice garnące się ku oknom szeptały i chichotały. Szwejcowa podnosiła niekiedy głowę i z za okularów toczyła dokoła izby uważnem spojrzeniem. Oczy jej przenikliwym blaskiem połyskiwały z za grubych szkielek: doglądała roboty. Niekiedy kładła nożyce na stole i przewlekłym miodowym głosem rozpoczynała długą mowę.

Mówiła o tem jako, w innych pracowniach robotnice tracą zdrowie nad maszynami, które jak wiadomo wyczerpują siły i sprowadzają różne defekty, i jako ona wyrzekła się wszelkich korzyści jakieby osiągnąć mogła przez wprowadzenie do zakładu swego maszyn, byleby tylko nie obciążyć sumienia swego grzechem, niszczenia zdrowia bliźnich. Sumienie bowiem to rzecz najważniejsza, wszystko zresztą jest prózną mamoną. Szwejcowa jedno

tylko robotnicom swym stawiała wymaganie. Oto aby obyczaje ich były nieskazitelne. Pod tym względem jednak była ona nieubłaganą raz dla tego: że nie chciała aby zakład jój przedstawiał widok zgorzszczenia, nakoniec, że obawiała się utracić klientelę z osób zacnych i bezpośrednio zatem zostać zagrożoną w nędzy z dziećmi swemi i wnukami.

Robotnice słuchały przemówień tych w głębokiem milczeniu. Prawdopodobnie, nie było pomiędzy nimi ani jednej, któraby wierzyła słowom Szwejcowej. Prawdopodobnie wszystkie one wiedziały o tem, że były wyzyskiwanemi a jednak słuchały i milczały kornie. Wiedziały, że po za ścianami tej izby która je mieściła, dla żadnej z nich nie było nic prócz grobu albo—kałuży.

Niekiedy także Szwejcowa lub jój córka, opuszczały pracownię wychodząc z niej drzwiami prowadzącymi w głąb budowy. Przez drzwi otwierane dolaływały wówczas do uszu robotnic dźwięki wyborne-go fortepianu, na którym to grano biegle i umiejętnie, to uczono się grać. Widać także było przez też drzwi rząd pokojów ostawionych zbyt kownemi sprzętami; błyszcząły tam woskowane posadzki i szerokie zwierciadła, pąsowe adamaszki okrywające sprzęty raziły zmęczone oczy robotnic. To też jedne z nich uśmiechały się smutnie, inne patrzyły przed siebie ponuro, inne jeszcze mrugały oczami złośliwie. Bolesć, zazdrość, zółć nurtowały wtedy dwadzieścia

piersi kobiecych. O godzinie 3ej zapalono u sufitu wielkie lampy i robotnice pracowały przy sztucznem świetle, dopóki na ściennym zegarze w mieszkaniu Szwejcowej nie wybiła 9ta.

Gdy Marta przepędziwszy w miejscu tem dzień cały wracała do domu, zaledwie mogła utrzymać się na nogach.

Nic ją przecież nie zmęczyło nic nawet nowego nie zasmuciło. Ale do głębi piersi i mózgu, do szpiku kości swych była przerażoną.

Wybredni czytelnicy a przede wszystkim czule i wrażeń łaknące czytelnice, czy przebaczycie mi tę opowieść moją pozbawioną w zupełności tajemniczego węzła intrygi i zajmującego widoku dwóch serc przeszytych ognistemi strzałami?

Każde zjawisko za przedmiot dla opowieści służące traktować można w różny sposób. Dzieje biednej Marty zamiast rozsnuwać się przed oczami waszemi jednolitą i jednobarwną nicią mogłyby być zapewne upiększone, uświetnione mnóstwem krzyżujących się uczuć, uderzających kontrastów, piorunujących wypadków; mogłyby być wplątane w wieńiec epizodów, z których każdy rzucałby na nie wdzięk, urok lub grozę albo też same traktowanemi być epizodycznie, jako dopełnienie jakiejś bardziej efektywanej i porywającej całości jako pendent przy-

wiązany do historii szczęśliwych lub rozpaczających, sielankowych lub bohaterskich; faworyzowanych losem lub przezeń gnębionych—Numy i Pompilijusza.

Wybaczcie! Spotkawszy na świecie Martę rozglądałam się wkoło, szukałam, lecz nigdzie w bliskości nie znalazłam Pompilijusza żadnego. Nie znalazłszy go chciałam dzieje kobiety skrócić, zdusić i zamknąć w epizodzie—nie mogłam albowiem uznałam że są one godne oddzielnej całości; zamierzałam, наконец wplątać je w węzły intryg, w wieńce epizodów—nie uczyniłam tego gdyż wydało mi się że najlepiej im będzie do twarzy, gdy pójdą w świat samotne.

Wybaczcie prostotę środków których używam dla przedstawienia wam jednego z najrozpaczliwszych zjawisk społeczności dzisiejszej i pójdźcie za mną dalej na drogę, po której postępuje smutna postać kobiety ubogiej godnej może lepszego losu niż ten któremu poddało ją... co? Wszak imię tego czegoś, które niby fatalistyczne przekleństwo ugniata głowy, pęta stopy i miażdży serca mnóstwa istot ludzkich wyczytacie w dziejach Marty.

Warszawa radowała się, gwarzyła, jaśniała. Był to tydzień świąteczny. Przed kilku dniami zaledwie pogasły rześiste światła rozpalone wśród zielonych gałęzi wigilijnych jodeł a w powietrzu zdawały się jeszcze drgać i płasnąć radośnie gammy śmiechów dziecięcych i gwarne rozmowy szczęśliwych rodzin

zebranych wkoło świątecznie przybranych stołów. Nazajutrz zawitać miał światu gość tajemniczy: rok nowy. Wnętrza domów i wystawy sklepów wyglądały strojnie. Ulice zaścierała gruba warstwa śniegu stężonego od mrozu, a połyskującego milijonem isker pod promieniami słońca, które jaśniało na wypogodzonym niebie.

Roje sanek mknęło w różnych kierunkach, tłumy przechodniów zalewały chodniki. Ile było głów w tym różnobarwnym, ruchliwym tłumie, tyle było pasem myśli tajemnie rozsnuwających się po przestworzu, niewidzialnie ścigających po szerokim świecie bliskie i dalekie, wzniosłe i poziome przedmioty. Miłość, chciwość, uwielbienia, nienawiści, trwogi, nadzieje, najróżniejsze interesa i namiętności, najrozmaitsze pragnienia i dążenia, wiły się i krzyżowały w tysiącnych głowach ludności wielkiego miasta idącej, jadącej, biegnącej tam, kędy gnały ją wielkie cele życia lub maluchne celiki dnia. Śród tego tajemnego i żadnemu cielesnemu uchu nie przystępnego gwaru, na którym niby na spodnim pokładzie rozwijał się ruch słów i czynów tysięcy ludzi, przez nikogo niebadana i nieodgadnywana, wiła się cicho nitka myśli w pokornej i przez nikogo nie spostrzeganej głowie kobiecej.

— Dwie dziesiątki na dzień... ośm złotych na tydzień.. dziesięć groszy dziennie żonie stróża za dozo-

rowanie Janci gdy siedzę u Szwejcowej... 15 groszy chleb i mleko dla dziecka... 15 groszy obiad... na każdą Niedzielę nie ma już nic...

Była to myśl Marty idącej z wolna i ze schyloną głową chodnikiem Krakowskiego Przedmieścia.

— Za dwa miesiące mieszkania należy się złotych 45... w sklepiku winnam złotych 20... za sprzedane futro wzięłam złotych 100... 60 od stu... 40... Janci trzewiczków na gwałt trzeba, moje drą się już także... drzewa kupić muszę... dziecku ciągle zimno...

Kończąc myśl tę Marta zakaszła suchym, krótkim, lecz uporczywym kaszlem. Miesiąc minął od dnia, w którym po raz pierwszy zasiadła ona jako robotnica w pracowni Szwejcowej. Przez czas ten zmieniła się bardzo. Z za przezroczystej białości jej twarzy tu i owdzie przebijały się żółte smugi, ciemne koła podkrążyły oczy, które wklęsły i rozszerzyły się, pośród czoła przedziwnie pięknie zarysowanego głęboka leżała bruzda. Czarna suknia Marty czysta i cała zrudziała przecież przez używanie i wyglądała chędogo lecz staro; na głowie jej nie było kapelusza ani na ramionach futrzanego okrycia. Czarna wełniana chustka okrywała jej włosy, grubemi faldami otaczając blade czoło i wklęsłe policzki.

Płynęła, szumiała ludność wielkiego miasta na szerokim chodniku wspaniałej ulicy, z nią razem

płynęły w przestrzeń tysiączne prądy myśli ludzkich, a wśród nich wiała się wciąż cicha, pokorna, jednostajna myśl przeciskającej się wśród tłumów bladej kobiety.

— Dziesięć groszy a pięć... piętnaście, a dwa siedemnaście... siedemnaście od czterdziestu dwadzieścia trzy...

Jakaż to była myśl błacha, niska, sucha, czołgała się po ziemi wtedy, kiedy niebo zimowe przeczystym jaśniało lazurem, krzepła wśród chłodu cyfr wtedy, gdy w obec zbliżania się roku nowego ludzkość kipiała pragnieniami, uczuciami, nadziejami...

Tak; był to w istocie akt duchowny spełniający się we wnętrzu istoty ludzkiej wielce prozaiczny i poziomy, był to groszowy i szelągowy rachunek ubóstwa...

Nie zawsze przecież myśli Marty czołgały się tak nisko; była pora w której i ona oczy swe podniosła ku lazurcom, z bijącym sercem i z uśmiechem nadziei witała zstępujący na świat rok nowy. Przypomniła sobie o tem w tej chwili. Podniosła powieki i spojrzeniem powiodła do koła. W oczach jej, w których zrazu widać było tylko fraśunek z zestawiania i kombinowania groszowych cyfr wylęgły, zagrały teraz światła podnoszących się w piersi uczuć. Była to naprzód tęsknota, potem żal, nakoniec niecierpliwy bunt ducha gnębionego fatalną jakąś koniecznością, z którą jednak stałego

dotąd nie zawarł sojuszu. Zapadłe oczy Marty błysnęły gorącemi ogniami, coś w niej podniosło się, krzyknęło bólem, zajęczało trwogą, zbuntowało się nie wyczerpaną jeszcze dotąd energiją woli. Przystanąła chwilę, podniosła głowę i drżącemi ustami szepnęła:— nie! tak długo być nie może! tak zawsze być nie powinno!

Postąpiła dalej i myślała, że jest to przecież rzeczą niepodobną, zupełnie niepodobną aby stanowczem, jedynem, dośmiertnem miejscem jej przeznaczenia, był ów stólek w pracowni Szwejcowej na którym śród mroku, wilgoci, stęchłego powietrza, w otoczeniu wynędzniałych, obumierających twarzy, szyla po dniach całych nie mogąc w łamian zarobić tyle przynajmniej, aby mózdz w nocy spać spokojnie a minuty wolne od pracy, wyzwoić z pod panowania cyfr przedstawiających grosze. .

Urodzeniem, całą przeszłością swą należała przecież do klasy ludzi oświeconych, była uważaną i sama siebie uważała zawsze za kobietę oświeconą. Dla czegoż więc gdy dotknęła ją twarda ręka losu, stanęła ona w hierarchji społecznej, w dziedzinie prac, zysków i zaszczytów ludzkich na tym szczeblu najniższym, na którym zdawałoby się iż stać powinni najnieszczęśliwsi tylko, najsrożej wydziedziczeni z dobrodziejstw, oręży i narzędzi przynoszonych ludziom oświata? Byłażby ta oświata jej kaleką z kapitalnej strony jakiejś? Byłażby ona tylko cackiem

wyrzeźbionem, wypiękuszonym ku zabawie spokojnego ducha, mieszkającego w sytem i zadowolnionem ciecie, rozpadającym się w nieprzydatne na nic próchno, ilekroćby duch zapragnął użyć ją ku ochronieniu siebie od z mordowania i upadku, ciało od utraty sił posługujących duchowi? Miałaby nakoniec ta oświata jej być tylko złudzeniem? Oświata w tej mierze i postaci w jakich posiadała ją Marta, budziła pragnienia nie dając nic coby zadowolenie ich zdobyć mogło, podsycala tęsknotę za sferami ducha przykuwając go do ziemi więzami głodnego ciała, potęgowała w sercu uczucia na to tylko, aby zaprawiać je goryczą, wstrząsać śmiertelną trwogą...

Marta myślała o tem i czuła to wszystko, ale nie uogólniała swych myśli i uczuć, nie zdawała sobie dokładnej sprawy z wielce skomplikowanego zjawiska, które rządziło jej losami. Czepiała się jednego przypomnienia, jednej świadomości, że należała do ludzi oświeconych, przed którymi tyle, tyle przecież dróg leży otworem.

Miałaby na zawsze już zatrzymać się na tej wśród której stanęła? Nie byłoby dla niej na ziemi żadnego innego miejsca jak to, do którego wchodziła ze wstydem, o którym z oddalenia myślała ze zgrozą? Błagała ona wprawdzie Boga o małe, skromne miejsce pod słońcem, o takie miejsce na którym dwie istoty ludzkie związane ze sobą, najściślej i najświętszymi związkami i uczuciami, żyćby mogły,

ależ to, które po wielu próbach i wysileniach stało się jej udziałem, nie było miejscem pod słońcem a'le otchłanią ciemną, w której dwie istoty ludzkie nie żyły a'le skute kajdanami najprostszych, najniższych a nigdy nie zadowolonych, nigdy nie kończących się potrzeb, powoli umierały.

Tak; powoli umierały. Nie była to metafora żadna, ale przerażająca rzeczywistość. Niedawno jeszcze Marta zastanawiając się nad położeniem w jakie popadła, i nad obowiązkami, które zaciężyły na sercu jej i sumieniu, powtarzała sobie jako zachętę i pociechę: jestem młoda i zdrowa. Dziś połowa tylko słów tych wyrażała prawdę. Była młodą ale nie była już zdrową. Żywioły fizyczne i moralne połączone ze sobą, tworzyły rodzaj piły niewidzialnej która wycieńczała i osłabiała jej ciało.

Marta kaszlała, od tygodni kilku doświadczając często nieznanym sobie dotąd osłabień, sny jej bywały gorączkowe, budziła się z nich z głową ciężką i bolącą piersią.

Tak zaczynać musiały karierę swą owe wyrobnice dziś na wpół-umarłe, z suchotniczymi rumieńcami na twarzach. Niedawno jedna z nich opuściła pracownię Szwejcowej o parę godzin wcześniej niż nakazywał regulamin zakładu, i nie wróciła więcej. Gdy nazajutrz Marta zapytała o nią towarzyszki, z kilkunastu ust rozszedł się po sali stłumiony, niemniej przeszywający szept: umarła! Umarła? A jednak

Marta wiedziała o tem, iż liczyła sobie 26 lat załedwie, i że kędyś na poddaszu lub w suterenie, żyło i każdodziennie powrotu jej oczekiwało dwoje małych dzieci.... „Co stało się z jej dziećmi?” z gorączkową ciekawością pytała towarzyszek młoda Matka ślicznej czarnookiej dziewczynki. Odpowiedź jaką otrzymała zabrzmiała w jej uchu ostro, dziko.

„Dziewczynkę przyjęto do ochronki, chłopiec kędyś zginął.” Do ochronki? a więc na bary dobroczynności publicznej, w ręce ludzi obcych, na przyszłość niepewną. Zginął? gdzie się mógł podziać? W dziecięcej naiwności szukał może Matki, którą zuieszono z wysokiego poddasza, i wśród ośniezonych ulic, w mroźną noc zimową umarł kędyś pocichu przykryty całunem białej zamieci lub, o zgrozo! połączwszy się z rówiennemi sobie wyrzutkami społeczeństwa....

Dłużej Marta myśleć nie mogła o posępnej tej historii, w której odźwierciadła się może własna jej przyszłość. Własna? O, mniejsza o to! Ukochane przez nią istoty były już po za światem, czuła się znużona, śmiertelnie smutną i z rozkoszą może zamknęłaby oczy do snu wiekuistego, w którym wiara przyrzekała jej połączenie się z tymi, za którymi tęskniło zranione serce! Ale przyszłość jej dziecka.... jakąż będzie, jakąż być może, jeżeli jej zabraknie na ziemi, jeżeli kiedy na policzkach jej osiądą takie krwiste płomienne rumieńce, czoło obleje się taką

grobową bladością, oddechu piersiom zabraknie, jak owej biednej wyrobniicy, która przed niewielą dniami opuszczała chwiejnym krokiem szwalnię Szwejcowej, aby nigdy już nie powrócić więcej...

Postać Marty w zamyśleniu podana nieco naprzód wyprostowała się. Nie! z cicha lecz z mocą wyrzekała młoda kobieta, tak być nie może! tak być nie powinno!

Mówiąc tak, czuła znać każdemu człowiekowi wrodzoną chęć dźwignania się z niedoli, i każdemu człowiekowi przysługujące prawo polepszenia, podnoszenia swego bytu.

Marta powiodła dokoła oczami w których na miejscu przedchwilowego frasunku i znużenia, ukazały się znowu energija i badawczość. Mnóstwo przedmiotów otaczało ją zewsząd, na jednym z nich zatrzymało się jej spojrzenie. Przedmiotem który przykuł do siebie wzrok Marty, było szerokie i wysokie okno z bogatą wystawą jednej z najzasobniejszych księgarń miasta. Na widok kilkudziesięciu tomów, których różnobarwne okładki mieściły się za przezroczystymi szybami, młoda kobieta doświadczyła trzech różnych uczuć a były niemi wspomnienia, tęsknota i nadzieja. Przypomniała sobie owe dni szczęśliwe w których swparta na ramieniu młodego i wykształconego męża przybywała nieraz w to miejsce. Stęskniona do wyższych uciech umysłowych, których od czasu do czasu kosztowała niegdyś, których oddawna

pozbawioną była najzupełniej a które na ciemnym tle obecnego jej życia zaświeciły przed nią, niewymownym czarem, zobaczyła nakoniec parę imion kobiecych wydrukowanych poniżej tytułów książek. Zimion tych jedno należało do osoby, którą znała kiedyś, w której nikt nie podejrzywał talentu póty, póki nie objawiła go a i to ze stopniowem, bardzo powoli wzrastającym powodzeniem. A jednak teraz imię jej figurowało zaszczytnie pomiędzy wielu głośniami, świetnemi imionami krajowych pisarzy, teraz kobieta ta o której Marta wiedziała że była samotną jak ona, i ona ubogą, posiadała miejsce pod słońcem, szacunek ludzki i własny...

Kto wie? drżącemi usty szepnęła kobieta, i blada twarz jej zapłonęła rumieńcem wśród czarnych fałd welnianych, które obejmowały ją posępną ramą.

Postąpiła parę kroków i stanęła przed drzwiami księgarni. Zapuściła wzrok za szyby i zobaczyła w głębi wielkiej sali jej właściciela. Była to twarz dobrze jej niegdyś znana, często w dniach pomyślności przez nią widywana, myśląca, uczciwa i łagodna...

U drzwi oszklonych zadźwięczał dzwonek, Marta weszła do księgarni. Zatrzymała się chwilę w bliskości progu i bystro, niespokojne nieco spojrzenie rzuciła wokoło. Obawiała się zapewne znaleźć w księgarni kupujące osoby, w obec których nie mogłaby wypowiedzieć tego z czem przychodziła.

Księgarz sam jeden stał za kontuarem zajęty kreśleniem rachunków w wielkiej księdze na małym podniesieniu roztwartéj. Przy otworzeniu się drzwi podniósł głowę, i na widok wchodzącej kobiety przybrał postawę nawpół witającą, nawpół oczekującą. Marta postąpiła zwolna i stanęła grzed człowiekiem, który widocznie oczekiwał pierwszego od niéj słowa.

Przez parę sekund powieki jéj pozostały spuszczone i blade wargi drżały lekko. Szybko jednak podniosła na twarz księgarza wzrok, w którym skupiły się w téj chwili wszystkie władze woli i cała przytomność jéj umysłu.

— Pan mię nie poznajesz? rzekła głosem cichym lecz pewnym.

Od samego już jéj wejścia księgarz przypatrywał się jéj z wielką bacznością.

— W istocie! zawołał, wszakże to panią Świcką mam przyjemność widzieć! Zdawało mi się odrazu, że panią poznaje ale... nie byłem pewny.

Mówiąc to szybkim spojrzeniem orzucił ubogie ubranie młodéj kobiety.

— Co pani rozkaże? wymówił uprzejmie i z lekkim odcieniem smutku w głosie.

Marta milczała chwilę. Twarz jéj była bardzo blada a wzrok głęboki i nieruchomy gdy mówić zaczęła.

— Przyszłam do pana z prośbą, która wyda się mu zapewne szczególną, dziwną..

Głos jej urwał się nagle. Podniosła obie dłonie i powiodła niemi po bladym czole. Księgarz szybko wyszedł z za kontuaru i przysunął ku młodej kobiecie aksamitem wybity taboret, poczem wrócił na uprzednie swe miejsce.

Wydawał się zasmuconym a więcej jeszcze zmieszonym.

— Chciej pani usiąść!, rzekł. Słucham panią z uwagą... Marta nie usiadła. Splecione dłonie oparła na kontuarze i patrzyła znowu w twarz stojącego przed nią, człowieka, głębokim lecz coraz jaśniejszym wzrokiem.

— Prośba, z którą przyszłam jest w istocie szczególną, dziwną, mówiła, ale... przypomniałam sobie że zostawałeś pan kiedyś w przyjaznych stosunkach z mężem moim...

Księgarz skłonił się.

— Tak, przerwał. Pan Świcki pozostawił przyjazne i pełne szacunku wspomnienie u wszystkich, którzy znali go bliżej.

—Przypomniałam sobie, ciągnęła Marta, że kilka razy przyjmowałam pana w domu moim, jako miłego gościa...

Księgarz skłonił się znowu z uszanowaniem.

— Wiem o tem, że jesteś pan nietylko księgarzem, ale i wydawcą... że zatem...

Głos jej słabł i cichł stopniowo, umilkła na chwilę. Nagle podniosła znowu głowę, splecione dłonie wyciągnęła nieco przed siebie i odetchnęła głęboko parę razy.

— Daj mi pan pracę jaką... wskaż drogę... naucz mnie co mam czynić!...

Księgarz wydawał się w istocie nieco zdziwionym. Patrzył przez chwilę na stojącą przed nim kobietę wzrokiem uważnym, niemal badawczym. Ale piękna i młoda twarz Marty nie przedstawiała bynajmniej trudnej do odczytania zagadki. Bieda, niepokój, daremne pragnienia i gorące błaganie zakreśliły ją bardzo czytelnymi znakami. Rozumne siwe oczy księgarza badawczo zrazu, a nawet nieco surowo patrzące z pod szlachetnego czoła miętki zwolna, aż w smutnem zamyśleniu okryły się powiekami. Przez chwilę pomiędzy dwojgiem tych ludzi panowało milczenie. Księgarz przerwał je pierwszy.

— A więc, rzekł z lekkim wahaniem w głosie, pan Świcki umierając nie zostawił po sobie żadnego majątku?

— Żadnego, zcicha odpowiedziała Marta.

— Mieliście państwo dziecię...

— Mam małą córkę.

— I żadnego dotąd zajęcia znaleźć pani dla siebie nie mogłaś?

— Owszem... zajmuję się szyciem za które otrzymuje 40 groszy dziennie...

— 40 gr. dziennie! zawołał księgarz., dla dwóch osób; ależ to nędza!

— Nędza, powtórzyła Marta, gdybyż to była nędza tylko i tylko dla mnie i taka jeszcze na którą żadnej już rady nie ma na ziemi! O, wierzaj mi panie, że potrafiłabym cierpieć odważnie, żyć bez żebrani-ny i umrzeć bez skargi! Ale nie jestem samą, jestem matką! Gdybym nie miała serca macierzyńskiego które kocha, słyszałabym w sobie głos sumienia, które obowiązek przypomina: gdybym nie miała sumienia które kocha, słyszałabym głos serca. Mam jedno i drugie, panie! Rozpacz mi ogarnia gdy patrzę na wychudłą twarz mego dziecka, gdy myślę o jego przyszłości, ale gdy wspomnę iż dotąd nic dlań uczynić nie potrafiłam wstyd mi taki, że pragnęłabym co chwilę upaść na ziemię i głowę targać się w pyłe! Boć przecie są ludzie ubodzy którzy siebie i dzieci swe dźwigają z niedoli, dla czegoż ja uczynić tego nie mogę? O, panie! biada ciężką jest do przeniesienia zapewne, ale czuć się przeciwnie bezsilną, porywać się do wszystkiego i zewsząd odchodzić z poczuciem własnej nieudolności, cierpieć i drogą istotę widzieć cierpiącą dziś,

i myśleć że cierpienie to trwać będzie jutro, pojutrze, zawsze, i powiedzieć sobie przeciw cierpieniu temu ja nic nie mogę, o to męczarnia taka dla której jedna jest tylko nazwa: życie ubogiej kobiety!

Marta wypowiedziała słowa te szybko i z ogniem. Przy ostatnich wyrazach głos jej stał się cichszym i dwa strumienie łez z niepodobną do powstrzymania gwałtownością oblały jej policzki. Zakryła twarz chustką i przez chwilę stała nieruchoma, walcząc wyraźnie ze łzami, które ustać nie chciały, poskramiając łkania które coraz silniej wstrząsały jej piersią. Po raz to pierwszy dopiero zapłakała w obec świadka; po raz pierwszy głośną skargą wypowiedziała to co nosiła w sobie oddawna. Nie była już ani tak silną, ani tak dumną jak wtedy, kiedy w domu Rudzińskich z suchem okiem i spokojną twarzą dobrowolnie zrzekała się pracy, której wykonywać nie mogła.

Księgarz stał za kontuarem z rękami na piersi skrzyżowanymi, w postawie nieruchomej. Zmięszany nieco zrazu gwałtownym wybuchem uczuć którego był świadkiem, stał się po chwili widocznie wzruszonym.

— Mój Boże! rzekł półgłosem, jakież to zmienne są losy ludzkie na ziemi! Znając panią dawniej czyliż mogłem spodziewać się, że zobaczę ją kiedykolwiek w tym stanie smutku i ubóstwa. Takeście

państwo żyli dostatnio, taka z was była kochająca się, szczęśliwa para.

Marta odjęła chustkę od twarzy.

— Tak, wymówiła stłumionym głosem, byłam szczęśliwą... Kiedy ukochany przezemnie człowiek umierał sądziłam że go nie przeżyję... przeżyłam... żal i tęsknota pozostały we mnie dręczące, niezgójone, ale dla serca zranionego śmiertelnie, szukałam ulgi w spełnieniu macierzyńskiego obowiązku i spełnić go dotąd nie mogłam. Samotna i smutna poszłam w świat aby o trochę spokoju dla siebie, o życie i przyszłość mego dziecka walczyć—nadaremnie...

Oczy księgarza poważne i zamyślane tkwiły w przestrzeni. Miał on liczną rodzinę. Był bratem, mężem, ojcem. Być może iż wywołane słowami Marty przed oczami jego przesunęły się oblicza ukochanych mu kobiet, młodej siostry, malutkiej córki, drogiej małżonki. Czyliż każda z nich nie mogła kiedykolwiek poddaną zostać takiemu losowi jak ten, który stał przed nim w postaci tej kobiety osamotnionej, bez dachu, z sercem rozbolełym i ustami spalonymi gorączką głodu i rozpacz? Wszak sam mówił przed chwilą o okrutnej zmienności losu!

Spojrzenie jego zwolna spłynęło na twarz Marty, wyciągnął ku niej rękę.

— Uspokój się pani, rzekł łagodnie i poważnie. Cbciiej usiąść i odpocząć chwilę. Nie poczytasz mi przecież pani za niedelikatność, jeżeli pragnąc jęj być użytecznym zapytam o pewne nieodzowne szczegöły. Czyś probowała już pani jakiej innej pracy prócz tej, która ci tak nędzne przynosi wynagrodzenie? Do jakiego zajęcia czujesz się pani najbardziej usposobioną, uzdatnioną? Wiedząc o tem może coś obmyśle... znajdě...

Marta usiadła. Łzy oschły na twarzy jęj, oczy nabrały tego wyrazu rozsądku i przytomności, który był im właściwym, ilekroć młoda kobięta skupiała władzę woli swęj i umysłu. Nadzieja wstąpiła w jęj serce, zrozumiała, że spełnienie jęj zależy od rozmowy którą prowadzić miała, uczuła się znowu śmiałą i wydawała się spokojną.

Rozmowa ta przecież nie trwała długo. Marta mówiła szczerze lecz zwięźle, zatrzymywała się tylko na faktach swej przeszłości. Powodowana dumą, która ozwała się w niej na nowo o uczuciach doznanych mało lub nie prawie nie mówiła. Księgarz rozumiał ją wybornie. Bystre oko jego spoczywało na jej twarzy, lecz widać było, że w opowiadaniu młodej kobiety widział on więcej niż ją samą i jej jednej tylko losy.

Wielkie zagadnienie społeczne, wielka może krzywda łono, społeczne nurtująca, stanęły przed myślą dobrego i oświeconego człowieka wtedy gdy z uwa-

gą, zajęciem i wzruszeniem słuchał on dziejów ubogiej kobiety, nie mogącej pomimo energii, wysilen, trudów znaleźć dla siebie miejsca na ziemi.

Marta powstała z taboretu, na którym przez kilka minut siedziała i podając rękę Księgarzowi, rzekła:

— Powiedziałam panu wszystko. Nie wstydziałam się wyznania zawodów, które spotykały mnie dotąd—bo jeśli siły mię zawiodły chęci moje były uczciwe. Czyniałam wszystko co mogłam i umiałam. Słowo nieszczęścia mego zamyka się w tem, że mało mogłam, nic dostatecznie nie umiałam. Ależ dotychczasowe próby moje nie objęły jeszcze całego kręgu rozlicznych czynności ludzkich, pomiędzy nimi znajdzie się jeszcze może cokolwiek i dla mnie. Mogęż mieć jaką nadzieję? Powiedz mi pan szczerze i bez wahania, proszę cię o to w imię tego, którego darzyłeś niegdyś swą przyjaźnią, a który już nie żyje, w imię istot, które ci są drogiemi..

Księgarz uścisnął podaną sobie rękę. Dłoń jego ciepła była i serdeczna. Po chwili namysłu zaczął mówić.

— Ponieważ rozkazałaś mi pani być szczerym, powiedzieć więc muszę prawdę smutną. Nadzieje polepszenia losu swego za pomocą pracy małą tylko możesz mieć pani i wielce niepewną! Wspomniałaś pani o kręgu działalności ludzkiej. Ależ krąg działalności w ogóle ludzkiej i krąg działalności ko-

biecej są, to co do rozmiarów swych dwa nieskończenie różne pomiędzy sobą kręgi. Ostatni wyczerpałaś już pani całkiem prawie w próbach bezowocnych.

Marta słuchała słów tych ze spuszczonei oczami, w nieruchomej postawie. Księgarz patrzył na nią wzrokiem pełnym współczucia.

— Powiedziałem pani to wszystko dla tego, abyś nie łudziła się zbyt wygórowaną nadzieją i nie doświadczyła nowego, boleśniejszego może od innych zawodu. Nie chciałbym jednak abyś pani odeszła ztąd myśląc, iż nie chciałem podać ci ręki pomocnej. Byłaś pani przez lat pięć codzienną towarzyszką życia człowieka ukształconego, to wiele znaczy; wiem że jesieniami, zimowemi wieczorami mieliście państwo zwyczaj czytywać wspólnie, musiał się ztąd uzbierać pewien zapasik wiadomości. Oprócz tego pozwól pani sobie powiedzieć, że sposób jej wyrażania się, jak też zapatrywanie się na życie, świadczy o umyśle, który nie jest w zupełności nieuprawnym. Dla tego sądzę, że spróbować pracy na nowem jeszcze polu możesz pani i powinnaś..

Przy ostatnich słowach księgarz zdjął z pulki niewielkich rozmiarów książkę. Oczy Marty zajaśniały.

— Jest to świeże dziełko jednego z francuzkich myślicieli, którego przekład pożytecznym być może publiczności naszej i moim interesom. Miałem za-

miar powierzyć go komu innemu, teraz jednak szczęśliwy jestem, że mogę służyć nim żonie naszego kochanego i nieodżałowanego pana Jana...

Mówiąc to księgarz zawijał w papier błękitny tomik.

— Jest to dzieło traktujące o jednej z bieżących kwestyi społecznych; jasno, przystępnie napisane, nie powinno być ono do przekładu zbyt trudnem. Ażebyś zaś pani wiedziała dla czego pracować będziesz określić mogę, że honorarium (przebacz pani urzędowy ten wyraz) udzielić jej będę mógł w sumie 600 złotych. Jeżeli zajęcie to okaże się dla pani odpowiedniem znajdzie się może potem i coś innego do przełożenia. Nakoniec nie ja to jeden jestem tu wydawcą i bylebyś pani zyskała sobie imię dobrego tłumacza, zostaniesz wezwaną tu i owdzie. O niemieckim języku mówiłaś mi pani, że posiadasz go w bardzo słabym stopniu. To szkoda. Przekłady z tego języka byłyby pożądanejsze i popłatniejsze.

Ale jeżeli jedna i druga praca uda się pani pomyslnie, będziesz może w stanie wziąć kilkadziesiąt lekcyi... w dzień przekładać pani będziesz dzieła francuzkie, nocami doskonalić się w mowie germanów... taką być musi praca kobiety. Krok za krokiem i self-help... Marta drżącemi rękami wzięła podawaną jej książkę.

— O panie! wymówiła, ściskając w obu dłoniach

rękę księgarza, niech ci Bóg wynagrodzi szczęściem tych których kochasz.

Nic więcej powiedzieć nie była wstanie, po kilku sekundach znajdowała się już na ulicy. Szła teraz szybkim krokiem. Z rozrzwinięciem myślała o szlachetnym postępku z nią księgarza, o uprzejmości i uczynności, jaką jej okazał. Z myśli tej wywinęła się myśl inna. Mój Boże, mówiła w duchu młoda kobieta, tylu dobrych ludzi na drodze mej spotykam, dla czegoż mi żyć tak ciężko? Książka, którą niosła paliła jej dłonie. Pragnęłaby lotem strząły dosięgnąć swej izdebki aby rozejrzeć się pomiędzy kartami, które może przynieść jej miały zbawienie. Po drodze jednak wstąpiła do małego sklepu z obuwiem i kupiła parę malutkich trzewiczków. Kiedy nakoniec wbiegła w bramę wysokiej kamienicy przy ulicy Piwnej stojącej, nie poszła wprost na wschody ale skierowała się w głąb dziedzińca ku małym drzwiczkom mieszkania stróża. Tam bowiem pod opłacanym przez Martę dozorem żony stróża, Jancia przepędzała codziennie długie godziny, w których matka jej szła w zakładzie Szwejcowej. W powierchowności dziecka zaszły przez czas ubiegły, większe jeszcze i głębsze zmiany niż w powierchowności matki. Policzki Janci wklęsły i chorobliwą okryły się żółcią; żałobna, zrudziła i w kilku miejscach rozdarła jej sukienka zwisała na wychudłym ciałku, czarne oczy rozszerzyły się, utraciły

dawny blask i ruchliwość, a w wyrazie swym posiadały tę niemą bolesną skargę, którą odznacza się wzrok dzieci gnębionych fizycznie i moralnie.

Ujrawszy matkę, Jancia nie rzuciła się jej na szyję, nie zaszcebiotała jak bywało dawniej, nie klasnęła w drobne dłonie. Ze schyloną główką i chudymi, zziębniętymi rączkami zaciśniętymi w koło wełnianej chusteczki którą się otulała, weszła z matką do izby na poddaszu i usiadła wnet na ziemi przed pustym kominem w postaci skurczonej i zgniekanej. Marta położyła książkę na stole i wydobyła parę polan z za pieca. Jancia wodziła za nią swemi przygastemi rozszerzonymi źrenicami. Czy nie pójdziesz już dziś nigdzie Mamo? ozwała się po chwili głosem, którego dźwięk stłumiony i poważny rażąco stano wił kontrast z drobną, dziecięcą postacią. Nie, dziecko moje, odpowiedziała Marta, nie pójde już dziś nigdzie. Jutro wielkie święto i dziś popołudniu nie kazano nam przychodzić.

Mówiąc to Marta położyła drewnka na kominku i przyklększy chciała uścisnąć małą córkę.

Zaledwie jednak dotknęła jej ramienia z ust Jancii wyrwało się syknięcie bólu. Co ci to? zawołała Marta.

— Boli mię tu, mamo! bez skargi w głosie ale bardzo cicho odparło dziecko.

— Boli cię! dla czego? jak dawno? troskliwie dopytywała się Matka. Jancia milczała i siedziała.

nieruchoma ze spuszczonei oczami. Błede uste-
czka jej tylko drżały trochę jak bywa zwykle u dzie-
ci gdy płacz gwałtowny powstrzymać usiłują. Mar-
tę niepokoilo uparte milczenie dziecka więcej może
niż ból objawiony. Szybko rozpięła luźno zwisają-
cy mały stanik i osunęła go z jednej ręki dziecka.
Na chudem białem ramieniu obnażonem ręką matki
czerniała ciemno-sina plama. Marta splotła kur-
czowo ręce. Okropna jakaś myśl przejść jej musiała
przez głowę.— Czy upadłaś albo uderzyłaś się? za-
pytała zcicha z oczami wlepionemi w ciemne pię-
tno. Jancia milczała jeszcze chwilę, nagle podnio-
sła spuszczone powieki i ukazała źrenice oszklone
łzami. Wciąż jednak wstrzymywała się od płaczu,
drobna pierś jej pracowała gwałtownie, cienne uste-
czka drżały jak listki.

— Mamo, szepnęła po chwili chyląc się ku matce,
siedziałam dziś tam przy piecu...zimno mi było..
Antoniowa niosła wodę do ognia...zaczepiła się
o moją sukienkę, wodę rozlała i ze złości uderzyła
mnie tak mocno... mocno...

Ostatnie wyrazy wymówiła bardzo cicho, głową
i piersią przylgnęła do piersi matki i drżała całym
ciałem. Marta nie wydała jęku ni krzyku, twarz jej
wyglądała przez chwilę jak skamieniała, ale poblądłe
wargi zwieraly się coraz silniej i z oczu nieruchomo

zapatrzonych w przestrzeń, buchało coraz jaskrawsze pośpenniejsze światło.

— Ach! jęknęła nakoniec i pałające czoło objęła splecionemi dłońmi. W krótkim jęku tym zabrzmiał gniew głuchy i boleść bez granic. Przez parę minut matka i dziecko tworzyły grupę dwóch piersi, ściśle do siebie przyciśniętych, dwóch twarzy, z których jedna kobięca z suchem i pośpennie płonącym okiem, pochylała się nad drugą dziecięcą, bledziuchną i łzami zalaną. Po chwili dopiero Marta odjęła dłonie od czoła i opuściła je na głowę córki. Odgarniała z czoła poplątane jej włosy, ścierała łzy z chudych policzków, zapinała u piersi mały staniczek, rozgrzewała w dłoniach zziębłe drobne ręce. Wszystko to czyniła w milczeniu. Parę razy otworzyła usta jakby chciała coś powiedzieć ale niestawało jej zapewne głosu. Powstała nakoniec z ziemi i podniosła Jancię. Posadziła ją na łóżku i wydobyła z kieszeni zawinięte w papier trzewiczki.

Na ustach jęj leżał teraz uśmiech, dziwny uśmiech! Było w nim coś sztucznego ale zarazem i coś bardzo wzniosłego, obok wysilenia woli widać w nim było miłość i męztwo matki, która własne bóle przerabia na uśmiechy, aby osuszyć niemi łzy swego dziecięcia...

Dzień skończył się, zegary miejskie ogłosiły północ, a w izbie na poddaszu paliła się jeszcze lampa;

izba ta wyglądała teraz smutniej jeszcze jak wtedy gdy młoda wdowa po raz pierwszy próg jęj przestępowwała. Nie było już w nięj szafy, ani komody, ani dwóch skórzanych tłomoczków. Pierwsze dwa przedmioty wraz z dwoma nowemi krzesłami, lokatorka oddała rządcy domu nie mogąc za najmowanie ich płacić dłużej, drugie sprzedała w dniach silnych mrozów, aby za otrzymane pieniądze przysporzyć opału. Pozostało w izbie jedno tylko łóżko na którem w tęg chwili owinięta czarną chustką matczyną spała Jancia, dwa krzesła kulawe i jeden na czarno pomalowany stolik. Oblana białem światłem lampy i otoczona grubym uplotem czarnych warkoczy, twarz siedzącej przy stole kobiety w pięknych i surowych zarysach występowała z półmroku. Marta nie pracowała jeszcze chociaż wszystkie materyały przyszłej jęj pracy książka, papier, pióro, leżały przed nią. Ale pochwyciła ją nieodparte nieprzewyciężone marzenie. Niespodziane, świetne perspektywy stworzyły się przed jęj oczami, nie mogła od nich oderwać ciemnością zmęczonego wzroku. Nie była już tak pełną ufności jak wtedy, kiedy przed tym samym stolikiem zasiadała z ołówkiem w ręku, ale nie miała dość siły aby słuhać poszeptów zwątpienia. Były one w niej te poszepty ale ona odwracała od nich ucho a natomiast wsłuchiwała się wciąż w napelniające myśl jęj słowa księgarza. Ze słów tych snuła się długa przedza złotych rojeń kobiety,

matki. Móźdz wykonywać pracę miłą, acz trudną, podnoszącą ducha i odpowiadającą najgłębszym jego potrzebom, jakaż to rozkosz! Zapracować przez kilka tygodni 600 złotych—co za bogactwo! Gdy raz już zostanie taką bogatą, wielką panią, pierwszą rzeczą jaką uczyni będzie przyjęcie jakiejś uczciwej, niemłodej służącej, któraby dzieci swoje miała a przynajmniej je lubiła, a więc dozorować mogła Jancię troskliwie, rozsądnie. Potem... (tu Marta zapytała sama siebie, czy nie jest w rojeniach swych zbyt śmiałą) potem opuści może tę nagą zimną ponurą izbę, w której jój samej tak smutno, dziecku jój mieszkać tak niezdrowo a wynajmie gdziekolwiek, przy małej jakiejś lecz czystej cichej ulicy dwa pokójki ciepłe, suche, słoneczne... Potem... jeżeli zdobędzie sobie imię dobrego tłumacza i wezwaną zostanie tu i owdzie, jeżeli te 600 złotych, ta summa olbrzymia po wiele razy do rąk jój przyjdzie, poszuka nauczycieli języków i rysunków, uczyć się będzie, o, uczyć się będzie dniami, nocami, bez odpoczynku, z zapalem i cierpliwością bo taką przecież być musi praca kobiety, krok za krokiem i o własnych siłach... Potem... Jancia dorastać zacznie. Z jakąż bacnością, oko matki śledzić będzie i odgadywać wrodzone jój zdolności, aby żadnej z nich nie pozostawić odłogiem, ale z każdej owszem ukuć dla przyszłej kobiety skarb dla ducha, zbroję do walki o życie... Nauka Janci, jój wykształcenie, siła,

szczęście i bezpieczeństwo przyszłości całej, będzie owocem pracy jej matki. Z jakimże spokojem zamykać ona będzie wtedy oczy swe do snu pokrzepiającego, z jakąż rozkoszą otworzy je co rano, witając nowy dzień trudów i obowiązku lecz zarazem spokoju i zadowolenia! Z jakąż dumą wejdzie wtedy pomiędzy ludzi, czując, że jest im równą w sile i godności człowieczeń, z jak ulżonem i błogo z rozrzuwionem sercem ukłęknie na grobie człowieka, którego kochała i wiecznie oczom jej przytomnemu obrazowi jego powie: zostałam godną ciebie! nie uległam złej doli! uniknęłam śmierci z głodu i życia z jałmużny! Potrafiłam osłonić opieką i wychować dla przyszłości dziecię twoje i moje! Potem...

Tu oczy Marty spotkały obok niej wiszący na ścianie obrazek. Był to rysunek ów odrzucony przez pracodawców i zwrócony jej przez nich. Przyzdobiła nim biedną naga izdebkę a teraz utopiła w nim cicho gorejące oczy. Domek mały wiejski, rozłożyste drzewo, ptaszyna śpiewająca nad krzakiem bzymym, przezroczyście powietrze wsi i głęboka cisza pól woniejących... O Boże! gdyby tyle zapracować mogła aż tyle, iżby podobny kącik skromny, świeży, zielony, iżby mógł stać się jej własnością! Będzie już wtedy podeszłą w wieku kobietą, wietrzyk szmerzący w gałęziach ochłodzi trudem życia uznojone jej czoło, zmęczone oczy pić będą barwę świeżej zieleni, a ptaszek który śpiewał gdy była w kolebce nad

głową, jej usypiającą snem wiekuistym, wydzwoni ostatnią dla niej pieśń tej ziemi.

Tak roiała kobieta uboga. Nocy tej w izbie na poddaszu lampa nie gasła aż do świtania. Marta czytała książkę, którą na obcą mowę przełożyć jej polecono. Czytała zrazu powoli, z uwagą, potem z zapalem, z gorączkowym niemal zajęciem. Zrozumiała myśl jej twórcy, przedmiot pisma przeniknął jej umysł, jasny i wyraźnie stanął przed oczami. Pojęcie jej stało się niby elastyczne koło i coraz obszerniejszą, kompletniejszą obejmowało całość, intuicya, ten rzadki i wysoki dar z człowieka czyniący półboga, podniósł się z głębokości ducha młodej kobiety i szeptał jej do ucha słowa nieznanych dotąd zagadnień.

Dzień był biały, gdy Marta zgasła lampę i pochwyciła pióro. Pisała, a kiedy niekiedy odrywając oczy od papieru przenosiła je w stronę izby, w której stało łóżko z uśpionem dziecięciem. Przy białym świetle zimowego poranku Jancia wyglądała blado i cierpiąco. Gdy pierwszy promień słońca wniknął do izby otworzyła oczy. Wtedy matka powstała, uklękła przy łóżku i otaczając ramieniem napół uśpione ciało dziecka pochyliła na poduszkę zmęczoną, gorącą głowę.

W tej samej chwili ruch zawrzał na mieście. Zaturkotały powozy, zabrzmiały dzwony kościelne, wa-

rem zakipsiały rozmowy, śmiechy i wołania. Warszawa witała rok nowy.

Od dnia w którym Warszawa witała rok nowy sześć tygodni minęło. O 1szej popołudniowej godzinie, Marta jak zwykle opuściła szwalnię, aby wrócić do domu i obiad dla siebie i dziecka sporządzić. Ucałowała Jancię która smutna i znękana w ciasnej izbie stróża, ożywała się nieco na widok matki i przystawiwszy do małego ognia garnek ze strawą, młoda kobieta wysunęła szufladkę stolika i wydobyla z niej kilkanaście arkuszy papieru. Było to już skończone tłumaczenie francuzkiego dzieła. Nad wykonywaniem go pracowała tygodni pić, nad przepisywaniem tydzień. Teraz z uśmiechem na ustach przeglądała kartki napełnione kształtnem i czystem pismem.

Przez czas ubiegły w powierzchowności jęj zaszły nowe zmiany, ale wcale inne niż uprzednio. Pracowała podwójnie bo w dzień i w nocy. Dziesięć godzin dziennych szyła, dziewięć godzin nocnych pisała, godzinę przepędzała na rozmowie z dzieckiem, cztery godzin spała. Był to sposób życia nie zupełnie zapewne odpowiadający prawidłom higieny, a jednak smugi chorobliwej żółtości zniknęły z twa-

rzy Marty, czoło jej wygładziło się, oczom wrócił blask dawny. Kaszlała rzadziej, wyglądała zdrowo i niemal świeżo. Duch jej skąpany w spokoju i orzeźwiony nadzieją pokrzepił upadające wprzód ciała, szlachetne zadowolenie z siebie samej wyprostowało na nowo smukłą kibić, pogodę przywróciło czołu. Po sporządzeniu i spożyciu obiadu składającego się z jednej prostej wielce potrawy i kawałka czarnego chleba, Marta przejrzała przed chwilą manuskrypt owinęła arkuszem cienkiego białego papieru. Czyniła to ze staraniem jakimś szczególnym, z malującym się na twarzy uczuciem pieczołowitości i zarazem wewnętrznej głębokiej rozkoszy. Na jednej z wysokich wieży miasta uderzyła godzina druga. Marta odprowadziła Jancię do izby stróża i wyszła na miasto. O trzeciej powinna była znaleźć się na zwykłym swem miejscu szwalni Szwejcowej, przedtem zaś jeszcze wstąpić chciała do znajomej sobie księgarni.

Księgarz-wydawca stał zwykle za kontuarem zajęty zapisywaniem cyfr i notat przy wielkiej książce. Przy wejściu Marty podniósł głowę. Ukłonił się wchodzącej bardzo uprzejmie. Skończyłaś już pani pracę swą, rzekł biorąc rękopis z ręki Marty, to dobrze, czekałem na nią z niecierpliwością. Dzieło to wydanem być powinno teraz lub nigdy... kwestya bieżąca, paląca czekać nie może... dziś obchodzi ogół jutro może mu być obojętną. Z przejrzeniem

rękopismu pośpieszę. Chciój pani przyjść jutro o téj saméj porze, a będę mógł udzielić jój wiadomość stanowczą.

Dnia tego w pracowni Szwejcowej Marta nie wiele wykonywała roboty. Usiłowała spełniać jak najlepiej to co pomimo wszystkiego mieniła swym obowiązkiem, ale nie mogła. Ręce jój drżały, chwilami ciemna mgła przysłaniała, serce uderzało z mocą oddech w piersi tamującą. Teraz; w téj chwili może księgarz-wydawca rozwija jój rękopism, czyta go... przebiega może oczami 5tą stronicę. . o, żeby też przebiegł ją szybko bo tam właśnie znajduje się ustęp, który najtrudniejszy do zrozumienia najmniej dobrze wyszedł w przekładzie... za to koniec rękopismu, ostatnie jego karty przełożone są wybornie... pisząc je Marta czuła sama, że porywa ją rzeczywiste natchnienie, że myśl mistrza odźwierciadła się w jój słowach jak wspaniałe oblicze mędrca w przeczystem zwierciadle... W mieszkaniu Szwejcowej zegar uderzył godzinę 9tą, robotnice rozeszły się, Marta wróciła do swéj izby. O północy wyobrażała sobie, że księgarz-wydawca teraz właśnie zamyka zakreślony przez nią, a przez niego przeczytany zeszyt. Cóżby była dała za to, gdyby widzieć mogła w téj chwili fizyognomiją jego? Jestże ona zadowoloną lub zasepioną, surową lub obiecującą spełnienie jój nadziei? Biały dzień wnikał do izby gdy Marta oparta o poduszkę, oczami, które przez noc

całą nie zamknęły się ani na chwilę, wpatrywała się w widniejący za drobnymi szybami kawałek nieba. W oczach tych rozwartych szeroko, nieruchomych, pod bladem czołem malowało się głębokie błaganie, tryskała z nich niema lecz gorąca modlitwa. O godzinie 8ej miała według zwyczaju udać się do szwalni, ale nogi tak drżały pod nią, głowa jej tak plonęła i piersi tak bolaly, że opuściła się na stołek, czoło objęła dłońmi i powiedziała sobie nie mogę. Wstając, czesząc swe długie jedwabiste włosy, wkładając żalobną zestarzałą suknię, sporządzając napój poranny dla dziecka i nawet rozmawiając z Jancią wciąż jedną myśl miała w głowie: przyjmie pracę moję czy nie przyjmie umiem prace takie spełniać, czy nie umiem? „Kocha, nie kocha” szepotała urocza Gretchen obrywając z kolei śnieżne listki polnej astry. „Umieć...nie umieć myślała uboga kobieta rozpalając na kominie dwa biedne polana, warząc nędzną strawę, zamiatając posępną izbę i tuląc do piersi blade ukochane swe dziecię. Któż zdoła na pewno określić, w której z dwóch tych pytających kobiet spoczywał głębszy, straszniejszy dramat, którą w okrutniejszy sposób odpowiedzią swą los miał zgruchotać, która z nich była nieszczęśliwszą i mniej wymagającą od ziemi srożej zagrożoną?

Okolo godziny 1szej po południu Marta była znówu na chodniku Krakowskiego Przedmieścia. Im bardziej zbliżała się do mety, ku której dążyła, tem

więcej zwalniała kroku. Znalazła się już przed drzwiami księgarni i nie weszła jeszcze; postąpiła w przeciwnym kierunku, oparła się ręką o balustradę otaczającą jeden z pysznych pałaców i stała chwilę z pochyloną głową.

W kilka minut dopiero potem przestąpiła próg, za którym czekała na nią radość lub rozpacz.

Tym razem oprócz właściciela zakładu znajdował się w księgarni nie młody mężczyzna, w okularach, z wyłysiałą czaszką, z wielką twarzą o szerokich i pulchnych policzkach. Siedział w głębi obszernej sali nad kilku dziesięciu tomami rozrzuconemi po obszernym stole, z książką w ręku. Marta najmniejszej nie zwróciła uwagi na nieznanego sobie człowieka, nie widziała go prawie. Wszystkie władze jej ducha skupiły się w jej oczach które od progu zaraz spotkały twarz księgarza i w niej utonęły. Księgarz siedział tym razem za kontuarem i czytał gazetę. Przed nim leżał zwój papieru. Marta poznała swój rękopism i uczuła dreszcz przebiegający ją od stóp do głowy. Dla czego rękopism ten znajdował się tutaj i zwiniętym był tak jakby miał wnet oddanym zostać komuś? Być może iż księgarz gotuje się pójść zaraz do drukarni i dla tego położył przed sobą ten zeszyt, może zresztą nie przeczytał go jeszcze, nie miał czasu... W każdym razie nie na to leży on tu, aby wręczonym być tej która, spędziła nad nim kilkadziesiąt nocy, ukochała go, wypieściła, zamknęła w nim

najdroższą swą nadzieję... jedyną nadzieję! Nie, tak być nie mogło! przez Boga miłosiernego tak być nie mogło! Myśli te snopem palących błyskawic w kilku sekundach przeleciały przez głowę Marty.

Postąpiła ku księgarzowi, który powstał i oglądając się na obecnego w księgarni niemłodego mężczyznę, podawał jej rękę. Trudność tę Marta spostrzegła lecz wnet przypisała ją obecności świadka. Ten ostatni przecież zdawał się być zanurzonym w czytaniu, od miejsca, na którym naprzeciw księgarza stała Marta dzieliło go kilkanaście kroków. Marta odetchnęła z głębi piersi i zapytała zcicha.

— Czy przeczytałeś pan mój rękopism?

— Przeczytałem, pani, odpowiedział księgarz. Na Boga! cóż znaczyć może ten dźwięk głosu, którym wymówił dwa te wyrazy? W znizonych tonach jego zabrzmiało jakby niezadowolone łagodzone uczciwym żalem!

— I jakąż otrzymam od pana wiadomość? ciszej jeszcze jak wprzódy wymówiła kobieta i z zapartym oddechem, szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w twarz księgarza.— O gdybyż wzrok ją mylił! Wszakże na twarzy tej było zmieszanie połączone z tem samem współczuciem, które brzmiało w głosie!

— Wiadomość pani, zaczął księgarz półgłosem i powoli; wiadomość niepomysłna... boli mię, bardzo boli że powiedzieć pani to muszę... ale jestem wy-

dawcą odpowiedzialnym przed publicznością, przemysłowcem zmuszonym do strzeżenia mych interesów. Praca pani posiada wiele zalet ale... nie kwalifikuje się do druku...

Usta Marty poruszyły się słabo, głosu jednak żadnego nie wydały. Księgarz po chwili milczenia w czasie której szukał widocznie w głowie swej słów, okoliczności odpowiednich, mówić zaczął.

— Mówiąc że przekład pani nie jest pozbawionym pewnych zalet powiedziałem prawdę, co więcej, o ile znam się na tem na pewno powiedzieć mogę, że posiadasz pani widoczne do pióra zdolności. Styl pani nosi na sobie dość energiczne piętno zdolności tych, jędrny jest, ożywiony, miejscami pełen werwy i zapału. Ale...o ile z pracy pani uważać mogłem, zdolności te jej niezaprzeczone pozostają w stanie, przebacz pani że się tak wyrażę, rudymen-tarnym, nieobrobionym. Brakuje im wsparcia nauki, pomocy, jakich tylko znajomość techniki sztuki pisarskiej udzielić może. Oba języki, z którymi miałaś tu pani do czynienia znasz zbyt mało, abyś ovladnąć niemi mogła jak wymagał tego przedmiot, i nomenklatura naukowa. Co więcej, znaczna część wysokiej mowy literackiej, posługującej się mnóstwem wyrażen w potocznem użyciu nieistniejących, są pani widocznie bardzo mało znane. Ztąd częste zamiany słów, nietrafności wyrażen, ciemności i płątaniny stylowe. Słowem zdolności pani masz, ale uczyłaś się za mało, sztuka zaś pisarska cho-

ciażby tylko ograniczać się miała na wykonywaniu przekładów, wymaga niezbędnie pewnego dość szerokiego kręgu odbytych już studyów, pewnej dość obszernej wiedzy tak ogólnie naukowej jak specjalnie technicznej...

Wypowiedziawszy to wszystko księgarz umilkł i po chwili dopiero dodał.

— Oto jest cała prawda, którą wypowiedziałem ze smutkiem. Jako znajomy pani żałuję, żeś pani nie zdobyła sobie pożądaney ci sposobności pracowania: jako człowiekowi smutno mi, żeś nie kształciła dostatecznie swych zdolności. Posiadasz pani zdolności niezaprzeczone, szkoda tylko, wielka szkoda, że nie uczyłaś się więcej, obszerniej, gruntowniej...

Przy ostatniem słowie księgarz wziął ze stołu zwój papieru i podawał go Marcie. Ale ona nie wyciągnęła ręki, nie uczyniła najmniejszego poruszenia, stała wciąż wyprostowana, sztywna, jakby skamieniała i tylko na białych ustach jej drżał dziwny uśmiech. Był to jeden z tych uśmiechów, które miliony razy smutniejszemi są od łez, bo widać w nich ducha poczynającego szydzić z siebie i ze świata. Słowa księgarza, sądzącego literacką pracę Marty, były dosłownem prawie powtórzeniem słów literata, wydającego przed kilku miesiącami wyrok na jej rysunek. Te to zapewne zbliżenie kurczowym uśmiechem poruszyło drżące wargi kobiety.

— Zawsze to samo! szepnęła po chwili, poczem

pochyliła głowę i głośniejsz wyrzekła. Boże mój, Boże, Boże!

Jęk ten wydarł się z ust jej szybki, stłumiony lecz przeszywający. Nietylko więc płakała już w obec świadków ale i wydawała jęki. Gdzież więc podziela się dawna duma jej i mężna powściągliwość? Przymioty te właściwe charakterowi Marty, stały w części w stopniowo nabywanem przyzwyczajeniu do nieustannie przenoszonych upokorzeń, pozostało ich w niej jednak tyle jeszcze, że po kilkunastu sekundach zdołała podnieść głowę, zatrzymać łyzy pod powieką i dość jasnym nawet wzrokiem spojrzeć na księgarza. Wzrok ten wyrażał błaganie, niestety! znowu błaganie a więc upokorzenie!

— Panie! rzekła, byłeś dla mnie tak dobry, a że z dobroci twej pożytku odnieść nie mogłam moja to już wina...

Zatrzymała się nagle. Wzrok jej stał się szklanym i wewnątrz cofniętym.—Czy moja? szepnęła bardzo cicho tonem pytania. Pytanie to zadawała widocznie samej sobie, problemat społeczny, którego była jedną z przedstawiolek i ofiar, ujmował ją coraz ściślej w twarde ramiona i rozkazywał jej spoglądać w straszliwe swe oblicze. Otrząsała się jednak szybko z mimowolnej zadumy. Rozjaśniony znowu wzrok podniosła na twarz stojącego przed nią, człowieka.

— Czy nie mogłabym uczyć się teraz jeszcze? Czy nie ma żadnego na świecie miejsca, w którym bym

czegokolwiek wyuczyć się mogła? Powiedz mi pan, powiedz, powiedz!

Księgarz nawpół był zmieszany, nawpół wzruszony....

— Pani, odpowiedział, czyniąc giest pożałowania, o żadnym miejscu takim nie wiem. Jesteś pani kobietą. W tej chwili wyszedł z sąsiedniej sali i zbliżył się do księgarza jeden z subjektów z jakimś długim rejestrem czy rachunkiem w ręku.

Marta wzięła rękopism swój i odeszła. Kiedy na pożegnanie podała księgarzowi rękę, palce jej były zimne jak lód i zeszywniałe, twarz posiadała nieruchomość marmuru, i tylko na ustach jej drżał wciąż migotliwy, przejmujący uśmiech zdający się w nieskończoność powtarzać słowa tylko co wymówione. Zawsze to samo! Za ledwie drzwi zamknęły się za Martą, niemłody mężczyzna z łysą głową i wielką twarzą, rzucił na stół książkę, w której zdawał się dotąd być zagłębionym i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Z czego się pan śmiejesz? ze zdziwieniem zapytał księgarz podnosząc oczy z nad rejestru podanego mu przed chwilą.

— Jakże się tu nie śmiać! zawołał mężczyzna a oczy jego błyskały z zagrubych i mętnych szkieł serdeczną wesołością, jak się tu nie śmiać! Zachciało się jejmości zostać literatką, autorką! No proszę! cha, cha, cha! ależ dałeś jej pan odprawę!

Miałem doprawdy ochotę porwać się z krzesła i uściskać cię za to!

Księgarz patrzył na gościa swego surowym trochę wzrokiem.

— Wierz mi pan, odparł z odcieniem niezadowolenia, że z prawdziwą przykrością, powiem nawet z żalem przyszło mi zasmucić tę kobietę...

— Jako! zawołał człowiek, siedzący nad stołem książek, i pan to mówisz na seryo?

— Zupełnie na seryo; jest to wdowa po człowieku którego znałem, lubilem i szanowałem...

— Ba! ba! ręczę ci, że awanturnica jakaś! Porządne kobiety nie włóczą się po mieście szukając czego nie zgubiły, siedzą one w domu, gospodarstwa pilnują, dzieci hodują i Boga chwalą...

— Ależ zmiłuj się panie Antoni, kobieta ta nie ma żadnego gospodarstwa, jest ona w nędzy...

— Ah! dałbyś pokój, panie Laurenty! Dziwię się, że możesz być tak łatwowiernym! To nie nędza panie, ale ambicya! ambicya! Chciałoby się czem błysnąć, zasłynąć, najwyższe miejsce w społeczeństwie zająć i zdobyć sobie tym sposobem swobodę czynienia co się podoba i osłaniania wybryków swych urojoną wyższością, kłamaną pracą!

Księgarz wzruszył ramionami.

— Jesteś przecie literatem, panie Antoni i powinienbyś więcej coś wiedzieć o kwestyi wychowania i pracy kobiet...

— Kwestya kobiet! podskakując na krześle,

z rozumienioną nagle twarzą i pałającymi oczami wykrzyknął mężczyzna. Czy wiesz pan co to takiego, ta kwestya kobiet?

Umilkł na chwilę bo zasapany z wielkiego uniesienia zmuszonym był głębiej odetchnąć. Po chwili spokojniejszym już głosem dodał. Na cóż ci zresztą mówić mam, co myślę o tym przedmiocie. Przeczytaj moje artykuły.

— Czytałem, czytałem i bynajmniej nie zostałem niemi przekonany, aby...

— No! to jeśli mnie nie wierzysz, wpadł mu w mowę literat, w grubych okularach, nie będziesz przynajmniej lekceważył tego wszystkiego co wypowiadają o tem powagi... wielkie powagi... Oto niedawne doktor Bischof... wiesz przecie kto to Bischof?

— Bischof, rzekł księgarz, jest zapewne wielkim uczonym, ale oprócz tego, że nadużywacie słów jego i przesadzacie ich znaczenie nie sędzę aby mógł być wyrocznią wskazującą tysiące nieszczęśliwych istot....

— Awanturnic! przezwał znowu literat, wierz mi, że awanturnic tylko, istot ambitnych, pysznych i pozbawionych moralności. Po co nam proszę kobiety uczone, jak wyrażają się niektórzy niezależne? Piękność, łagodność, skromność, uległość i pobożność, oto są cnoty właściwe kobiecie, gospodarstwo domowe oto zakres jej pracy, miłość dla

męża [oto jedyna stosowna i pożyteczna dla nich cnota! Prababki nasze...

W tej chwili weszło do księgarni parę osób, a opowiadanie o prababkach zawisło niedokończone na otwartych pulchnych ustach literata. Ale jakichże silnych argumentów zaczerpnąłby on dla tyłkoco wygłoszonej swej teorii, jak wiele mógłby nowego powiedzieć i napisać o ambicyi i zazdrości wiodących kobiety do przekraczania nakreślonych im przez naturę i wielkie powagi granic, gdyby mógł w tej chwili przeniknąć myśli idącej ulicą Marty!

Po wyjściu z księgarni była ona zrazu jakby ogłuszoną i onieczuloną. Nie myślała o niczem i nie czuła nic. Pierwsza myśl przytomna jaka powstała w jej głowie formułowała się słowami: jacy oni szczęśliwi! pierwszym uczuciem budzącem się w niej wyraźnie była — zazdrość.

Szła wtedy chodnikiem przeciwległym temu, za którym szerokie i wspaniałe swe budowy rozpościera Kaźmirowski pałac. Na obszernem pałacowem podwórzu roily się młodzieńcze postacie z ożywionemi twarzami, w dostojnych ubiorach wychowańcowi Uniwersytetu. Jedni z młodzieńców tych trzymał pod ramieniem wielkie księgi w prostej oprawie lub bez oprawy, zniszczone, na wpół podarte od używania, inni owijali w papier elastyczne lub stałą połyskujące przedmioty, przyrządy naukowe zapewne, które nieśli do domów swych aby z ich pomocą oddawać

się uczonym eksperymentom i obserwacyom. Przez kilka minut napelniali oni podwórze gwarem rozmów cichszych i głośniejszych. Rozprawiali, giestykutowali żywo, od czasu do czasu z tej lub owej grupy wybiegła gamma młodzieńczego śmiechu albo podniósł się głośniejszy wykrzyk zdradzający uniesienie, zapał młodej piersi i przedmiot ulubiony studyów rozpalonej głowy. Po kilku minutach grupy rozprzegły się, widać było jak młodzi ludzie podawali sobie dłonie i jedni z wesołemi uśmiechami na ustach, inni w zamyśleniu, inni jeszcze ożywioną prowadząc rozmowę, pojedynczo lub parami opuścili Uniwersytecki podwórzec i zmieszali się z ludnością szeroki chodnik zalegającą.

Marta szła bardzo powoli, z głową zwróconą wciąż ku wielkiej budowie, która teraz przybrała dla wyobraźni jej znaczenie świątyni o tajemniczej sile pociągu. Młodzi ludzie z księgami pod ramieniem, z jasnemi lub poważnie zamyślonemi twarzami, wydawali się jej istotami dzierżącemi przywileje, dostojność i szczęście chyba pół-bogów. Biedna kobieta westchnęła z głębi piersi. Szczęśliwi! och! szczęśliwi! szepnęła i ogarniając znowu wzrokiem wspaniałą budowę, którą zostawiała już po za sobą dodała. Czemuż ja tam nie byłam? Czemuż ja tam teraz być nie mogę?

Nie mogę? myślała dalej, dla czegoż nie mogę? Nie mam prawa, dla czego nie mam prawa?

Jakież to są te tak bezgraniczne różnice, które za-

chodzą pomiędzy mną i tymi ludźmi? Dla czego otrzymują oni to bez czego żyć tak trudno, a ja nie otrzymałam i otrzymać nie mogę?

Po raz pierwszy w swem życiu w piersi Marty podniosła się fala palącego oburzenia, głuchego gniewu, gorzkiej zazdrości. Zarazem doświadczyła uczucia niewysłowionej, gniotącej pokory. Zdawało jej się, że najlepiejby uczyniła jeśliby w tej chwili upadła na kamienie chodnika twarzą ku ziemi, pod stopy przechodniów. Niechby mię deptali! pomyślała, czegożem więcej warta, ja, niedołężna, do niczego niezdatna, nikczemna istota!

Ostatni wyraz tej myśli przebrzmiewał w jej głowie, gdy zwój papieru, który niosła wymknął się z jej dłoni i upadł pod stopy.

Zeszyt padając roztworzył się, nachyliła się aby go podjąć i na tle zakreślonej przez nią karty, ujrzała dwa trzyrublowe papierki. Był to dar litościwego księgarza, który odrzucając nieudolną pracę kobiety, pragnął jednak dać jej czynny dowód swej litości. Marta wyprostowała się z zeszytem w jednym ręku, szeleszczącymi papierkami w drugim. Oczy jej miały w tej chwili blask ostry i przeszywający, pierś drżała tłumionym głuchym śmiechem.

— Tak! wymówiła głośno prawie, *im* nauka i praca, mnie—jałmużna...

Wyrazy syczały w ustach jej tak prawie białych jak papier, który trzymała w dłoni. Dobrze! szepnęła po chwili, niech i tak będzie! Dla czego, nie

dali mi tego czego dziś wymagają odemnie, tego czego mi nie dali! Niech teraz dają pieniądze... tak... pieniądze... darmo... będę brała... niech dają...

Szybkim, nerwowym ruchem wsunęła assygnaty w kieszeń zniszczonej sukni i zachwiała się na nogach. Teraz dopiero, gdy duch jej wtrąconym został na nowo w odmęt strasznej burzy, ciało przypomniało jej, że była głodną, że kilkadziesiąt nocy spędziła nad pracą, która nie przydała się na nic. Nie mogła iść dalej. Przez mgłę, która wzrok jej przysłaniała ujrzała przed sobą wschody. Były to wschody Śto Krzyżkiego kościoła. Osunęła się na nie, oparła głowę na rękę i przymknęła oczy. Po krótkiej chwili zeszywniałe jej rysy zmiękły, lód w którym uczucia ścięły się w jej piersi tajał, z pod powiek spuszczonej po marmurowo białym policzku płynąć poczęły łzy, kropla po kropli, bujne, ciężkie, padały na chude ręce i kryły się pomiędzy fałdami żalobnej sukni.

Gdy tak się działo z Martą, chodnikiem Krakowskiego Przedmieścia postępowała para ludzi: kobieta i mężczyzna. Szli krokiem prędkim i lekkim, rozmawiali z sobą z wielkiem ożywieniem. Kobieta młodą była, wystrojona i piękna, mężczyzna młodym także, wytwornie ubranym i bardzo przystojnym.

— Mów pan co chcesz, przysięgaj jak chcesz, a nie uwierzę ci abyś kiedykolwiek w życiu swem mógł być naprawdę zakochanym!

Mówiąc to młoda kobieta śmiała się ustami i oczami. Z za ust jej koralowej barwy, ukazywały się dwa rzędy białych i drobnych zębów, piwne źrenice błyskały i rzucały dokoła szybkie wejrzenia. Mężczyzna westchnął. Była to parodia westchnienia mieszcząca w sobie więcej żartu i wesołości, niż śmiech kobiety.

— Nie wierzysz mi piękna Julciu, a jednak Bóg mi świadkiem, że m kochał się przez dzień cały nie tylko naprawdę, ale szalenie, bez pamięci!

Wystaw bo sobie taką boską istotę! Wysoka jak topola, oczy wielkie czarne, pleć jak alabaster, włosy jak krucze pióra, olbrzymie i nie sztuczne, powiadam, że nie sztuczne, ale własne już ja się na tem znam... smutna, blada, nieszczęśliwa... o, bogini! Ale to wszystko jeszcze nic, podobała mi się od razu co prawda, powiedziałem, przecież sercu mojemu: milcz! bo wiedziałem, że siostra moja nie żartem ją polubiła i strzedz ją ode mnie postanowiła jak od ognia... Wtedy jednak kiedy przyszła do mojej siostry i tym swoim cudownym, lubym, słowiczym głosem powiedziała: nie mogę uczyć córki pani... ale ja tobie piękna pani... Julciu opowiadałem już tę historią... otóż wtedy to właśnie zakochałem się w niej na prawdę. Przez cały dzień potem chodziłem jak odurzony po wszystkich ulicach szukając mojej bogini...

— I nie znalazłeś jej pan?

— Nie znalazłem...

— Nie wiedziałeś gdzie mieszka?

— Nie wiedziałem. Siostra moja wiedziała, ale ba!.. ilem razy spytał ją o adres pięknej wdowy opowiadała mi zawsze: czemu ty Olesiu, do bióra nie idziesz?

Kobieta parsknęła śmiechem.

— Siostra pana musi być okropnie poważną osobą! zawołała.

Mężczyzna nie zaśmiał się tym razem ani westchnął.

— Nie mówmy o siostrze mojej, panno Julio, rzekł głosem w którym brzmiała pewna stanowczość. Oto lepiej posłuchaj dalszego ciągu dramatu mojego życia. Ach! był to dramat...wyobraź sobie, że dnia tego spotkawszy na ulicy pannę Malwinę X. ukłoniłem się jej tylko zdaleka, koło drzwi Stępkosia przeszedłem ze schyloną głową i z westchnieniem w piersi, ujrzałem na afiszu *Piękną Helenę* i nie poszedłem do teatru, słowem, pogrążony zostałem w rozpacz tak ponurą, że gdyby mię poczciwy Bolek nie zaprowadził nazajutrz do pewnego mieszkania przy ulicy Królewskiej, gdzie ujrzałem najpiękniejszą z bogiń ziemskich...

— O! o! nawpół ze śmiechem, nawpół z zalotnem oburzeniem przerwała kobieta, bez komplementów tylko, bez komplementów.

— Byłbym już dotąd, ciągnął mężczyzna, byłbym

już dotąd...znalazł tę, która znikła z przed oczów moich...

— I której pan nie szukałeś więcej...

— Nie szukałem...

— I zapomniałeś o niej...

— Nie zapomniałem, och nie zapomniałem. Ale rana serca zablizniła się jakoś...cóż robić? vivre c'est souffrir...

Wymówiwszy ostatnie wyrazy młody człowiek podniósł w górę spojrzenie pełne melancholji i zagwizdał zcicha aryę Kalchasa z pięknej Heleny.

Nagle przestał gwizdać, stanął i zawołał. Ach! Kobieta obok niego postępująca spojrzała nań zdziwiona. Wesoły Oleś wzrok miał utkwiony w jednym punkcie i o dziwy! z ust jego zsunął się uśmiech wiekuisty. Kształtna i delikatna linija ust tych jak też i wszystkie linije twarzy młodzieńca, mieniły się i falowały jak bywa zwykle u ludzi z naturą wrażliwą, gdy są nagle wzruszonymi. Cóż tam takiego? zapytała piękna kobieta niechętnym trochę głosem, doprawdy, dodała zalotnie, powinnam mieć urazę do pana, panie Olesiu! Idziesz pan ze mną a patrzysz nie wiem na kogo..

— To ona! szepnął Oleś, ach jakże piękna!

Przez chwilę, młoda i strojna kobieta nosząca imię Julii szukała wzrokiem punktu, na którym tak upornie spoczywał wzrok jej towarzysza. Nagle pochylila się nieco i wyciągając przed siebie ręce

ukryte w sobolowej mufce zawołała. Wszakże to Marta Swicka!

Znajdowali się o kilka zaledwie kroków od wschodów S-to Krzyskiego kościoła, na których siedziała kobieta w żałobnej sukni, w czarnej wełnianej chustce zarzuconej na głowę i skrzyżowanej na piersiach.

Marta już nie płakała. Ze łzami które przez chwilę gwałtownie choć cicho płynęły z jej oczów, wyplakała znać część tych gryzących uczuć, których burza obezsilniła ją i nawpół omdlałą rzuciła na to miejsce. Teraz twarz jej była biała jak marmur i podniesiona w górę a oczy suche, z gorącym połyskiem i głębokim wyrazem nieruchomo patrzyły w błękitne niebo. Cała zresztą postać jej była nieruchomą. Najmniejsze drgnienie nie ożywiało podniesionych jej powiek, ani ust zwartych, ani zziębniętych rąk splecionych wśród grubych fałd sukni. Zdaleka, wzięsćby ją można było za posąg zdobiący wnijsćie do wspaniałej świątyni, posąg wyobrażający duszę modlącą się lub zapytującą, albo też i modlącą się i zapytującą zarazem.

Marta patrzyła w niebo, w oczach jej była modlitwa gorąca, ale zarazem igłębokie jakieś, namiętne, natarczywe niemal pytanie.

— Jakaż ona piękna! zcicha powtórzył wesoly Oleś i pochylając się ku swej towarzysze ciszej jeszcze dodał: Gdyby ją tak z temi wachodami razem przenieść do teatru, na scenę... dopiero to byłby efekt!

— Prawda że jest piękna, odszepnęła towarzyszka wesołego Olesia, ależ ja ją znam wybornie... co się z nią stało?.. czego ona tu siedzi? i jak ubrana! Żebraczka czy co?..

Zamieniając te wyrazy młoda para zbliżała się coraz bardziej do kobiety, która zwróciła jej uwagę.

Marta nie spostrzegła że jest czyjejkolwiek uwagi przedmiotem. Odkąd bezsilna i burzą uczuć starganna usiadła tu na chwilowy spoczynek, wiele może osób przechodzących ulicą patrzyło na nią ale ona nie widziała nikogo. Cała dusza jej błędziła za temi błękitami, w których zatoneły jej oczy, tam szukała ona jakiejś siły dobrej i potężnej któraby chciała i mogła skruszyć gnębiącą ją fatalność. Tuż nad głową zatopionej w zadumie kobiety ozwały się dwa głosy.

— Pani! mówił głos jeden, męzki i znizony wzruszeniem czy uszanowaniem.

Marta nie usłyszała tego głosu,

— Marto! Marto! zawołał głos drugi, kobiecy.

Głos ten Marta usłyszała, dźwięczały w nim brzmienia znane jej dobrze, zdawna. Wydało się Marcie jakoby w tej chwili przeszłość jej zawołała na nią po imieniu. Powoli i jakby z ciężkością źrenice jej oderwały się od wysokich błękitów, i spłynęły na twarz kobiety, która stała przed nią, sobolową mufkę na śnieg pod stopy swe rzuciła a ku niej wyciągnęła dwie drobne ręce, zamknięte w lilijowych połyskujących rękawiczkach.

— Karolina! szepnęła Marta ze zdziwieniem tylko zrazu, po chwili jednak jaśniejszy promień przebiegł po twarzy jej i stopił nieruchomość jej rysów.

— Karolcia! wymówiła głośniejsze i powstała. Pochwyciła obie podawane jej ręce kobiety.—Karolcia! powtórzyła;—mój Boże, tyżes to doprawdy?

— Tyżes to Marto? wzajemnie zapytała kobieta w atlasach i sobolach i błyszczące swe oczy ze smutkiem zatapiała przez chwilę w bladej, wychudłej twarzy, która na widok jej zadrżała radością. Ale w oczach tych smutek nie mógł snąć gościć długo.

Kobieta w atlasach zaśmiała się i zwrócona do towarzysza swego rzekła:

—Czy widzisz panie Aleksandrze jak się to ludzie spotykają na świecie, wszakże my z Martą znamy się od dzieciństwa!

— Tak, od dzieciństwa! powtórzyła Marta teraz dopiero spostrzegając wesołego Olesia i witając go ukłonem.

— Po kim nosisz żalobę? pytała kobieta w sobolach, szybkie spojrzenie rzucając na nędzny ubiór Marty.

— Po mężu.

— Po mężu! a więc owdowiałaś! to szkoda! przystojny był chłopak z twego Jasia, jesteś więc wdową; gdzieś mieszkasz stale, na wsi czy tutaj?

— Tu w Warszawie,

— Tu, a dla czego nie wróciłaś na wieś?

— Wiem mego Ojca w kilka miesięcy po ślubie moim sprzedano z licytacji.

— Z licytacji! tak! to szkoda, nie masz więc żadnego majątku, bo ten poczciwy Jaś kochał cię szalenie i musiał tracić na ciebie wszystko co miał. Cóż więc robisz teraz? jak żyjesz?

-- Jestem szwaczką.

— Ciężka robota! zaśmiała się kobieta w atlasach i ja próbowałam jej trochę, ale nie udało mi się...

— Ty Karolciu! ty byłaś szwaczką! z kolei zdziwiona zawołała Marta.

Kobieta w atlasach zaśmiała się znowu.

— Próbowałam być szwaczką, ale jakoś mi się nie udało! Cóż robić? tak chciało przeznaczenie na które jednak nie uskarżam się wcale...

I znowu zaśmiała się. Tak często powtarzający się śmiech jej, w pół płochy, w pół zalotny, zdawał się płynąć więcej z przyzwyczajenia do ciągłego śmiania się niż z wesołości. Teraz Marta orzuciła spojrzeniem bogaty strój stojącej przed nią kobiety.

— Czy wyszłaś za mąż? zapytała.

Kobieta zaśmiała się znowu.

— Nie! zawołała, nie, nie! nie wyszłam za mąż, moja droga! to jest, jak ci mam powiedzieć? ale nie, nie! za mąż nie wyszłam...

Śmiała się wciąż mówiąc, to, ale śmiech jej miał już tym razem przykre trochę przymuszone brzmienie. Wesoły Oleś, który nie spuszczał oczu z Mar-

ty przy ostatniem jej pytaniu spojrział na Karolinę musnął wąsik i uśmiechnął się.

— Cóż ja najlepszego czynię? zawołała kobieta w atlasach, paplaniną swoją zatrzymując państwa na chłodzie i wtedy, kiedy moglibyśmy wsiąść do dorożki i wnet pojechać do mego mieszkania. Pojedziesz ze mną, Marto? prawda? porozmawiamy długo i opowiemy sobie wzajemnie historję naszego życia...

Zaśmiała się znowu i rzucając dokoła szybkie błyszczące spojrzenia, dodała. O, te historje naszego życia! jakie one są zabawne! opowiemy je sobie wzajem, Marto, nieprawdaż?

Marta zdawała się wahać przez chwilę. Nie mogę, rzekła, dziecko moje czeka na mnie.

— A! masz dziecko! a więc cóż ztąd? poczeka jeszcze trochę.

— Nie mogę...

— A więc przyjdź do mnie za godzinę... dobrze? mieszkam na ulicy Królewskiej..

Wymieniła numer domu, ścisnęła w dłoniach swych rękę Marty. Przyjdź! przyjdź! powtarzała, czekać cię będę... przypomnimy sobie dawne czasy.

Dawne czasy mają zawsze urok wielki dla tych, którym nowe nie przyniosły nic prócz łez i boleści.

Marta czuła się orzeźwioną i żywo wzruszoną widokiem odnalezionej niespodzianie towarzyski swej młodości. Za godzinę, rzekła, przyjdę do ciebie, Karolciu...

Ktoby wtedy na grupę trzech tych osób wśród

chodnika stojących pilną zwracał uwagę mógłby spostrzedz, że gdy Marta wyrzekła słowo: przyjdę! Oleś uczuł niepoohamowaną, prawie ochotę podskończyć wysoko i wykrzyknąć: Victoria! nie uczynił jednak ani jednego ani drugiego, rzucił się tylko w tył nieco i strzepnął palcami. Czarne oczy jego zarzyły się jak rozpalone węgle i tonęły w bladej twarzy Marty, którą w tej chwili rozświecił uśmiech. Kiedy nakoniec młoda kobiéta odeszła, człowiek wiekuistego śmiechu wrócił się do swej towarzyszki.

— Jak żyję, zawołał z zapalem, jak żyję nie widziałem tak miłego, pociągającego stworzenia! Jak jej do twarzy w tej obrzydliwej chustce, którą ma na głowie.

O! jabym ją ubrał w atłasy, w aksamity, w złoto...

Pani Karolina podniosła nagle głowę i spojrzała w rozognioną twarz młodego człowieka.

— Doprawdy? zapytała przeciągłym tonem.

— Doprawdy, odpowiedział Oleś i nawzajem znaczące wejrzenie utopił w oczach swej towarzyszki.

Kobiéta w atłasach zaśmiała się krótkim, suchym śmiechem.

Dzień zimowy miał się ku końcowi. W saloniku, którego okna wychodziły na ulicę Królewską, na zgrabnym kominku otoczonym żelazną kunsztownie wyrobioną kratą zarzyły się węgle w takiej ilości,

aby nie rażąc zbytciem gorącem, przyjemne tylko dokoła rozlewać mogły ciepło.

Przed kominkiem stała kozetka wybita amaran-towym adamaszkiem i niski fotel na biegunach, orzucony kwiecistym kobiercem, z podnóżkiem, na którym znajdował się wyszyty włóczkami śliczny długouchy wzełek.

Na kozetce w pół leżała smukła postać kobiety w czarnej sukni, z szeroką białą taśmą u dołu.

Na fotelu, drobne i wytwornie obute stopy opierając o podnóżek, kołysała się lekko druga kobieta w modnym kostiumie z fioletowego atlasu, aksamitem i frendzlami tegoż koloru bogato przystrojonym; w białym jak śnieg webowym kołnierzyku spiętym wielką w złoto oprawną kameą; z jasno-płowymi włosami wysoko nad czołem zaczesanemi, ledwie dojrzanym pyłkiem białego pudru przysypanemi i w długich krętych pasmach opadającemi na plecy, piersi, szyję i ręce, które białe i drobne wysuwały się z webowych mankietów i splecione na atlasowej tiunice sukni, połyskiwały dużym brylantem jednego, lecz wielce kosztownego pierścienia.

Salonik, w którym znajdowały się dwie te kobiety nie był obszernym, tem bardziej więc uderzał w oczy wykwint jego przystroju. Jedwabne firanki spuszczały się nad dwoma wielkimi oknami i przyozdabiały drzwi wysokie; szerokie zwierciadło odbijało w sobie rozrzucone pod ścianami grupy niskich i miękkich sprzętów, na kominku stał wielki zegar

brązowy a stoły i stoliczki dźwigały kryształowe czary napelnione kwiatem, srebrne dzwonki, rzeźbione bombonijerki, wieloramienne świeczniki. Przez drzwi na oścież roztwarte, widać było utopiony w półmroku pokój sąsiedni z posadzką zasłaną puszystym kobiercem, z okrągłym politurowanym stołem pośrodku i zwieszoną nad nim wielką kulą szklaną, w której rozniecony płomień przybierać musiał barwę różową. Delikatna woń cieplarniowych roślin pod oknami kwitnących napępiała to małe mieszkanie; w pobliżu kominka; ocieniony zielonym ekranem, stał stół z porcelanowym serwisem, i resztkami tylko co śnać spożywanych przysmaków.

Kobięty siedzące przed kominkiem milczały. Twarze ich oświetlone różowym blaskiem żaru posiadały odrębny całkiem charakter.

Marta pochylała głowę na poduszkę miękkiej kozetki, oczy jej były nawpół zamknięte, ręce zwisły bezwładnie na czarnej sukni. Po raz pierwszy od wielu miesięcy dotknęła ustami smacznego i obfitego pożywienia, znalazła się w atmosferze dostatecznie ogrzanej, w otoczeniu pięknych i harmonijnie dobranych przedmiotów. Ciepło pokoju i delikatna woń kwiatów upoiły ją nakształt trunku. Teraz dopiero uczuła jak bardzo była znużoną, ile sił odebrały jej chłód, głód, smutek, trwoga i walka.

Wpół leżąc na miękkim sprzęcie, ogarnięta falą ciepła rozgrzewającą długo zziębnięte jej członki, odychała powoli i głęboko. Patrząc na nią możnaby

rzec iż zatrzymała w sobie myśl wszelką, usunęła od siebie dolegliwe mary trwóg i bólów, i zdziwiona ciszą, wonią, ciepłem i pięknnością tego nieznanego raj, do którego wstąpiła—odpoczywała przed nowem zstąpieniem w ciemne głębokości swej doli..

Karolina szeroko otwartemi, uważnemi, przenikliwemi oczami patrzyła na swą towarzyszkę. Białe policzki jej zabarwione były świeżym rumieńcem, usta posiadały barwę koralu, a ciemne oczy połysk młody i żywy. Świeżość jednak tej kobiety nie była zupełną. Wszystko w niej było młode i na pozór przynajmniej pogodne oprócz czoła. Na czole tem oko wprawne do czytania w twarzach ludzkich, mogłoby dojrzeć ślady długiej i nie skończonej jeszcze historii życia, serca, a może i sumienia. Obok twarzy młodej, świeżej, pięknej, czoło to samo jedno zwędłe było i nawpół zestarzałe. Przebiegały je wszczędzie zaledwie widzialne lecz gęste niteczki zmarszczek, pomiędzy ciemnymi brwiami leżała na niem nieruchoma i na zawsze już tam zapewne wryta bruzda. Pomimo świeżości policzków, karminu ust blasku oka i bogactwa stroju tej kobiety, wyraz czoła jej obudzić mogłoby w pilnym i pojętym badaczu twarzy ludzkich trzy uczucia: nieufność, ciekawość i litość.

Od kilku minut dopiero pomiędzy dwoma kobietami temi trwało milczenie. Marta przerwała je pierwsza. Podniosła głowę z nad poduszki, na której wspierała się przez chwilę i zwracając wzrok na towarzyszkę, rzekła:

— Opowiadanie twoje, Karolciu, wprawiło mię w zdumienie wielkie. Któżby mógł przypuścić że pani Herminja postąpi z tobą kiedy w sposób tak okrutny! Ona która cię przecież wychowała, blizka-krewna twoja podobno...

Karolina oparła plecy o wygiętą tylną poręcz fotelu, i drobną stopą przyciskając silniej pieska wyszytego na podnóżku, w szybszy bieg wprawiła bieguny swej wytwornej kolebki. Z lekkim uśmie- szkiem na ustach i oczami wpatrzonemi w sufit mówić zaczęła.

— Blizką moją krewną pani Herminija nie była owszem, dosyć daleką, ale nosiłam po ojcu to samo co ona nazwisko. Było to dostatecznem dla dumnej, bogatej pani aby raczyła sierotę wychodować w domu swym i uczynić z niej potem rezydentkę czy tam pannę do towarzystwa. Wyświadczyła mi w istocie dobrodziejstwo wielkie, gdyż do końca życia i cokolwiekbądź nastąpiło potem, chlubić się mogą iż wychodowałam się razem z pieskami faworytami znanej na wielkim świecie pani Herminji. Edukacya nasza i sposób naszego życia, to jest mego i piesków, były bardzo do siebie podobne, ja i one spaliśmy na miękkich poduszkach, biegaliśmy po woskowanych posadzkach, spożywaliśmy wyborne delikatesy, i ta tylko pomiędzy nami zachodziła zawsze i zaszła ostatecznie różnica że one nosiły jedwabne kapki izłote obroże, ja zaś suknie jedwabne i złote bransolety, że one nakoniec pozostały w raju, mnie zaś wyгнаł zeń mściwy Anioł macierzyńskiej dumy...

Przy ostatnich wyrazach, kobieta w fijołkowym kostiumie zaśmiała się krótkim, suchym śmiechem, którego dźwięk sprzecząc się z całą świeżą powierzchownością, zgadzał się ze zwiędnięciem czoła i tak jak ono obudzać mógł ku niej nieufność lub litość. Marta doświadczyć musiała ostatniego tego uczucia.

— Biedna Karolino! rzekła, ileś ty przecierpieć musiała, wyszedłszy w świat tak sama jedna, bez żadnych środków do życia...

— Dodaj do tego, moja droga, zawołała Karolina patrząc ciągle w sufit, dodaj do tego, że wyszłam w świat z nieszczęśliwą miłością w sercu...

— Tak, dodała, prostując się i zwracając wzrok na towarzyszkę, wiedz bowiem że kochałam naprawdę, kochałam okropnie syna p. Herminji, tego pana Edwarda, który (pamiętasz go zapewne,) śpiewał tak czule: „O, Aniele co z tej ziemi! i miał także szafirowe oczy, któremi zdawał się patrzeć w samą głąb duszy... tak, kochałam go bardzo... byłam tak niedorzeczną, że kochałam... Mówiła to wszystko tonem żartobliwym, przy ostatnich wyrazach wybuchnęła głośną, długą, dźwięczną gamma śmiechu. Tak, wołała śmiejąc się byłam tak niedorzeczną... kochała m, o! jakże byłam niedorzeczną!...

— A on? ze smutkiem zapytała Marta, czy kochał cię także prawdziwie? Co uczynił wtedy gdy ci Matka jego z domu swego wyjść rozkazała na biedę, samotność i tułaczkę?...

— On! z przesadnym pathos wymówiła Karolina,

on patrzył na mnie przez rok cały swemi prześlicznemi szafirowemi oczami, tak jakby w głębię duszy mej przedrzeć się i zawojować ją wzrokiem swoim pragnął; śpiewał na fortepianie pieśni, od których tajało mi serce, ścisnął mi rękę w tańcu, potem całował obie moje ręce i przysięgał na niebo i ziemię, że kochać mię będzie do grobu, potem pisywał do mnie z pokoju do pokoju listy strzeliste, i płomie-niste, potem... gdy matka jego jeden z listów tych wypadkiem przeczytawszy, rozkazała mi iść gdzie mię oczy me poniosą, pojechał na karnawał do Warszawy; spotkawszy mię na ulicy, a byłam wtedy głodna, zrozpaczona, w łachmanach prawie ubrana, zarumienił się jak piwonija, spuścił oczy, minął niby nie poznając, i w kilka dni potem w kościele PP. Wizytek, ślubował przed Ołtarzem piękną i bogatą dziedziczkę wiarę i miłość dozgonną... tak on mię kochał i to dla mnie uczynił... I znowu zaśmiała się, ale tym razem krótko i sucho.

— Nikczemny! z cicha wymówiła Marta.

Karolina wzruszyła ramionami. Przesadzasz moja droga, wymówiła z zupełną obojętnością. Nikczemny! dla czego? czy dla tego, że korzystał z prawa o którym wiedział, że przysługuje i przysługiwać będzie na świecie jemu i wszystkim towarzyszom jego? Czy dla tego nikczemny, że za przedmiot zabawy wziął sobie młodą i ubogą dziewczynę, tak głupią, iż uwierzyła że jest dla niego przedmiotem miłości? Bynajmniej moja droga. Pan Edward nie był zapewne świętym ani szczególnym

jakimś bohaterem, ale nie był też, jak mówiłaś, nikczemnym. Miał on swoje wielkie zalety, upewniam cię, a tylko czynił to co czynić świat pozwalał mu w zupełności, korzystał z udzielonego mu prawa, był takim jakimi są wszyscy młodzi, ba! często i niemłodzi mężczyźni.

Mówiła to z najzupełniejszą powagą, bez najlżejszego żartu lub szyderstwa, głosem zupełnego przekonania; skrzyżowała potem ręce na piersi, i niepuszczając wzroku z sufitu, zanuciła z cicha piosnkę z „Dziesięciu cór na wydaniu.” Marta wlepiła w nią zdumione oczy.

Po chwili kobieta w atłasach przestała nucić, wpołużając postawę zmieniła na siedzącą, i opierając łokieć na kolanie a twarz na dłoni, pochyliła się nieco ku swej towarzysze.

— Bo nakoniec, zaczęła mówić tym samym co pierwiej rozważnym tonem, w sądach o ludziach trzeba przecież mieć wzgląd na ich przyzwyczajenia, i na ten punkt, z którego zapatrują się oni na życie i jego sprawy. Jeżeliby, na przykład, kolory biały i czarny posiadały władzę myślenia i czucia, to pierwszy, przyzwyczajaiwszy się do wyższości jaką mu nieustannie nad drugim przyznają ludzie, mógłby wybornie wyobrazić sobie, że kolor czarny na to tylko stworzonym został, aby sprawiać wszelkiego rodzaju przyjemności, rozrywki i zabawy białemu. Najważniejszą rzeczą w stosunkach ludzkich, moja droga, są różnice jakie pomiędzy nimi zachodzą, pomiędzy zaś panem Edwardem a mną zachodziły różnice olbrzymie...

— Zapewne, przerwała z żywością Marta, on był człowiekiem bogatym, a ty ubogą dziewczyną, ale czyż bogactwo upoważnia do pomiatania tymi, którzy go nie posiadają?

— Po części, odpowiedziała Karolina, nie o bogactwie jednak i ubóstwie myślałam, mówiąc o różnicach, boć przecie gdybym była nie ubogą kobietą, ale ubogim mężczyzną, pan Edward, który, powtarzam, posiada wiele dobrych zalet charakteru nie pomyślałby nawet o skrzywdzeniu mię lub obrażeniu. Mężczyzna bogaty i zarazem honorowy, nie krzywdzi i nie obraża mężczyzny ubogiego, jeżeli kiedy tak uczyni, rzuca to płamę na jego charakter, poddaje go chłości naganą publicznej. Ale ja nie byłam mężczyzną, byłam kobietą; obrażenie zaś, skrzywdzenie kobiety w ten sposób jak to miało miejsce pomiędzy mną i panem Edwardem, to rzecz wcale inna jak obrażenie i skrzywdzenie mężczyzny.

Ça ne tire pas à consequence! Owszem, przynosi to chlubę, nazywa się powodzeniem, dzielnością mężką, czyni młodego człowieka interessującym, rzuca nań pewien urok sławy. „Dzielny chłopak z tego Edzia!“ „Co za djabelski zjadacz serc“ „Urodził się w czepku“ „Ma szczęście do kobiet“ „Jemu, zbałamucić dziewczynę, to jak orzech zgryść“ itd. itd. Każdy człowiek, moja droga, nadzwyczaj lubi być chwalonym a nagany lęka się jak ognia. Mnóstwo lu-

dzi nie czyni złego przez obawę nagany, a czyni dobrze przez pragnienie pochwały.

Pan Edward miał do mnie sympatją, nie dziwnego, miałam lat 18 i byłam piękną... pofolgował sobie tej sympatji, w sposób, który zapewne był dla niego przyjemnym, nie dziwnego także; wiedział dobrze i od dzieciństwa, że takie folgowanie jest jego niecodebralnem prawem, z którego gdy nie skorzysta nazywać się będzie w świecie: mazgajem i niedolęgą! gdy zaś skorzysta, pasowanym zostanie na dzielnego chwata i zajmującego młodzieńca. Uczynił to co uczyniłby na miejscu jego każdy, to też nie mam do niego pretensyi żadnej, i owszem jestem mu wdzięczną... popchnął mię w świat, nauczył mnie życia i wielkich prawd jego...

Wyciągnęła rękę, wzięła ze stojącego na stole kryształowego spodka różaną konserwę, i chrupiąc ją w białych zębach, przydeptała znowu silnie drobną stopą włóczkowego wyżełka. Bieguny poruszyły się zwawiej i zakołysały leżącą na długim fotelu kobietę. Źrenice jej powolnym ruchem błędzące po otaczających przedmiotach, podobne były w tej chwili do wielkiego brylantu połyskującego na palcu pod blaskiem ognia; jaskrawe barwy tęczowe migotały w nich jak w wypoliturowanych mrozem kryształach lodu.

Ale oczy Marty wpatrzone w twarz dawnej towarzyszki dzieciństwa i młodości, wyrażały głęboki namysł połączony z palącym niepokojem.

— Pchnął cię w świat, mówisz, wyrzekła po chwili zwolna i niższym głosem, cóż to za dobrodziejstwo. Świat ten dla biednej kobiety taki straszny, duszący... Nauczył cię prawd życia? czy tych które ukazują istotę ludzką przecież, bezdenne różnice leżące pomiędzy ludźmi i ludźmi? Okropne to prawdy! Nie stworzył ich Bóg ale wytworzyli ludzie...

— A nam co do tego? zawołała Karolina z krótkim swym suchym śmiechem. Czy Bóg je stworzył czy ludzi wytworzyli, dość że istnieją one, te prawdy mówiące mężczyźnie: będziesz uczył się, pracował, zdobywał i używał! kobiecie: będziesz cackiem i za igraszkę mężczyźnie służyć! Boskie czy ludzkie, prawdy te znać nam trzeba, aby nie zjadać sobie serc w nadaremnych zgryzotach, nie trawić młodości w próżnym chwytaniu nie dających się pochwycić promieni słonecznych; aby dać za wygraną temu co nie dla nas istnieje na świecie i w gonitwie za cnotą, miłością, szacunkiem ludzkim lub tym podobnymi bardzo pięknymi rzeczami—nie umrzeć z głodu....

— Tak, ledwie dosłyszalnym głosem wymówiła Marta, nie umrzeć z głodu.... oto najwyższe dobro o jakim marzyć, jakie osiągnąć wolno ubogiej kobiecie!

— Doprawdy? przeciągłym tonem zapytała Karolina i palcem na którym właśnie błyszczał brylant wskazując otaczające przedmioty, dodała.

— A jednak... zobacz obejrzyj się...

Marta nie obejrzała się, tylko otworzyła usta jakby zadać chciała towarzyszące pytanie jakieś, które jednak powściągnęła szybko. Obie kobiety milczały dość długo. Karolina kołysała się wciąż zwolna, chrupała cukierek po cukierku, nie odrywała wzroku od twarzy Marty, która pogrążona w zamyśleniu siedziała ze skronią opartą na rękę i ze spuszczonej powiekami.

— Czy wiesz, Marto, przerwała milczenie kobieta w atlasach, że jesteś prawdziwie piękną. Co za pyszny wzrost! musisz być przynajmniej o pół głowy wyższą odemnie, bieda nie zespeciała cię dotąd wcale chociaż różowy odbłysek żaru, który w tej chwili pada na twarz twoją i naśladuje delikatny rumieniec podnosi bardzo piękność twą i prześlicznie wygląda przy tych kruczonych olbrzymich włosach! Cóżby to było gdybyś jeszcze zamiast tej brzydkiej wełnianej zrudziałej sukni włożyła ubranie żywej barwy i wykwiutnego kroju, zamiast tego płóciennego gładkiego kołnierza otoczała szyję swą przezroczystą koronką, żebyś warkocze twe podniosła wyżej nieco i ubrała je pąsową różą lub złotymi szpilkami... Byłabyś prześliczną moja droga i trzeba by ci było tylko parę razy ukazać się w łoży pierwszego piętra na reprezentacji modnej jakiej komedji, aby młodzież całej Warszawy zapytała jednogłośnie: Kto ona? gdzie mieszka? czy pozwoli abyśmy hołdy nasze u jej nóg...

— Karolino! Karolino! przerwała Marta prostując się i wzrokiem pełnym zdumienia patrząc na towarzyszkę, po co ty mówisz to wszystko? Jakiż związek słowa twoje mieć mogą z położeniem w jakim zostają z boleścią wdowy, z trwogą matki? po co mi piękność? po co mi stroje bogate?

— Po co? po co? o! o! o!

Wykrzykniki te padały w przestrzeń wraz z urywkowemi spadami krótkiej, suchej gammy śmiechu i wraz z nią umilkły.

Obie kobiety milczały znowu dłużej jak wprzód.

— Marto! ile ty masz lat?

— Dwudziesty piąty zaczęłam niedawno.

-- A ja dwudziesty czwarty. O rok więc młodszą jestem, o ileż mądrsza od ciebie! ileż dalej zaszłam w życiu niż ty biedna ofiara marzeń i złudzeń!

Znowu milczały chwilę. Marta z wyrazem stanowczości na twarzy podniosła głowę.

— Tak, Karolino, widzę sama, że mądrszą być musisz odemnie, że dalej w życiu zaszłaś. Posiadasz dostatek, jesteś zapewne spokojna o swe jutro, gdybyś jak ja miała drobne dziecię nie potrzebowałabyś oddawać je na poniewiernikę ludzką, ani patrzeć jak ci w oczach słabnie, błednie, nikiem.. .

Znam cię tak dawno jak dawno sięgnąć mogę pamięcią, byliśmy razem dzieci i młodemi dziewczętami, lubiłyśmy się wzajemnie... a jednak jam dotąd nie śmiała zapytać cię skąd się wziął u ciebie ten

dostatek, którym cię, widzę otoczoną, jakim sposobem zdołałaś wybrnąć z ubóstwa, z nędzy, o której napomykałaś mi w swej rozmowie... Nie śmiałam zapytać cię o to, bo widziałam żeś unikała pytań moich, ale wybacz mi Karolino, źle to z twojej strony... dawnej towarzyszce zabaw twych dziecinnych, niezbyt dawnej jeszcze powiernicy rojeń twych młodych, powiedzieć powinnaś jak zwalczyłaś fatalizm ten, który czepia się kroków i przygniata głowy kobiet ubogich... rzuci to może i na moją drogę światło jakie...

— O, rzuci, rzuci to niezawodnie na drogę twoją światło bardzo jasne, bardzo oświecające! wymówiła kobieta z rozpuszczonym płowym włosem. Oczy jej wyglądały znowu jak dwa odłamy zimnego kryształu w których przeglądają się barwy tęczowe, na drobnych ustach drżał migotliwy uśmiech, ale głos posiadał brzmienia pewne i spokojne. Marta mówiła dalej.

— Kiedym po raz pierwszy sama jedna w świat weszła, aby walczyć o życie swoje i dziecka, powiedziano mi, że kobieta wtedy tylko z walki takiej wyjść może zwycięzko, jeżeli posiada wyborną jakąś umiejętność, prawdziwy i wydoskonalony talent... czyś ty posiadała umiejętność jaką Karolino?

— Nie, Marto, nie posiadałam żadnej. Umiałam tylko tańczyć, gości bawić i ubierać się ładnie.

— O talencie nie słyszałam nigdy abys go miała...

— Nie miałam żadnego wcale talentu.

— Możeś miała bogatych krewnych, którzy ci majątek dali?

— Bogatych krewnych miałam, ale nie dali mi oni nic.

— A więc... zaczęła Marta.

— A więc, przerwała kobieta w atlasach i nagle podniosła się z ruchomego swego siedzenia. Włóczykowy piesek zakolysał się za nią gwałtownie, bieguny kolebki ze stukiem uderzyły o posadzkę. Ona sama stanęła wyprostowana przed kozetką, na której siedziała Marta.

— Byłam piękną, wymówiła, i... i zrozumiałam jakie jest jedyne możliwe dla mnie miejsce na ziemi.

— Ach! zeicha zawołała Marta i uczyniła poruszenie takie jakby porwać się chciała z siedzenia. Ale stojąca przed nią kobieta trzymała ją przykutą do miejsca siłą swego wzroku. Stała z nieruchomą postacią i twarzą, płowe włosy jej i gibka, cienka kibić, nurzały się w różowej łunie żaru. Podniosła brwi lekko i w twarz Marty patrzyła głęboko i upornie oczami, w których teraz palił się ciemny blask posepnego zapalu.

— Cóż? zaczęła po chwili, przelekłaś się naiwna istoto, chcesz uciekać? dobrze, idź sobie! masz wszelkie prawo podjąć z ziemi garść błota i w twarz mi ją cisnąć. Któż ci prawa tego odmówić dziś może? dziś posiadasz je jeszcze...

Marta oczy dłonią przysłoniła.

— Zastaniasz oczy; nie chcesz patrzeć na mnie. Zapytujesz swej myśli czyliż to ja doprawdy jestem tą niewinną, naiwną, idealną Karolcią, która biegała z tobą po kwiecistej łące twego ojca, i fruwała w zawrotnym walcu po lśniących posadzkach domu p. Herminji; która lubiła namiętnie białe róże i konwaljowe wonie, a w powodzi księżycowych promieni, widziała pływające szafirowe oczy pana Edwarda?... O, ja to jestem, ja sama... ale jeśli cię widok mój zbyt razi, możesz nie patrzeć na mnie... posłuchaj tylko... Postąpiła parę kroków i usiadła na kozetce obok Marty.

— Posłuchaj, powtórzyła. Czyś ty zapytywała siebie kiedy i czyś zdała kiedy przed sobą dokładną sprawę o tem czem jest na świecie kobieta? Pewno nie. Otóż ja ci powiem: Nie wiem już jak tam jest według praw boskich, o których mówiłaś przed chwilą... ale wedle praw i obyczajów ludzkich, kobieta nie jest człowiekiem, kobieta to rzecz. Nie odwracaj odemnie głowy. Mówię prawdę, względną może ale prawdę. Czy chcesz widzieć ludzi? patrz na mężczyzn. Każdy z nich żyje na świecie sam przez się, nie potrzebuje aby dopisywano doń jakąś cyfrę dla tego aby przestał być zerem. Kobieta jest zerem jeśli mężczyzna nie stanie obok niej jako cyfra dopełniająca. Kobięcie dają błyszczącą oprawę, aby jak w sklepie jubilera kunsztownie wypolerowany dyament, ściągala na siebie oczy jak największej

liczby nabywców. Jeżeli nie znajdzie dla siebie nabywcy albo znalazłszy utraci go, pokrywa się rdzą wiecznej boleści, płamami bezzaradnej nędzy, staje się napowrót zerem, ale zerem chudem z głodu, trzęsącym się z zimna, rozszarpującym się na szmaty w nadaremnych próbach ruszania się i dźwigania. Przypomnij sobie wszystkie stare panny, opuszczone lub owdowiałe kobiety jakie znałaś w swem życiu, spójrz na koleżanki swe z zakładu Szwejcowej, spójrz na samą siebie. . . Co znaczą wszystkie na świecie? jakie są wasze nadzieje? gdzie możność abyście wygrzęzły z trzęsawisk i poszły tam dokąd dążą ludzie? Jesteście roślinami, których łodygi wyhodowane w cieplarniach, nie mają siły opierać się wiatrom i burzom i tak być musi przecież, skoro wieszczę i mędrzy świata nazwali kobietę: „najpiękniejszym z kwiatów przyrodzenia.” Kobieta to kwiat: kobieta to zero, kobieta to przedmiot nie obdarzony siłą samodzielnego ruchu. Nie ma dla niej ani szczęścia, ani chleba bez mężczyzny. Kobieta musi koniecznie uczepić się, w jakikolwiek sposób uczepić się mężczyzny jeśli chce żyć. Inaczej idzie do szwalni Szwejcowej i umiera zwolna. A cóż uczyni wtedy jeśli ogarnie ją namiętne pragnienie życia? Zgadnij! zgadujesz! dobrze! zasłoń że sobie oczy drugą dłonią, abyś już ani rąbka sukni mojej widzieć nie mogła, ale słuchaj mię dalej...

Byłam młodą, piękną, przyzwyczajoną do zbytku i próżnowania; gdy wygnano mię z domu bo-

gatyh krewnych, za całą własność posiadałam parę sukien, złotą bransoletę po matce i ten pierścionek z niebieską emalją, któryś ty mi dała Marto, w dzień twego ślubu. Sprzedałam bransoletę i pierścionek. Myślałam, że wystarczy mi to dopóki nie znajdę zarobku. Wyobraziłam sobie że jestem człowiekiem i przez tę głupią omyłkę cierpiałam kilka miesięcy męki piekielne. Cierpiałabym je może dłużej jeszcze, gdybym na szczęście nie spotkała na chodniku Nowego Świata pana Edwarda. Kochałam go jeszcze. Kiedy minął mię bez powitania, przekonałam się ostatecznie że jestem rzeczą, którą wolno jest brać i rzucać dowolnie. Czyż ktokolwiek postąpiłby człowiekiem-jak postąpił ze mną ten, o którym marzyłam w dniach spokoju, którego rysy przywoływałam przed pamięć moją w godzinach głodu i męczarni? Od chwili w której utraciłam wiarę w człowieczeństwo moje skończyły się me cierpienia. Słyszałaś może o młodym panu Witalisie, który ma starą żonę, wielkie dobra pod Warszawą i piękny dom w Warszawie. Zachodził on często do sk'lepiku przy ulicy Ptasiej, w którym wyręczałam właścicielkę w sprzedawaniu świec i mydła, otrzymując w zamian od niej siennik zasłany w kącie izby dziecinnej w nocy, misę krupniku i szklanę mleka w dzień. Po prawdzie praca moja warta była daleko większego wynagrodzenia, ale poczciwa kobiecina wyzyskiwała robotnicę, którą podjęła z bruku, znużoną, głodną i w łachmanach. W dwa dni po owem spotkaniu pana Edwarda, po

dwóch nocach, o których nie potrafiłabym już dziś i opowiedzieć, przestałam sprzedawać, świece i mydło... panu Witalisowi powiedziałam: dobrze! opuściłam sklepik i izbę, w której wrzeszczało i biło się pięcioro brudnych dzieciaków; zamieszkałam tutaj....

Marta siedziała jak skamieniała. Z pod dłoni, którą przykrywała sobie oczy widać było twarz jej marmurowo bladą i nieruchomą. Ledwie dostrzegalne drgnienie przebiegło ją od stóp do głowy, kiedy prawie przy uchu jej zadźwięczał suchy, krótki śmiech, podobny teraz do grzechotki nocnego stróża.

— Nie wiem już jak się to stało, ale uważam że wpadłam w deklamację! wołała śmiejąc się kobieta z rozpuszczonymi płowemi włosami. To twoja żałobna suknia, Marto, zaciemniła mi salon. Nie lubię ciemności, kocham się w blaskach, lubię śmiać się na komedji, a w domu jeść cukierki... wierz mi... tak lepiej... Wzięła rękę wdowy zwisającą wśród fałd czarnej sukni i przysunęła się do niej bliżej.

— Słuchaj Marto, zaczęła przechylając się do ucha prawie towarzyszki, kochałam cię kiedyś, dziś żal mi cię wielki... Pierścionek, który mi dałaś, żywił mię przez kilka tygodni, teraz ja cię wesprę radą i pomocą... Dotąd wypowiadałam ci samą teorię tylko, teraz przechodzę na pole praktyki...

Obok mieszkania mego są do wynajęcia trzy pokoje, takie prawie jak te... chcesz? jutro będziemy sąsiadkami.

Przyprowadzisz tu twoje dziecko, będzie mu ciepło

i wygodnie... pojutrze zdejmiesz tę żałobną brzydką suknię...

Marta odjęła dłoń do oczów i podniosła głowę.

— Karolino! rzekła powstając, dosyć już, nie mów ani słowa więcej...

— Cóż? zawołała kobieta w atlasach, czy nie?

Kobieta w żałobie nie odpowiadała chwilę. Twarz jej mieniła się śmiertelną boleścią i krwawym rumieńcem, głos drżał i wyrwał się w piersi gdy mówić zaczęła.

— Niedawno jeszcze, niedawno, gdyby ktokolwiek ośmielił się mówić do mnie tak jak ty mówiłaś Karolino, uczułabym śmiertelną obrazę... może gniew szalony... teraz nie czuję nic prócz wielkiej boleści większego jeszcze wstydu. Muszę być doprawdy czemś mniej niż człowiekiem, skoro nie zawiniwszy nic, nie uczyniwszy cienia złego, nie szukając po świecie niczego, niczego prócz uczciwej pracy, spotkałam to co... spotkałam... Och, jakże nisko, nisko upadłam!.. i za cóż? i za jakąż winę?

Stała chwilę nieruchoma, z oczami posepnie wlepionymi w ziemię. Po chwili łagodniej trochę rzekła.

— Nie pogardzam tobą, Karolino, nie cisnę na ciebie, jak mówiłaś, garścią błota. Boże mój! wszakże ja wiem czem jest życie kobiety ubogiej... kosztuję go od kilku miesięcy... dziś połknęłam kroplę jego najbardziej gorzką. Nie pogardzam więc tobą ale pójść w twoje ślady nie mogę... nie, nigdy... nigdy...

Umilkła znowu i tym razem jasnym wzrokiem patrzyła w jeden punkt przestrzeni. Tam oczami wyobraźni ujrzała jeden z obrazów swej przeszłości.

Nie był to przecież żaden z obrazów minionego wesela i szczęścia, odzwierciadlał owszem w sobie chwilę bóleści bez granic. Marta ujrzała na łożu choroby spoczywającego jedynego człowieka, którego kochała na ziemi.

Twarz jego sztywniała pod dłonią śmierci, oddech ustawał w schorzałej piersi, ale oczy jego spoczywały na jej twarzy rozpromienione ostatnim blaskiem życia, ręka poruszana spazmem konania w drętwiejących palcach ścisła jej rękę. „Biedna Marto moja, jak ty żyć będziesz bezemnie!“ Ze słowami temi na zsiniałych ustach opuścił ją na wieki.

— O! jakże kochałam go! jak kocham go jeszcze! szepnęła wdowa, zarazem ręce jej załamane opadły na czarną suknię, a pierś podniosła się ogromnem westchnieniem.— Nie, Karolino! przez Boga, nie! zawołała podnosząc wysoko twarz oblaną promienną bladością; byłam szczęśliwszą od ciebie. Człowiek którego ukochałam nie uczynił ze mnie rzeczy. Poślubił mię, kochał, szanował. Konając, myślał jeszcze o mnie i o mej przyszłości. Kocham go jeszcze choć go nie ma już na ziemi, szanuje imię jego które noszę. Miłość dla niego i pamięć o nim wznoszą się we mnie jak ołtarze; przed niemi pali się lampa napełniona łzami mego serca i oświeca smutną, moją drogę...

—Którą postępując dostaniesz się wkrótce na Elizejskie pola, kędy biali aniołowie połączą cię z nieboszczykiem twoim mężem! zabrzmiał przenikający i z gamma ostrego śmiechu spleciony głos Karoliny.

Marta stała już o kilka kroków od niej i zarzucała na głowę swoją czarną wełnianą chustkę.

—Bądź zdrowa, biedna Karolino, bądź zdrowa! zawołała stłumionym głosem i wybiegła do sąsiedniego pokoju, gdzie nad okrągłym machoniowym stołem paliła się już różowa lampa. Była blisko drzwi gdy uczuła się przytrzymaną za ramię. Obok niej stała Karolina z wargami drżącymi od śmiechu, ze zwyciędłem swem czołem falującym drobnymi zmarszczkami, i z ciemnym połyskiem w źrenicach.

—Słuchaj! rzekła, śmiać mi się chce doprawdy z ciebie! jesteś egzaltowana: przedziwnie naiwna, jesteś, moja droga, wielkiem jeszcze dzieckiem. A jednak żal mi cię! nie wiem nawet dla czego? bo i cóż mię nakoniec obchodzić może co się tam z tobą stanie? Dla mnie i lepiej iż nie będziesz moją sąsiadką, jesteś zbyt piękną... Ale... ale pierścionek twój żywił me przez parę tygodni... nie jest przecie koniecznym obowiązkiem powołania mego bytu abym była niewdzięczną. Jedną ręką silnie przytrzymywała ramię młodej kobiety, drugą wyciągnęła ku oknu.

—Pomyśl mówiła, tam tak zimno, ludno i zarazem pusto. Tłumy cię z adopcją, pustka cię pochłonie... Wróc się...

— Puść mię, szepnęła gwałtownie Marta, nie złorzeczę ci ale mówić z tobą nie mogę... przyszłam tu po chwilę przyjaźni i spoczynku, znalazłam nową boleść i największy wstyd życia... puść mię!

— Jedno jeszcze słowo posłyszec musisz... młody ten człowiek który szedł dziś ze mną ulicą, kocha się w tobie szalenie... odda wszystko co ma...

— Puść mię! głośno już i z jękiem krzyknęła Marta, i ze spazmatyczną siłą targnęła ramię swe obojęte ręką pochylonej ku niej kobiety. Ręka ta opadła. Marta rzuciła się ku drzwiom.

Przebyła już kilka stopni rzęście oświetlonych wschodów, kiedy usłyszała za sobą szelest atlasu.

— Wróć się! zawołał na nią głos z góry, będziesz żebraczką!

Kobieta w żalobie biegła po wschodach nie odpowiadając.

— Będziesz kradła! powtórzył głos.

Kobieta nie odwróciła głowy i zstąpiła kilka wschodów niżej.

— Umrzesz z głodu razem z twojem dzieckiem.

Na dźwięk ostatniego wyrazu kobieta stanęła, odwróciła twarz śmiertelnie bladą i oczy rozpalone ponurym ogniem wlepiła w postać stojącą u szczytu wschodów. Obfite światło gazowe oblewało postać tę malując srebrem fiolety jej sukni; wielka kamea świeciła u szyi błękitnąwą barwą, złote kolce drżały pomiędzy gęstwiną długich włosów, podnoszących

się lekko od przewiewu wiatru wnikającego otwar-temi na ulicę drzwiami. Stała z pochyloną, naprzód głową i postacią, z wargami drżącemi śmiechem, z zimnemi oczami rzucającemi tęczowe połyski z pod zwiedłego czoła. Marta wlepiła w nią przez chwilę wzrok suchy, rozpalony, przerażony i ponury, potem odwróciła się nagle, poskoczyła naprzód i w mgnieniu oka zniknęła w pół-zmroku ulicy.

Kilka minut zaledwie upłynęło, gdy temi samemi drzwiami, za któremi zniknęła Marta, wbiegł wesół Oleś, kilku skokami przebył wschody i wpadł do mieszkania Karoliny.

— I cóż? zapytał z kapeluszem w rękę stając na progu salonika. Poszła? Zdaje mi się że poznałem ją idącą, przeciwległym chodnikiem. Kiedyż wróci?

Zadawał te pytania tonem krótkim, pośpiesznie; w czarnych błyszczących oczach jego malowała się niecierpliwość człowieka bez woli i rozwagi, poddającego się doznanemu wrażeniu.

— Nie wróci wcale, odpowiedziała kobieta siedząca przed kominkiem, na tem samym miejscu, na którym przed kilku minutami siedziała Marta. Ramiona jej skrzyżowane były na piersi, oczy utkwione w żarzące się węgle. Nie zwróciła wzroku na wchodzącego młodego mężczyznę i naniecierpliwe pytania jego odpowiedziała tonem krótkim, więcej niż obojętnym bo niechętnym.

— Nie wróci? zawołał Oleś rzucając kapelusz swój na sprzęt najbliższy, i postępując w głąb pokoju, jak to nie wróci? czyliż nie jesteście panie przyjaciółkami do dzieciństwa?

Kobieta milczała. Młody mężczyzna niecierpliwił się coraz bardziej.

— Cóż powiedziała? zapytał nagle.

— Powiedziała, odparła z wolna kobieta nie zmieniając postawy ani kierunku wzroku, powiedziała, że dotąd jeszcze kocha swego męża...

Oleś szeroko roztworzył oczy.

— Męża? wymówił jakby nie dowierzając uszom własnym, nieboszczyka męża?

Parsknął śmiechem, podniósł twarz ku sufitowi i śmiał się głośno i długo! Męża! powtórzył, i czegoż ona chce jeszcze od tego biedaka, wszakże on już nie żyje! o! wierne serce... niepokieszona wdowa jakże to czule! Śmiał się wciąż ale w śmiechu jego zadźwięczały przy końcu fałszywe nuty. Drgnęło w nich coś naksztalt żalu i przykrego rozdrażnienia...

— Dalibóg! zaczął, znowu szerokimi krokami przebiegając salonik, kobieta to niepospolita! kochać nieboszczyka męża w kilka miesięcy jeszcze po jego śmierci? Jakże to wzniosłe! cóżby to było dopiero gdyby pokochała teraz kogoś żyjącego! O! gdybym mógł być tym szczęśliwcem!

— Bardzo być może, iż mógłbyś pan być tym

szczęśliwcem, odezwała się kobieta, siedząc przed kominkiem. Nie odwróciła jednak głowy i nie uczyniła poruszenia żadnego. On przyskoczył ku niej. Żywe rumieńce pokrywały jego policzki.

— Mógłbym być! zawolał, a więc nie wydarła mi wszelkiej nadziei! O! piękna, śliczna, złota, brylantowa pani Karolciu, zlituj się nademną! jestem na prawdę, szalenie rozkochanym! mógłbym być tym szczęśliwcem, jeżelibym... powiedz pani, błagam, zaklinam, jeżelibym co?!

Kobieta poraz pierwszy podniosła na niego oczy. Na dnie źrenic jej, w podniesionych nieco brwiach, w ruchomych kątach warg delikatnych, leżał nieopisany wyraz szyderstwa.

— Jeżelibyś pan, wyrzekła powoli, jeżelibyś starał się o jej rękę i chciał z nią ożenić się.

Słowa te wywarły na Olesiu wpływ ogłuszający i odurzający. Przez chwilę stał nieruchomy, błądzący, z otwartymi nieco ustami i z oczami wlepionymi w twarz upornie patrzącej na niego kobiety.

— Ożenić się!- powtórzył głosem zdławionym. Wargi jego zadrżały jakby się wnet miał rozśmiać, nie rozśmiał się jednak tylko machnął ręką, wzruszył ramionami i nawpół gniewnie, nawpół obojętne rzekłszy: żartujesz, pani! odszedł od kominka. Kobieta wiodła za nim przez chwilę wzrokiem zimnym i urągliwym. Po twarzy jej przebiegło w jed-

nej minucie, tysiąc figlarnych, szyderskich, wzgardliwych uśmieszków. Wesóły Oleś stanął znowu przed nią. Jesteś okrutną, pani Karolino! zawołał, mówisz mi o ożenieniu! jest że co niedorzeczniejszego? wiązać się na całe życie z osobą, którą znam zaledwie, z wdową która kocha jeszcze swego nieboszyka męża? stać się od razu ojcem jakiegoś dzieciaka, świat sobie zawiązać, wziąć na plecy tyle odpowiedzialności, tyle kłopotów? i to w moim wieku? z moją szczęśliwą, na świecie pozycją? jest to pomysł godny doprawdy poczciwego mieszczanina, stęsknionego do smacznej domowej kuchni i tuzina pyzatyh dzieciaków. Sądzę, że pani nie powiedziałaś tego na serjo; wiem że żartować lubisz! jest to jeden z głównych twoich wdzięków.

Karolina wzruszyła ramionami.

— Naturalnie że żartowałam, rzekła krótko i znowu patrzyła w rozżarzone węgle.

Wesóły Oleś coraz bardziej był wzburzonym.

— W jakimże humorze jesteś dziś pani, sarknął, czy nie dowiem się niczego już więcej?

— Nudzisz mię pan śmiertelnie, odrzekła kobieta.

— Gdzie ona mieszka? nalegał, młody człowiek.

— Nie wiem, zapomniałam ją spytać o to.

— A to wyborne! cóż ja teraz zrobię? przyjdzie mi ją szukać, ale miasto jak las, nim ją znajdę znowu o niej zapomnę...

Wymówił to z nadzwyczajnem wzburzeniem z gniewem prawie i żalem w głosie. Obawiał się, aby niestałość pamięci i codzienna wielka liczba wrażeń nie odebrały mu tego co go w tej chwili zajmowało namiętnie. Nagle strzepnął palcami, wydał okrzyk radości i poskoczył znowu w stronę kominka.

— Eureka! zawołał, wszakże jest szwaczka? gdzie czy w jakim zakładzie? Piękna, śliczna, złota pani Karolciu, powiedz...

Kobieta wstała i szeroko ziewnęła.

— A tam... przy Freta ulicy, w szwalni Szwejcowej, rzekła z wyrazem najwyższego znudzenia, idźże już pan sobie teraz, muszę ubierać się do teatru... Oleś zdawał się być uszczęśliwionym.

— U Szwejcowej! wiem! wiem! bywam u niej! Jedna córka ta co kraje—straszydło, ale druga mężatka młodzusia za mężem piwowarem i wnuczka po synie, panna Eleonora, wcale niczego... Tam to więc przebywa moja bogini! O, jutro... jutro.. biegnę, pędzę, lecę.

Pochwycił kapelusz i stał już na progu.

— Do widzenia! zawołał,

Z za proga wrócił jeszcze.

— Pani Karolcia idzie dziś do teatru. A co dają? Kobieta stała przy drzwiach swej sypialni ze świecą, zapaloną w rękę.

— Flik i Flok, rzekła.

— Flik i Flok! zawołał człowiek wiekuistego.

śmiechu, muszę być i zobaczyć Laurę w tańcu Egipskim! Ale czy to nie późno! mam jeszcze zajść do Bolka! Do widzenia! do widzenia! biegnę! pędzę, lecę!

- Wszystkie wielkie miasta w ogólności posiadają, Warszawa zaś w szczególności posiada w swem łonie pewną liczbę mężczyzn różnego wieku, cieszących się doskonale ustaloną i szeroko głośnie reputacją, zjadaczy serc kobiecych i niszczyieli czci niewieściej. Ludzie ci, odkąd tylko matka natura zwierchnię ich wargę osypie pierwszym puszkim wąsika, aż do chwili, a czasem i po za chwilę, w której taż matka powszechna ustroi im głowy w białawy szronik siwizny, czynią sobie niejako fach i codzienną praktykę życia z admirowania wdzięków niewieścich platonicznego gdzie inaczej nie można, nieplatonicznego wszędzie gdzie tylko można. Bywają to ludzie bardzo przyjemni, ożywieni, dowcipni, weseli, usłużni w towarzystwach poszukiwani, w koleżeńskich kółkach wielbieni. Miewają oni też często nie tylko czułe ale i dobre serca, z rozwagą, z zażnaniem i umyślnie za nic nie chcieliby szkodzić nikomu, a jeśli obok tego częste wyrządzają szkody, umysł wyrozumiały i dokładnie ich rozumiejący, nie może bez niesprawiedliwości zastosować do nich innych wyrazów jak Ewangeliczne: Panie, odpuść im bo nie wiedzą co czynią! Ze względu zresztą na pospolitość zjawiska jakie przedstawiają, na wszyst-

ko co zwykle spełniają i to do czego w życiu i znaczeniu społecznem dochodzą, są to w ogóle figurki w społeczności i dla społeczności bardzo mało znaczące, drobne pionki na wielkiej szachownicy ludzkości, mikroskopijne owadki ślizgające się swobodnie na rozpiętych skrzydelkach, po chropowatości dla innych korze życia. Uwzględniając tedy tę ich maluczkosć, możnaby w rozważaniu zjawisk społecznych całkowicie pominąć tych wesółych biedaków, a nawet z uśmiechem trawestować na ich widok ów sławny wykrzyk poety o puchu marnym, gdyby ten puch marny, te malutkie pionki wiecznie ruchliwe, te niewinne owadki wiecznie radośne, nie były śmiertelnie niebezpiecznymi dla pewnej klasy istot ludzkich. Klasą tą są kobiety ubogie. Nie idzie już tu nawet o serca, bo te tak pod jedwabniami jak pod welnianiami i perkalowemi stanikami, są u tak zwanej płci pięknej drażliwem i zarazem bezbronem miejscem; byle co zranić je może, byle co zawojować. Ztąd bóle i żale, łzy i jęki, targania włosów i zgrzytania zębów tak w salonach jak na poddaszach. Ale przedmiotem, który w salonach niezmiernie rzadko uszkodzanym bywa przez owych przyjemnych swawolników, na poddaszach zaś, w suterrenach, szwalniach i różnych rękodzielniach w zupełnej ich pozostaje mocy i śmiertelnie przez nich szwankuje to — reputacya kobiety. W tym względzie bywają pomiędzy niemi tak potężni mocarze, iż bez długich nieraz starań, bez intencji niekiedy, jednym zbliże-

niem się, kilku krokami uczynionemi obok kobiety, kilku na nią rzuconemi spojrzzeniami, zabijają—dobrą sławę, stwarzają w głowach ludzkich złe podejrzenia. Jest to błogiowoc dobrze ustalonej i szeroko głośniejszej ich chwały. Błogi zaprawdę dla nich, bo dowodzi przed światem prawdziwie męskiej ich energii, olbrzymiej potęgi wpływów na świat wywieranych, ogromnego bogactwa wrażeń doznawanych i sprawianych, czynów dokonywanych; niezbyt błogi może dla tych, na których wypadkiem zatrzyma się oko pana stworzeń...

Pan stworzeń idzie ulicą wielkiego miasta, laseczką giętką jak berłem wywija. Blyszczy na głowie jego kapelusz, blyszczą na rękach rękawiczki z podwójnym szwem, blyszczy u piersi złoty łańcuszek i kołysze się z gracją na ciemnym tle tużurka, sporządzonego dostojnymi rękami arcykrawca Chabou. Co za świetność! nuci półgłosem piosenka z pięknej Heleny, bystreimi oczami rzuca do koła. Brzeg kapelusza często ręką dotyka, wszystkim się kłania, wszyscy mu się kłaniają, wszystkich zna, wszyscy go znają. Co za dostojna w społeczeństwie pozycja! Przerzywa sobie nucenie, szyję wyciąga i nogę w powietrzu zatrzymuje nakształt wyżła, który stropił zwierzynę, wzrok wysiła, uśmiecha się... Tam, na rogu ulicy przemknął ładny buziaczek, białe liczko zaświeciło, czarne oczy zamigotały... Dalej! dalej w pogon! Baczność! zwierzyna już blisko! co prędzej osaczyć ją trzeba, bo gotowa się wymknąć!

Zachodzi z boku, kapelusza uchyla, pełen uszanowania (o ironijo) ukłon składa i głosem który jest wier-
nem echem słyszanego wczoraj na scenie głosu Pary-
sa, zapytuje: czy pozwoli pani towarzyszyć sobie?
Pozwala? idzie z nią. Nie pozwala? idzie także. Nie
jestże panem stworzeń? Po drodze spotyka znajo-
mych (posiada ich tyle ile morze kropel wody), mru-
ga figlarnie i ukazuje oczami na towarzyszkę. Chwi-
lami serce ze zwiększoną mocą uderza mu w piersi.
Są to pierwsze drgnienia budzącej się motylowej
miłości lub może upojenie tryumfu? I jedno i drugie
najczęściej. Pan stworzeń ilekroć ujrzy piękny, a na-
wet choćby ładny egzemplarz twarzy kobiecej, przy-
sięga przed wszystkimi i sam przed sobą najpierw
że jest szalenie, śmiertelnie zakochanym. Czyni to
w zupełnej dobrej wierze. Serce jego to wulkan, któ-
ry kilka razy na dzień wybucha. Obok tego czuje on
dobrze, iż oczy ludzkie ścigają z zajęciem nowy epi-
zod wielkiej epopei jego życia. Oczy te ludzkie tak
przywykły widzieć go niezwyciężonym, że od pierw-
szej zaraz kartki odgadują na ostatniej—zwycięstwo!

Zbliżył się a więc zachwycił. Spojrzał a więc za-
wojował. Ani on ani nikt z tych którzy go znają, nie
przypusza by mogło być inaczej. Sława dzielnego
chłopca wzrasta; reputacya ubogiej kobiety tonie.
W koronie, która wieńczy wesołą jego głowę, wyrasta
nowy liść wawrzynu, na jej smutne czoło występuje
plama... Takim był wesoły Oleś, jeden z wielu... Sa-

mo zbliżenie się jego kompromitowało kobietę, rozmowa z nim była dla niej dekretem niestawy...

Szwejcowa miała trzy córki i kilka młodych wnuczek, a więc znała Olesia. Bywał on w jej domu a nawet sama głosiła, że jedna z panien Szwejcowien, ta która wspólnie z matką zajmowała się krojem, z jego powodu na koszu osiadła. Jakkolwiek bowiem brzydka, ładną mając figurkę i obrotny języczek zwróciła była na siebie kiedyś oko pana stworzeń. Cóż więc dziwnego że w obec takich okoliczności Szwejcowa okulary swe blisko ku oczom przysunęła i twarz do szyby przykleiła, a ujrawszy pewnego poranku jedną ze swych robotnic przebywającą dziewczyniec w towarzystwie niezwykłego Olesia. Dziewczęta w podartych sukniach, z żółtymi twarzami i spłowiałymi kokardami we włosach, zerkwały też przez szyby, oczami i palcami przesęłały sobie wzajem znaki porozumienia i uśmiechały się. Spostrzegła to wszystko i córka Szwejcowej, stojąca przy okrągłym stole. Podniosła się na palce i rzuciła wzrokiem za okno. Z miejsca na którym stała, zobaczyć mogła wąsik i bródkę Olesia... ale były to wąsik i bródka jego... uczuła się ogarniętą wrażeniem i wspomnieniem. Bardziej jeszcze wyprężyła szyję i tym razem ujrzała czarną wełnianą chustkę, pokrywającą wyraźnie głowę kobietą.

— Mamo! z którąż to z robotnic idzie p. Aleksander?

Szwejcowa odjęła twarz od szyby.

— Z panią Świcką, wymówiła zbliżając się do stołu.

Czoło poważnej matrony zaszło gęstymi chmurami, *s i c* zawierające się w nazwisku Marty zasyczały przeciągle, z ust jej wychodząc.

Młodsze robotnice zmieniły ukradkowe spojrzenia. Wyraz twarzy i brzmienie głosu naczelniczki nie wróżyły przyjemnych rzeczy.

Jedna z nich rzekła z cicha.

— Będzie bura!

— Może odprawi ją? zapytała inna ciszej jeszcze?

— Oho! szepnęła trzecia najciszej: ona już teraz może i nie dba o to!

W tej chwili do pracowni weszła Marta. Sam wyraz twarzy jej był dnia tego taki, że mógłby na nią zwrócić spojrzenia wszystkich obecnych osób, gdyby spojrzenia te i tak już nie były przygotowanemi do ciekawego na nią patrzenia. Oczy jej były ciemnymi kręgami otoczone, źrenice zagasłe. Na zapadłych policzkach leżały okrągłe plamy krwistych rumieńców, brwi rozdzielała głęboka bruzda. Wchodząc, podniosła ciężkie, nabrzmiałe powieki i spotkała się z utkwionemi w nią kilkunastu spojrzeniami. Nie okazała przecież zdziwienia, ani żadnego innego uczucia, zdjęła chustkę z głowy i wzięwszy robotę, która przygotowana już leżała na jej stołku, usiadła w milczeniu. Ręce jej drżały jak w febrze, kiedy rozwijała płótno i nawlekała igłę. Pochyliła nisko głowę owiniętą potarganemi nieco dnia tego warko-

czami. i pograżyła się w swej robocie. Drżąca i zaczerwieniona od chłodu jej ręka, podnosiła się i opadała szybko, jakby w takt gorączkowej, zawrotnej myśli. Oddychała szybko i ciężko, kilka razy otworzyła wargi aby zachwycić powietrza, którego za ac wciążyć nie dostawało jej piersi. Przy okrągłym stole dwie pary nożyc dźwięczały ostro i przeciągle.

Szwajcowa rzuciła z pod okularów na świeżo przybyłą robotnicę ukośne wejrzenia. Kąty wydętych warg jej zawisły w sposób objawiający zły humor. Przeszła krajać i z pomarszczonych palców nie wypuszczając nożyczek, wymówiła przeciągłym tonem i przyciszonym głosem:

— Pani Swicka nie była u nas wczoraj.

Marta usłyszawszy nazwisko swe wymówione podniosła głowę.

— Czy pani mówiła co do mnie?

— Pani Swicka nie była u nas wczoraj.

— Tak pani, załatwiałam interesa moje na mieście i przyjść nie mogłam.

— Nieakuratność robotnic w przychodzeniu na robotę szkodzi wielce zakładowi.

Marta pochyliła nisko głowę. Szyła znowu i milczała.

Jedna już tylko para nożyc przy okrągłym stole dzwoniła i skrzypiała ale coraz ostrzej.

Panna która osiadła na koszu z powodu niezwy-

ciężonego Olesia, czuła się znać coraz więcej wzburzoną.

Matka jej stała z twarzą zwróconą ku grupie robotnic, z nieruchomemi nożycami w ciemnoskórej ręce.

— Ja wczoraj widziałam panią Swicką na mieście. Pani Swicka stała wtedy przy wschodach S-to-Krzyskiego kościoła z dwoma osobami.

Marta nie odpowiadała jeszcze. Cóż miała mówić?

Fakt, o którym mówiła Szwejcowa był zupełnie prawdziwym.

— Znam także osoby, z którymi pani Swicka rozmawiała wczoraj na ulicy. Jedna z nich parę lat temu pracowała nawet czas jakiś w naszym zakładzie. Niedługo jednak, niedługo, bo spostrzegalam zaraz że towarzystwo jej może być niebezpiecznym przykładem dla naszych robotnic.

Czy pani Swicka zna dobrze tę kobietę? Towarzystwo jej może być bardzo niebezpiecznem.

— Nie dla mnie pani, po raz pierwszy odezwała się Marta. Nie podniosła głowy z nad roboty ale drżący głos jej dźwięczał głuchym i powściąganym buntem dumy kobiecej, która czuje się deptaną.

— Ach! przeciągle westchnęła Szwejcowa, nie można to tak bardzo ufać sobie. Pycha jest matką wszystkich grzechów. Lepiej unikać, lepiej daleko niebezpiecznych towarzystw unikać..A pan Aleksander

Łącki czy jest także blizkim znajomym pani Swickiej?

Dzwoniąca dotąd wciąż i skrzypiąca para nożyc dzwonić i skrzypieć przestała. Panna z nieładną twarzą, która jednak ściągnęła była kiedyś na siebie spojrzenie pana stworzeń, podniosła głowę.

— Musi być Mamo dobrze i zbliśka znajomym skoro pani Swicka spaceruje z nim codziennie.

Możnaby myśleć, że słowa te były węzłami, które owinęły Martę od stóp do głowy, i zapuściły żądła we wszystkie punkta jej ciała, tak nagle wyprostowała się ona, głowę z nad kawała płótna na kolanach rozpostartego podniosła, i oczy szeroko otwarte w twarzy mówiącej panny utkwiała.

— Co to znaczy? wyrzekła ciężkim zdławionym szeptem. Zarazem powiodła spojrzeniem dokoła. Wszystkie robotnice, te nawet, które zazwyczaj najnieczulej i najnieruchomiej wyglądały, siedziały teraz z podniesionymi głowami i oczami w nią utkwionymi. Na twarzach ich najróżniejsze malowały się uczucia: żal, ciekawość, szyderstwo. Marta pozostała przez chwilę jak skamieniała. Pąsowe plamy leżące na jej policzkach rozszerzały się zwolna, aż zabarwiły purpurą czoło i szyję.

— Nie ma się za co gniewać, moja pani, nie ma się za co gniewać, zaczęła Szwejcowa; jestem od lat dwudziestu kilku naczelniczką zakładu, w którym po dwadzieścia i więcej młodych osób pracowało zawsze, nabyłam więc dużo doświadczenia. Wiem

przytem jakie są obowiązki moje względem dusz, które Opatrzność powierza mej opiece; nie mogę obojętnie patrzeć, jeżeli która z nich dobrowolnie naraża się na niebezpieczeństwa. Do tego jeszcze mam córki, młodziutki wnuczki. Cóż by ludzie i o nich pomyśleć mogli, gdyby zakład nasz przedstawiał, broń Boże, jakiekolwiek przykłady zepsucia. Nakoniec, na dziedziniec wychodzą okna mieszkania pewnej możnej i bogobojnej damy, która jest prawdziwą protektorką i dobrodziejką naszego zakładu. Święta pani! cóżby pomyślała ona gdyby zobaczyła jedną z moich robotnic, przechadzającą się tuż pod jej i memi oknami, z młodym i światowym kawalerem? Może już ż resztą, i zobaczyła! Obawa mię doprawdy przejmuje, na myśl co powiem protektorce naszej gdy mię o to zapyta? Czy że robotnicę odprawiłam? Ależ zgadzać się to może nie będzie z miłosierdziem chrześcijańskim?...

— Powiesz jej pani, że robotnica która miała nieszczęście spotkać na dziedzińcu tym owego młodego i światowego kawalera, odeszła stąd sama i dobrowolnie.

Słowa te rozległy się po wielkiej izbie, wymówione głosem dźwięcznym i przenikającym. Marta powstała z siedzenia i z podniesionem czołem, z drżącą wargą patrzyła prosto w twarz Szwejcowej.

— Jestem kobietą biedną, bardzo biedną, mówi-

ła dalej, ale jestem uczciwą i nie miałaś pani żadnego prawa mówić do mnie w ten sposób. Nie Opatrzność to oddała mnie opiece pani i przyprowadziła tutaj, ale własna moja nieudolność. Przyszłam tu, bo gdzieindziej pracować nie umiałam: pani wiesz o tem bardzo dobrze i potrafiłaś zrobić dla siebie dobry użytek z położenia mego. Praca moja kilka razy więcej warta, niż to co mi pani za nią dajesz. .

Ale nie o tem mówić chciałam. Zawarłam dobrowolną umowę i dopełniłam jej warunków. Nędzę cierpieć muszę, ale znosić obelgi... pomimo wszystkiego... nie mogę... nie, jeszcze nie mogę! Żegnaj panią!

Przy ostatnich wyrazach zarzuciła chustkę na głowę i zwróciła się ku drzwiom. Robotnice ścigały ją spojrzzeniami, młodsze z sympatją i rodzajem tryumfu na twarzach, starsze z politowaniem i większem jeszcze zdumieniem.

Wszystko co działo się z Martą od wczoraj: zawód doświadczony u księgarza; gorzkie uczucie zazdrości które po raz pierwszy owładnęło nią na widok Kaźmirowskiego pałacu i uczącej się pełnej nadziei młodzieży męskiej; odwiedziny przy ulicy Królewskiej, posępna propozycja jaką jej tam uczyniono, noc bezsenna spędzona w potokach łez i płomieniach wstydu, nadewszystko zaś spotkanie się z człowiekiem, o którym wiedziała że oczekiwał tam na nią z hańbiącą ją myślą w głowie, wszystko to

wprawiło ducha jej w ten stan gorączkowego naprężenia, który długo trwać nie może, w cichości i za lada dotknięciem wybucha niepowstrzymalną burzą. Dotknięcie zaś sprawione słowami Szwajcowej i jej córki nie było lada jakim. W piersi Marty, struna uczuć wyprężona do ostateczności pękła i wydała z siebie załośnego jęku krzyk buntowniczy. Czy dobrze uczyniła ulegając niezmożonemu wybuchowi dumy niewieściej i godności człowieczej, rzucając pod nogi kobiecie, która jej ubliżyła ostatni swój kęs chleba? Nie myślała o tem, nie zdawała sobie sprawy z postępku swego, biegnąc przez długi dziedzińiec ku bramie wiodącej na ulicę.

Zaledwie jednak wstąpiła w tę bramę, cofnęła się jakby przed ohydny widmem jakim, wyraz śmiertelnej obrazy twarz jej okrył. W bramie stał jeszcze Oleś i rozmawiał półgłosem z młodym jakimś mężczyzną, stojącym u dołu wschodów z których znać zstąpił przed chwilą, aby udać się na miasto. Marta rzuciła się w stronę. Widocznem było że usiłowała niepostrzeżona przemknąć pod ścianą, ale kiedyż zwinna sarna ująć mogła oka wprawnego myśliwca? Pani! odwracając się zawołał Oleś; co za niespodzianka! Nie myślałem abyś tak wczesnie opuściła dziś tę jamę, która (tu głos jego zniżył się) od pewnego czasu stała się dla mnie rajem, do którego tęsknię!

Mężczyzna z którym Oleś rozmawiał przed chwilą zbiegł z ostatnich wschodów i wybiegł na ulicę, rzu-

cając przelotne spojrzenie na kobietę, do której zwracał się jego towarzysz i uśmiech dwuznaczny ukrywając piosnką z Flik i Flok. Marta stała pod ścianą, blada jak marmur, z wyprostowaną kibicią i błyskawicami w oczach. Wesoly Oleś zbliżał się ku niej z uśmiechem na ustach, i marzącem spojrzeniem.

— Czego pan chcesz odemnie? zawołała kobieta.

— Pani! przerwał jej mowę pan stworzeń, przed kwadransem odepchnęłaś mię od siebie bardzo surowem słowem, ale ja nie tracę nadziei że stałość moja...

— Czego pan chcesz odemnie? powtórzyła kobieta, odzyskując głos, którego zabrakło jej na chwilę; tak, mówiła dalej, opuściłam tę jamę w której jednak znajdował się ostatni mój zarobek. ostatni kawał chleba dla mnie i dziecka mego. Uczyniłam to z powodu pana. Jakiem prawem zachodzicie panowie drogę nam, którym i bez tego iść już tak ciężko? Macieź choć trochę serca i sumienia aby ścigać istoty, które i bez tego nie wiedzą kędy mają podziać się na świecie? O! wam zapewne nie stanie się przez to nic złego! Wam ludzie dadzą za to pochwałę, nam obelgę. My utracimy poczciwe imię a często i ostatni kawałek chleba, wy ubawicie się wybornie.....

Mówiła to wszystko pośpiesznie, bez odetchnięcia prawie, z przeszywającym szyderstwem w głosie i w oczach.

— Ubawicie się, powtórzyła z przykrym śmiechem, ale pozwól pan aby kobieta, którą obrać raczyłeś za przedmiot swej zabawy, powtórzyła ci słowa starej bajeczki: Żle! o, źle się bawicie, wam to zabawa nam idzie o życie!...

Rzekłszy to minęła osłupiałego ze zdziwienia młodzieńca i znikła za bramą.

Pan stworzeń pozostał sam jeden, spuścił głowę, ręką dotknął wusika, zamycony wzrok utkwił w ziemi i stał tak długo. Na twarzy jego było zawstyżenie i rozżalenie. Wstydził się swej porażki, żałował powabnego i opornego, tem powabniejszego że opornego zjawiska, które zniknęło mu z przed oczów. Może też na widok kobiety z rozpaloną źrenicą, z chmurą na czole i drżącą od dumnego żalu wargą, drgnęło w nim poważniejsze uczucie jakieś, może uczuł, że źle uczynił, że komuś nie chcący wyrządził krzywdę. O tak! nie chcący! „Nam idzie o życie“ powiedziała ona.

Co za myśl! miałaby on intencją zabijać kogoś? Nic na świecie nie było bardziej obcem czulemu sercu jego, nic bardziej nieprzystępnem myśli, wcale do dramatów wszelkich nie skłonnej, jak intencja jakiegokolwiek morderstwa. A jednak z jaką siłą przemawiała ona do niego! jaka bolesna błyskawica strzelała z jej źrenic, jak była bladą i jak piękną! Oleś oddałby w tej chwili bez wahania parę lat swego skrzydlatego, błogiego życia, aby móżdż zobaczyć ją, błagać o przebaczenie, wynagrodzić krzywdę jeśli

zadał jej jaką i ...odprowadzić ją do jej mieszkania.

Ba! ale gdzie było to jej mieszkanie? nie wiedział, Zmarszczył czoło, strzepnął niecierpliwie palcami i podnosząc głowę zawołał prawie ze złością.

— Teraz już ją chyba nie znajdę!

W tej samej chwili wbiegła z ulicy w bramę młodziutka panienska, podłotek jeszcze prawie, w obcisłej szubce i przedziwnie zgrabnym buciku. Na widok jej wyraz twarzy Olesia zmienił się nagle. Zdjął z pośpiechem kapelusz i kłaniając się ładnemu podłotkowi wymówił z uśmiechem.

— Jakże dawno nie miałem szczęścia widzieć panny Eleonory.

Podłotek nie wydawał się niezadowolnionym ze spotkania.

— A! już to pan Aleksander bardzo grzeczny do prawdy! bardzo grzeczny! z miesiąc już u nas nie był. Babcia i ciocia kilka razy mówiły że p. Aleksander jest niegrzeczny.

Pan Aleksander marzącem okiem ściagał ruch różowych usteczek, które szczebiotały te wyrazy.

— Pani! rzekł, serce ciągnie mię ku domowi pani ale rozum odradza.

— Rozum! ciekawa jestem dla czego rozum ma odradzać panu bywać u nas?

— Lękam się o mój spokój! szepnął pan stworzeń. Podłotek zarumienił się po włosy i uszy.

— No, niech się już pan nie lęka i przychodzi do

nas, bo inaczej Babcia i Ciocia gniewać się będą na prawdę.

— A pani?

Chwila milczenia. Oczy podlotka patrzą na gwóźdź sterczący w podłodze bramy, oczy zdobywcy rachują złote loczki wysypujące się z pod kapelusika na białe czoło.

— I ja także będę się gniewać na pana.

— O! jeżeli tak, przyjdę, przyjdę z pewnością!

Podlotek wbiega na dziedzieniec kędy pan stworzeń iść za nim nie śmie. Z ubogą robotnicą to co innego, ale z wnuczką kobiety, w której domu się bywa, z panną Szwejcówną, która jak powiadają mieć będzie ze 100,000 złotych posagu, przechadzać się ni ztąd ni z owąd po dziedzińcu nie wypada.

Oleś wychodzi na ulicę, a przed oczami jego przesuwają się dwie postacie kobiece: biednej wyrobnicy z płomieniem w oburzonem oku i ładnego podlotka ze złotymi loczkami w około białego czoła. Sam już się wie która z nich piękniejsza i powabniejsza „Tamta, myśli, to dumna i płomienista bogini; ta śliczniuchna mała bogińska! Prawdę mówią uczeni! cóż to za nieprzebrane bogactwa rozlane są po tem państwie natury! Ile odcieni, ile rodzajów! Jak przyjdzie człowiekowi wybór czynić to mu aż w głowie się kręci, a w sercu taje. Ale na co tam wybór „tous les genres sont bons hors le genre—vieux et laid!“

Mężczyzno! puchu marny! ty wietrzna, istoto!

A Marta?

Marta po silnych doświadczonych wzruszeniach, zapadła znowu całkiem w rachunek groszowy. Sześć rubli otrzymane od księgarza oddała rządcy domu, splacając tym sposobem dług dotąd nie opłacony i kupując zarazem prawo mieszkania w izbie na poddaszu przez dwa jeszcze tygodnie.

— Należy jeszcze za sprzęty, rzekł rządcą biorąc z jej rąk pieniądze.

— Zebierz je pan z mojej izby, bo za używanie ich płacić nie mogę.

Dostatni jacyś państwo, mieszkający na pierwszym piętrze, potrzebowali do kuchni swej czy przedpokoju stołu, kilku krzeseł i łóżka. Nad wieczorem sprzętów tych nie było już w izbie Marty. Rozciągnęła ona uszczuploną wielce pościel swą na nagiej podłodze, i usiadła na ziemi przed pustym kominem. Z drugiej strony komina usiadła Jancia. Postawa Matki była nieruchoma aż do sztywności, dziecka skurczona i drżąca od chłodu a może i żalu. Dwie twarze blade, otoczone półmrokiem zapadającego wieczora i głęboką ciszą samotnej izby, przedstawiały widok posępny. Był to także widok tajemniczy. Dwie dole nieszczęsne siedziały tam przed zimnym otworem okropnego komina. Jakież będzie ich koniec?

Jancia miała tej nocy sen niespokojny i przerywany.

Dotąd, jeśli często płakała w dzień, w nocy spała przynajmniej spokojnie. Ale wieczoru tego wynie-

siono z izby ostatni przedmiot jej zabawy: dwa stare kulawe krzeselka. Żałowała ich jak dobrych przyjaciół z którymi bawiła się w chwilach swobodniejszych, którym cichutko powierzała swoje biedy i żale: głód, chłód i szturchańce Antoniowej, wtedy gdy wiedziona instynktem dobrego dziecka, nie chciała skarg swych zanosić przed Matką. Dziecię rzewnie płakało widząc jak wynoszono jej ukochanych, kalekich staruszków, potem położywszy się na ziemi przypomniało sobie może swoje dawne mahoniowe łóżeczko galeryjką otoczone, przykryte włóczkową kołderką, z której różnobarwnych szlaków uczyło się rozróżniać kolory i podziwiał ich piękność...

Północ już była blizką. Dziecię rzucało się na swoim niskim posłaniu, stękało niekiedy i płakało przez sen. Marta siedziała wciąż na ziemi u komina pogrążona w ciemności i gorzkich wyrzutach samej sobie czynionych.

Gorzko, boleśnie wyrzucała sobie postępek swój ze Szwejcową. Po co uniosła się obrażoną dumą? Po co opuściła to miejsce w którym miała jakąkolwiek możliwość jakiegokolwiek zarobkowania? Obelga wprawdzie jaką jej tam w oczy rzucono, była niezasłużoną, wielką, krwawą, może ale i cóż ztąd? Czyż kobiecie w jej położeniu wolno w zamian obelgi rzucić komuś w oczy kęs chleba czarny, twardy, gorzki ale ostatni? Nie umieć uczynić nic, aby dźwignąć się z upośledzonego położenia i zarazem nie módz

cierpliwie przenieść ciosów i poniżeń tego położenia, co za niekonsekwencya! Przez własną nieudolność oddawszy się w ręce kobiety wyzyskującej tę nieudolność, wymagać od niej dla siebie szacunku i wymiaru sprawiedliwości? Co za bezrozum!

Nie! myślała Marta, jedno z dwojga. Trzeba być na świecie albo silną i dumną, albo słabą i pokorną. Trzeba umieć dźwigać i chronić godność swą osobistą, albo zrzec się do niej wszelkiej pretensyi. Jestem słabą, powinnam być pokorną. Nie mogę czynami memi podnieść się do takiego położenia, aby nakazać ludziom szacunek dla mnie, nie powinnam go też wymagać. I zresztą, za cóż ludzie szanować mnie mają? Jaż sama czy naprawdę szanuję siebie? Czy mogę bez wstydu i wyrzutów sumienia patrzeć na to dziecię, któremu powinnam być opieką i podporą, a jestem niczem? Czy mogę bez najgłębszego upokorzenia myśleć, że nakształt owcy bezbronnej i głupiej, pochylam kark mój przed nieuczciwą ręką, pozwalając, prosząc nawet aby z pracy dni moich, z potu mego czoła *tworzyła* ona dla siebie i dzieci swych bogactwo? Za kogo zresztą ma mnie świat cały, ludzie? Jeden odrzuca pracę moją bo jest nieudolną; inny z góry już jej nie przyjmuje w przekonaniu że musi ona być nieudolną; inny jeszcze wyzyskuje ją nikczemnie dla tego właśnie że jest nieudolną; inny nakoniec, nie widzi we mnie nawet człowieka, równego mu w czci i cnocie,

ale tylko nie brzydką kobietę którą można.... kupić!
Dla czegoś wymagałam od Szwecyjowej tego czego
cały świat mi odmawia, czego zdobyć sobie u ludzi,
u samej siebie —nie potrafiłam?

Noc ustępowała przed szarym zimowym świtem,
Marta siedziała wciąż na jednym miejscu, z łokciami
opartymi o kolana, z głową w dłoniach. Czowała się
teraz pokorną, bardzo pokorną, uśmiechała się sa-
ma z siebie na myśl że wczoraj jeszcze mogła rościć
jakieś pretensye do szacunku ludzkiego, była pewną
że nigdy już nie zadziwi się nad poniżeniem wła-
snem i nie sarknie przeciw poniżającej ją ręce.

Wraz ze światłem dnia wstąpiły do izby na pod-
daszu przypomnienia potrzeb codziennych. Marta
wyjęła z kieszeni złotówkę. Więcej pieniędzy nie
miała i zarobku żadnego.

Trzeba iść prosić! pomyślała.

Wyszła na miasto i skierowała się ku znajomej
sobie księgarni. Szła do człowieka którego litości-
wa ręka obdarzyła ją raz już pracą, drugi raz jał-
mużną.

Otwierając drzwi księgarni Marta doświadczyła
pewnego uczucia zdziwienia. Przed wyjściem z do-
mu, wyobrażała sobie że z wielką ciężkością przyj-
dzie jej próg ten przestąpić, że tak jak dawniej przed
wymówieniem słowa prośby spleonie wstydem, utraci
na chwilę głos. Myliła się. Serce jej nie uderzyło

mocniej, rumieniec nie oblał czoła kiedy spotkała wzrokiem spojrzenie księgarza.

Stał on jak zwykle za kantorem, pochylony nieco nad sporym stosem notat i rachunków. Kiedy usłysawszy dzwonek, podniósł twarz, czoło jego mniej pogodne było jak dawniej, w oczach malował się lekki niepokój czy zmartwienie. Był widocznie zakłopotany czemś czy zasmucony. Nie powiodło mu się może przedsięwzięcie jakieś, z którego obiecywał sobie wiele albo chory mu był ktoś z rodziny, z przyjaciół? Zwidoczną trudnością oderwał myśl od przedmiotu swego zajęcia i zwrócił na wchodzącą kobietę wzrok mniej jasny, mniej dobry i uprzejmy jak wprzódy. Marta spostrzegła to. Kilka dni temu byłaby się cofnęła i wyszła albo przynajmniej zataiła cel swego przybycia, teraz jednak zbliżyła się do kon-tuaru i zamieniwszy ukłon z księgarzem, rzekła:

— Byłeś pan tak dobry, że wspomogłeś mnie pora-dą i datkiem, przyszłam więc znów do pana...

— Czemże pani służyć mogę?

Przemawiał grzecznie ale zimniej jak wprzódy. Roztargnione jego oczy zwracały się co chwila ku le-żącym na stole papierom.

— Utraciłam zajęcie w szwalni, w której zarabia-łam 40 gr. dziennie. Czy nie wiesz pan o jakim miejscu stosownem dla mnie, o jakimkolwiek...

Księgarz spuścił oczy i stał chwilę w milczeniu.

Do uprzedniego zakłopotania jego, dołączyło się teraz trochę zmieszanie a nawet zniecierpliwienie.

— A! rzekł po chwili, czyniąc obu rękami gest oznaczający pożalowanie, trudno pani! trzeba coś umieć, trzeba koniecznie coś umieć...

Nie dokończył swej myśli i umilkł. Marta ścisnęła w obu dłoniach, końce chustki, którą miała na głowie.

— A więc rzekła po chwili, cóż ja uczynię?

Powiedział to w taki sposób że księgarz podniósł wzrok i popatrzył na nią uważnie. Głos jej posiadał dźwięki krótkie i nieco ostre, w zapadłych oczach palił się ogień, ale nie boleści jak dawniej, nie milczącego, przejmującego błagania, lecz jakby tłumionego głuchego gniewu. Patrząc na nią i słuchając jej głosu, możnaby rzecz że do człowieka tego z którym rozmawiała czuła jakąś urazę, że czyniła go w duchu odpowiedzialnym po części za to czego doświadczała.

Księgarz chwilę jeszcze pomyślał.

— Smutno mi, rzekł, bardzo smutno, widzieć w takim położeniu żonę człowieka, którego znałem i poważałem. Zdaje mi się że będę mógł jeszcze coś dla pani uczynić... chociaż będzie to tylko nowa próba.

Znajomi moi, państwo Rzętkowscy, potrzebują teraz właśnie kogoś... kogoś do... pokojowej usługi.... jeżelibyś pani miejsca takiego życzyła sobie.

— Proszę o nie pana, bez chwili namysłu rzekła Marta.

— W takim razie napiszę kilka słów do państwa Rzętkowskich. Jeżeli pani będziesz życzyła sobie udasz się do nich z tą kartką...

— Udam się z pewnością, wymówiła kobieta.

Księgarz napisał pośpiesznie kilkanaście słów na ćwiartce papieru i wręczył ją oczekującej kobiecie. Spieszył się, niespokojny był i ciągle jakby zmartwiony. Natychmiast po oddaniu listu ukłonił się...

Uklon ten był wyraźnie pożegnalnym, znaczył tyle co: nie mam czasu, i nic więcej uczynić nie mogę! Marta wyszła z księgarni. List który trzymała w ręku nie był zamkniętym. Rozwinęła złożoną we dwoje ćwiartkę papieru i obróciła ją kilką razy w ręku. Zdawało się że pomiędzy cienkimi kartkami szukała czegoś. W istocie, przebiegła przez głowę jej myśl, że jak onegdaj w zeszytcie z jej rękopismem, tak teraz w ćwiartce papieru księgarz umieścił może dla niej datek jakiś. Datku jednak nie było. Marta pomyślała: szkoda że nic nie dał!

Księgarz był bardzo dobrym człowiekiem i miał bardzo litościwą rękę. Ale litościwe ręce tem są niedogodnemi dla tych którzy ich potrzebują, że nie zawsze w jednostajnem bywają usposobieniu. Najlepszy nawet człowiek nie może być w każdej chwili swego życia jednostajnie skłonny do spełniania

dobrych uczynków. Dobre uczynki są rodzajem zbytku dla ducha, którego chlebem codziennym jest obowiązek. Litościwa ręka w chwili pilnego spełniania obowiązku, może być bardzo nieusposobioną do wykonywania litościwych czynów.

Jakaż zmiana! kilka miesięcy temu Marta jęknęła z bólu, ze wstydu, otrzymawszy jałmużnę, teraz żałowała że jej nie otrzymała!

Spojrzała na adres trzymanej w ręku kartki i skręciła na Sto-Krzyską ulicę. W kilka minut potem znalazła się w kuchni należącej do obszernego i porządnego mieszkania. Znalazła tam kucharkę, której wręczyła kartkę od księgarza otrzymaną. Kucharka udała się w głąb mieszkania, Marta usiadła na drewnianej ławce. Siedziała tam dobre dziesięć minut. Państwo Rzętkowscy namyślali się znać czy naradzali! Po dziesięciu minutach weszła do kuchni niemłoda kobieta z przyjemną powierzchownością, w ubraniu oznaczającym dostatek. Trzymała w ręku kartkę księgarza. Zbliżyła się do Marty, która na widok jej powstała i kilka sekund patrzyła na nią uważnie. — Przepraszam panią, rzekła z trochę zmieszania w głosie, przed kilku dniami potrzebowaliśmy w istocie pokojowej ale teraz już nie potrzebujemy... bardzo żałuję... przepraszam. Rzekłszy to, niemłoda pani ukloniła się stojącej przed nią kobiecie daleko grzeczniej niż się to czyni zwykle względem kandydatki na pokojową i opuściła kuchnię.

W pokoju, doktórego weszła siedział z fajką, przy ustach szpakowaty mężczyzna i dwie młode panienki haftowały przy oknie....

— Cóż? zapytał niemłody mężczyzna, nie przyjęłaś jej?

— Naturalnie że nie przyjęłam. Wdowa po urzędniku... wymagałaby zapewne dla siebie szczególnych jakichś względów... taka szczupła, delikatna... gdzieby jej tam pokoje wymiatać albo godzinami całymi stać nad żelazkiem... pewnie nawet i nie umie prać ani prasować. Mielibyśmy z nią kłopot tylko, i nic więcej.

— To prawda, rzekł mąż niemłodej pani, a jednak szkoda, żeś ją tak z niczem odprawiła. Musi być bardzo biedna, skoro tak delikatna jak mówisz i wdowa po urzędniku, chce służyć za pokojową.

Należałoby może spróbować...

— Ależ mój Jgnacy, p. Laurenty pisze, że ona ma dziecko! Żeby już nie co innego możemyż przyjmować sługę z dzieckiem?

— To prawda, to prawda! z dzieckiem nie sposób, koszt wielki i kłopot... Bóg wie jakie jeszcze dziecko... Tylko że to Laurenty nam ją rekomendował. Obawiam się aby się nie obraził na nas, żeśmy ją tak z niczem odprawili, aby nie wziął nas za ludzi bez serca...

— No! to dać jej tam trzeba cokolwiek! Wolę już dać jej raz choćby rubla, jak nabawiać się ciąglego

kłopotu. . subiekcji... i jeszcze przyjmować do domu cudze dziecko...

Marta była już na wschodach gdy usłyszała za sobą szybkie kroki i dwa razy powtórzony wykrzyk.

— Pani! proszę Pani!

Obejrzała się i zobaczyła ładną młodą panienkę, która otulając się ciepłym kaftanikiem, biegła za nią.

— Proszę pani, zaczęła młoda panienka zatrzymując się przed wdową, Mama moja kazała mi panią bardzo przeprosić że fatygowalaś się do nas na daremnie... dziś tak zimno, a pani fatygowalaś się idąc do nas... mama kazała bardzo przeprosić...

Mówiła to prędko i ze zmieszaniem, przy ostatecznych wyrazach nieśmiałym trochę gestem wyciągnęła rękę z rublową assygnatą. Marta wahała się sekundę, ale tylko sekundę, poczem wzięła z ręki ładnej panny szeleszczący papierek, rzekła: dziękuję! i odeszła. W drodze do domu kupiła wiązkę drzewa, trochę czarnego chleba, grubej mąki i mleka. Chleb przeznaczała dla siebie, mleko i mąkę dla dziecka. Tego dnia nie wyszła już na miasto. Zgotowała strawę z mleka i mąki złożoną, nalała ją na glinianą miskę i posadziła przed nią Jancię.

Ale dziewczynka jadła nie wiele. Milcząca była i wyjątkowo poważna. Mała główka ciążyła jej znać dolegliwie bo podpierała ją ciągle chudą rączką, potem usiadła na ziemi przy Matce, położyła się na jej kolanach i usnęła snem ciężkim, długim.

Nazajutrz Marta przełękała się spojrzawszy przy świetle poranku na twarz swego dziecka Jancia bledszą jeszcze była jak wczoraj, z zapadłych i podkrążonych jej oczów przemawiała cicha lecz przejmująca skarga. Młoda kobieta odwróciła się ku oknu i kurezowo załamała dłonie. Jeżeli nie dam jej lepszych wygod, myślała, zachoruje... lepszych wygod, co za szalona myśl! za dni dwa, trzy nie będę miała za co izby ogrzać i ciepłej stawy dla niej zgotować!

— A! rzekła do siebie po chwili, nie ma co czynić! trzeba iść i przeprosić Szwejcowę!

Poszła na ulicę Freta. Otwierając drzwi posępnej pracowni, zdziwiła się nad sobą więcej jeszcze niż wtedy gdy wchodziła do księgarni. Czuła się wprawdzie upokorzona nieco, ale uczucie to było niczem w porównaniu z pauującą w niej żądzą zostania napowrót przyjętą w to miejsce, które przed parą dniami opuściła dobrowolnie.

Szwejcowa nie okazała na widok jej najmniejszego zdziwienia. Po obwisłych wargach poważniej matrony przemknął tylko szybki uśmiech i oczy jej błysnęły ostro z za okularów. Robotnice popodnosiły głowy i patrzyły na przybyłą, jedne z ciekawością inne z ironiją i złośliwym zadowoleniem. Pod spojrzeniami dwudziestu przeszło par oczów, Marta uczuła gorący płomień na policzkach i czole.

Była to męczarnia straszna ale trwała zaledwie sekundę. Naczelniczka zakładu i jej córka przesta-

ły krajać płótno. Oczekiwały znać od dawnej swej robotnicy pierwszego słowa.

— Pani! zwracając się do Szwejcowej rzekła Marta, dwa dni temu byłam porywczą, nieuważną.. obraziłam się tem co mi pani mówiłaś i odpowiedziałam niegrzecznością. Przepraszam panią. Jeżeli można... chciałabym znowu pracować u pani.

Jak wprzódzy zdziwienia tak teraz tryumfu nie znać było na twarzy Szwejcowej. Owszem uśmiechnęła się ona słodko i skinęła głową uprzejmie.

— O! moja pani Swicka! zaczęła słodkim, miodowym głosem, ja się nie gniewam, wcale nie gniewam.. i cóż tam, dobry Boże, tak bardzo ważnego usłyszeć jakąś niegrzeczność .. znieść przykre słowo. Wszak Odkupiciel nasz rozkazał abyśmy rano i wieczór powtarzali: i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy! Byłabym nie posłuszną słowu Bożemu, jeślibym gniewała się na panią Swicką... ale przyjąć pani Swickiej do zakładu mego nie mogę, bardzo żałuję, ale doprawdy już nie mogę, bo na miejscu pani Swickiej mam od wczoraj inną robotnicę...

Przy ostatnim wyrazie wskazała nożycami młodą kobietę, która siedziała na dawnym miejscu Marty.

— Zakład nasz posiada, chwała Bogu, jak najlepszą reputacją... nie używamy przytem maszyn które tak okropnie niszczą siły i nadwężają zdrowie osób pracujących. To też robotnice cisną się do nas, cisną. Prawdziwy natłok. Nie ma dnia w którymby

dwie lub trzy osoby nie zgłaszały się z prośbą o robotę. Nie brakuje, chwala Bogu, robotnic, nie brakuje, nadto zaś ich nabierać nie możemy, bo ja i moja córka nie życzymy sobie obarczać się pracą zbyt ciężką. Teraz więc kiedy jest komplet robotnic, więcej nawet niż komplet dla pani Swickiej miejsca...

— A może Mamo, znalazłaby się jeszcze robota i dla pani Swickiej, szepnęła nieładna panna, pochylając się ku Matce.

Od kilku chwil przypatrywała się ona Marcie z uwagą i ciekawością. W małych zrywanych trochę jej oczach, zjawilo się coś naksztalt politowania.

Ale Szwejcowa wzruszyła ramionami.

— Nie, rzekła, nie ma roboty, nie ma! Nie możemy przecież dla tego aby przyjąć panią Swicką, która dobrowolnie nas opuściła, odprawić wczoraj przyjętą pannę Zofiję? Usłyszawszy ostatnie wyrazy, kobieta siedząca na dawnym miejscu Marty podniosła głowę z nad roboty, i spojrziała na naczelniczkę zakładu prawie z przestrawem.

— Pani mnie już nie przyjmie? zapytała Marta, nie mogę mieć żadnej nadziei?

— Żadnej, kochana pani Swicka, żadnej! Bardzo żałuję ale miejsce już zajęte.. nie mogę.

Marta ledwie dostrzegalnym ruchem skinęła głową i wyszła z pracowni. Otwierając drzwi usłyszała za sobą szmer złożony z cichych bardzo szeptów jeszcze cichszych chichotów. Zrozumiała że jest

przedmiotem szyderstwa lub jałowego politowania dwudziestu przeszło osób, i uczuła znowu płomień w piersi i czole. Znalazłszy się jednak na ulicy opanowaną została zaraz jedyną, wyłączną myślą. — Nie mogę przecież wrócić tak z pustemi rękami! Muszę dziś koniecznie izbę ciepłej ogrzać a jutro urządzić dla dziecka mięsną jakąś potrawę...inaczej... zachoruje... Przez chwilę szła tak jakby nie wiedziała dobrze dokąd idzie, skręcała na lewo i na prawo, zatrzymywała się wśród chodnika; ze spuszczoną głową, myślała. Potem pewniej już i w prostszym kierunku zaczęła iść ulicą Długą. Idąc dłuższe i ważniejsze spojrzenia zatrzymywała na wystawach sklepowych. Przed jedną z nich stanęła. Był to sklep jubilerski nie zbyt obszerny i nie zbyt wytworny. Takiego znać szukała młoda kobieta, bo po chwilowym namyśle otworzyła drzwi szklanne, parą schodkami nad poziom wyniesione. Zewnętrzność sklepu omyliła ją. Nie był on tak skromny jak wyglądał. Owszem, w dość obszernym pokoju znajdowała się znaczna ilość wyrobów ze złota i drogich kamieni. Tylko że istotna zamożność w skutek nieumiejętności wykazywania jej albo i umyślnej intencji, nie występowała na pokaz przechodniom. Że zewnętrzna prostota sklepu pochodziła z umyślnej intencji jego właściciela, można było na pewno prawie przypuszczać, widząc jak w otoczeniu pomocników swych i zapewne uczniów pracował on własnoręcznie. Był to

człowiek przysadzisty, rumiany, szpakowaty, z do-
brodusznym uśmiechem i wielkim sprytem w ma-
łych burych oczach. Na widok wchodzącej kobiety
powstał i z grzecznością zapytał czego żąda. — Prze-
praszan pana, jeżeli źle trafiłam, rzekła Marta; są-
dziłam że nabędziesz pan może u mnie pewien złoty
przedmiot.

— Dla czegożby nie? pani dobrodziejko, dla cze-
gożby nie? odpowiedział jubiler ze sprytnemi błys-
zczącymi oczami, jakież to jest przedmiot?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Marta stała na
środku sklepu z oczami nieruchomie utkwionemi
w ziemię. Rysy jej powleczone bladeścią marmuru
sztywne były i wyprężone. Moznaby rzec iż skoń-
czyła rozmowę z własnym wnętrzem swem rozpo-
czętą i że zdobywała się właśnie na ostatnie słowo
rozmowy tej, mające wyrażać jakieś z ciężkim tru-
dem wywalczone postanowienie.

— Jakież to jest przedmiot? zapytał powtórnie ju-
biler i niecierpliwe trochę spojrzenie rzucił na pierw-
szą swą robotę.

— Obrączka ślubna, odpowiedziała kobieta.

— Obrączka ślubna! powtórzył* przeciągle jubi-
ler.

— Obrączka ślubna, podnosząc głowy szepnęli
z cicha pomocnicy jubilera.

— Obrączka ślubna, wymówiła raz jeszcze Mar-

ta, wysunęła z pod grubej chusty rękę zziębniętą, i z cienkiego palca ściągnęła złoty pierścień.

Zarazem zachwiała się na nogach i jak osoba bliżka omdlenia, bezwiednym ruchem szukała czegoś na czymby wesprzeć się mogła.

— Niech pani siada, niech pani dobrodziejka siada! zawołał jubiler z którego ust zsunął się bez śladu dobroduszny uśmiech. Jeden z pomocników jubilera podsunął w stronę kobiety taboret. Ale Marta nie usiadła. Przebyła ona jedną z najcięższych, najcięższą może chwilę ze wszystkich którymi znaczył się mozolny jej pochód po drogach ubóstwa. Gdy ściągała z palca złotą obrączkę wydało się jej że raz jeszcze i ostatecznie rozstaje się z jedynym człowiekiem, którego kochała na ziemi, ze szczęśliwą, niezapomnianą przeszłością. Serce jej ścisnęło się kurczowo, w głowie zaszumiało.

Ale chwilę tę już przebyła. Siłą woli pochwyciła umykającą jej przytomność umysłu, wytrzeźwiała całkiem i podała jubilerowi obrączkę.

— Czy to konieczne? mój Boże, czy to konieczne? zapytał jubiler tonem politowania.

— Konieczne, krótko i sucho odpowiedziała kobieta.

— A! jeśli pani życzysz sobie tego, lepiej już że zbędziesz przedmiot ten mnie niż komu innemu. Otrzymasz pani przynajmniej całą jego wartość.

Mówiąc to stał już za stołem pokrytym oszklone-

mi pudłami złotniczych wyrobów, i rzucał obrączkę na nie wielkie mosiężne szale. Dwa metale spotykając się ze sobą, wydały dźwięk czysty i przeciągły.

— Dobrze złoto, szepnął jubiler.

Marta odwróciła twarz od kołyszących się szalek. Wzrok jej przylgnął teraz do widoku na który dotąd nie zwracała uwagi. Był to widok, bardzo prosty. Z dwóch stron podłużnego stołu siedziało pięciu młodych mężczyzn od lat 15-stu do 25-ciu, z delikatnymi narzędziami w ręku. Jedni z nich szlifowali i polerowali drogie kamienie różnej wielkości; inni topili złoto przy małych płomykach liżących brzegi żelaznych trójnóżków; jeden rysował wzory łańcuszków, bransolet, brosz, kolców, kopert do zegarków i tym podobnych kunsztownych wyrobów. Marta wlepiła wzrok w każdą z kolei parę rąk poruszających się przy podłużnym stole. Oczy jej zagasłe przed chwilą zaczęły płonąć silnym ogniem. Odmalowała się w nich gorączkowa ciekawość, chciwa niedłwie żądza. Przez parę minut takiego patrzenia dostrzegła więcej szczegółów jubilerskiej sztuki, pojęła lepiej rodzaj jej i naturę, niżby kto inny, w innych okolicznościach zostający, dostrzedz i pojąć mógł w przeciągu długich godzin.

— Proszę pani dobrodziejki, ozwał się z za stołu jubiler, obrączka pani dobrodziejki warta jest rs. 3 i pół.

Na głos ten Marta odwróciła twarz od robotników

i szybko przystąpiła do stołu, za którym stał jubiler.

— Panie! rzekła, wszakże panowie ci są pańskimi pomocnikami?

— Tak pani, zdziwiony trochę niespodzianem pytaniem odpowiedział jubiler.

— I pańskimi uczniami zapewne...

— Tak pani, po części i uczniami.

Marta błyszczący wzrok zatapiała głęboko w twarzy stojącego przed nią człowieka.

— Czy nie możesz pan przyjąć mnie za uczennicę swą i pomocnicę?

Małe oczy jubilera roztworzyły się szeroko.

— Panią! panią! wyjąkał, jakże to... dla czego to... ależ to...

— Tak, mnie. powtórzyła kobieta pewnym głosem. Jestem bez żadnego sposobu do życia... widzę że robota jubilerska nie ma w sobie nic coby przechodziło me siły, owszem zdaje mi się że spełniłabym ją dobrze ponieważ trzeba tu dobrego smaku, a ja kiedyś miałam możność wyrobić go w sobie... w prawdzie musiałbyś pan mię uczyć z początku, ale nie trwałoby to długo.. ręczę panu że pracowałabym usilnie i pojętnie... przyjąłabym zresztą zapłatę najmniejszą, choćby jakąkolwiek... jakąkolwiek..

Jubiler ochłonął ze zdziwinia. Zrozumiał już o co szło kobiecie, która przyniosła mu do sprzedania obrączkę ślubną. Nizkie jego czoło zmarszczyło się jednak dość wyraźnie bystre oczy migotały zmieszaniem.

— Widzi pani dobrodziejka, zaczął, ja właściwie uczniów w sklepie moim nie mieszam; ci panowie są już usposobieni, wyuczeni...

Marta spojrzała w stronę stołu przy którym siedzieli robotnicy. Jeden z nich, ten który rysował wstał właśnie i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Umiem rysować, rzekła Marta, to jest, poprawiła się szybko, umiem rysować o tyle aby mógł wykonywać dla jubilerskich wyrobów odpowiednie wzory.

Wymawiając te słowa z rodzajem gorączkowego pośpiechu, postąpiła ku podłużnemu stołowi i usiadła na miejscu tylko co przez jubilerskiego rysownika opuszczonem. Młodzi ludzie przy stole pracujący usunęli się nieco z krzesłami, przewracali swą robotę i patrzyli na zasiadającą wśród nich kobietę ze zdziwieniem połączone z ironją. Bez ironji ale z wielkierem także zdziwieniem patrzył na nią jubiler. Ona nie zważała na nic, nie widziała. Pochwyciła ołówek i na ćwiartce białego papieru, którą tuż przed sobą znalazła rysować zaczęła. Cisza zupełna panowała w sklepie. Na pochyloną twarz kobiety występował rumieniec, pierś jej oddychała powoli i głęboko, ręka pewnym ruchem, bez najmniejszego drżenia rzucała na papier lekkie, krótkie lub powłóczyście rysy.

Rysownik, który przed chwilą wyszedł był do sąsiedniego pokoju, wracał do sklepu, ale ujrawszy miejsce swe zajętem zatrzymał się w progu. Był to

23 letni może mężczyzna starannie ubrany, z ufryzowanemi włosami i wymuskany wąsik. Zapuścił ręce w kieszenie, oparł się niedbale o róg ściany i z uśmiechem na ustach zamieniał wzrokiem z towarzyszami żartobliwe znaki porozumienia.

— Ależ pani dobrodziejko... ozwał się zniecierpliwiony trochę jubiler.

— Zaraz, zaraz! odpowiedziała Marta nie odrywając oczu od swej roboty.

Po chwili wstała i podała jubilerowi kartkę, na której rysowała.

— Oto jest wzór na bransoletę, rzekła.

Jubiler wlepił oczy w rysunek. Wzór wykonany był bardzo pięknie. Składał się z wieńca szerokich, kształtnych liści spiętych klamrą okrągłą, gładką, dwoma tylko krętymi łodygami oplecioną.

Bransoleta według wzoru tego wykonana łączyłaby w sobie dwie główne zalety podobnego rodzaju wyrobów, prostotę i wykwintność.

— Ładnie! nie ma co powiedzieć! bardzo ładnie mówił jubiler przechylając głowę na obie strony i z miną zadowolonego znawcy przyglądając się rysunkowi.

— Ładnie! bardzo ładnie! ale tym razem trochę zmieszany. Rysunki pani mogłyby mi być bardzo użytecznymi ale... ale.. Umilkł i biedząc się widocznie nad stosownem wypowiedzeniem swej myśli, potarł dłonią gęstą swą szpakowatą, czuprynę.

Młody człowiek stojący we drzwiach uśmiechał się ciągle.

— O mój Boże! wymówił wzruszając ramionami, jeżeli pan wstrzymujesz się z przyjęciem tej pani na rysowni.... jakże tu powiedzieć.... no, na rysownicę....

Siedzący przy stole piętnastoletni chłopak parsknął śmiechem. Młody człowiek z ufryzowanymi włosami mówił dalej.

— Jeżeli tedy wstrzymujesz się pan od spełnienia żądania tej pani przez wzgląd na mnie, nie rób sobie proszę żadnej subiekty. Wiesz pan przecie że i bez tego nie będę już pracował u pana dłużej nad parę tygodni, mam pewność bowiem że w tym czasie otrzymam posadę w biurze budowniczego miasta Warszawy... Mówił to z trochę ironji i z zupełną niedbałością. Znac w nim było człowieka, dla którego sklep jubilera był tylko stacją na drodze ku miejscu wyższemu i zyskowniejszemu.

— Tak, tak, rzekł jubiler, wiem o tem że pan opuścisz mnie wkrótce... ależ nie mogę przecie...

— Ile pan płacisz temu panu? wpadła mu w mowę Marta.

Jubiler wymienił cyfrę zapłaty jaką codziennie udzielał ufryzowanemu młodzieńcowi.

— Poprzestaną na połowie zapłaty tej, rzekła kobieta. Tym razem jubiler obydwoma już dłońmi potarł czuprynę.

— Aj! aj! zawołał przechodząc od jednego stołu

do drugiego, toż mi pani dopiero klina wbijasz w głowę. Spojrzał mimochodem na wyrysowany przez Martę wzór bransolety.

— Ładnie! nie ma co mówić! bardzo ładnie!

— Aj! aj! powtórzyła sprytnie oczy jego biegały niespokojnie po sklepie. Widocznie, walczył z sobą, czy i walczyły w nim chęci posiadania dobrej i bardzo taniej pracownicy z obawą wprowadzenia do zakładu niebywalej dotąd nowości.

Stanął na środku sklepu i patrząc na swych pomocników wymówił pytającym tonem. — Ha? co?

Prawdopodobnie lakoniczne pytania te zadawał samemu sobie, ale niby z widomą odpowiedzią, spotkał się oko w oko z czterema twarzami siedzących przy stole robotników. Na twarzach tych malowało się trochę zdziwienia ale daleko więcej szyderstwa. Co zaś do młodzieńca z ufryzowanemi włosami, ten zaśmiał się prawie głośno i jakby w intencji wyśmiania się do woli, cofnął się z poskokiem do sąsiedniego pokoju. Czego ludzie ci uśmiechali się i śmiali?

Trudno by na to odpowiedzieć a raczej długoby o tem mówić. Jubiler wszakże w uśmiechach tych znalazł znać potwierdzenie obaw swych i wstrętów. Obu rękami uczynił gest wyrazisty i patrząc na Martę zawołał.

— Ależ pani dobrodziejko! pani dobrodziejka jesteś kobietą!

Wykrzyk ten był w zupełności dobrodusznym.

Zadźwiewał w nim nawet żal przemysłowca, który dla względów nie obchodzących go bezpośrednio tracił dobry interes.

Marta uśmiechnęła się.

— Jestem kobietą, rzekła, tak, to prawda. I cóż ztąd? Umiem rysować wzory...

— No tak! tak! tracę czuprynę i siadając pomiędzy pomocnikami swymi zawołał jubiler, ale widzisz pani byłaby to rzecz nowa, całkiem nowa... ja przyznam się nie bardzo lubię wszelkich nowości!... Jak pani widzisz, pracują tu u mnie młodzi ludzie... świat jest złośliwy... rozumiesz pani?

— Rozumiem, przerwała Marta, i dziękuję panu za objaśnienia, które nie są dla mnie żadną nowością. Czy nabywasz pan moją obrączkę?

— Nabywam, pani dobrodziejko, nabywam... Zerwał się z krzesła, pobiegł do innego stołu, wysunął szufladkę i stał nad nią przez chwilę trochę zamyślony.

— Oto są pieniądze. rzekł podając kobiecie dwie assygnaty.

Marta skinęła głową i zmierzała ku drzwiom. Od progu już zwróciła się twarzą ku jubilerowi.

— Mówiłeś mi pan że obrączka moja warta rub. sr. 3 i pół a dałeś mi 4. Otrzymałam tedy pół rubla nadto.

— Ależ pani dobrodziejko, wyjąkał jubiler, myślałem... sądziłem... chciałem... pani dobrodziejka wyrysowałaś mi wzór...

— Rozumiem, przerwała Marta, i dziękuję panu! Któryż to już raz od czasu gdy od drzwi do drzwi ludzkich ciągać poczęła biedę swą i gwałtowne potrzeby, w zamian żądanej pracy otrzymała jałmużnę?

Marta opuściwszy sklep jubilera nie płakała, nie przyspieszała i nie zwalniała kroku.

Bez łzy, bez uśmiechu i bez westchnienia szła prosto ku swemu mieszkaniu krokiem równym, wciąż jednostajnym.

Przed godziną myślała że po otrzymaniu pieniędzy za sprzedaną obrączkę, kupi dziś jeszcze drzewa dla lepszego ogrzania na noc izby, wiktuałów dla sporządzenia dziecku posilnej potrawy. Nie spełniła jednak tych zamiarów swoich, nie poszła do sklepiku z wiktuałami, możnaby rzec, że albo zapomniała o wszystkim na świecie, albo nie miała siły zejść dalej lub odwagi pójść gdzieindziej, jak tylko do tej wysoko wzniesionej, nagiej i zimnej nory która była jej mieszkaniem. Do dnia tego ile razy wracała do domu, biegła zawsze śpiesznie po wschodach, teraz wstępowała na nie powoli, parę razy spotknęła się o stromy stopień nie widząc go wśród zapadającego zmroku, lub nie widząc nic przed sobą. Niema i zimna jak grób weszła do izby, przelotne tylko spojrzenie rzuciła na skurczoną przed kominem dziewczynkę, nieprzemówiła do niej, zdjęła z głowy chustkę i przystąpiła do leżącego na ziemi pośłania. Oczy jej szklanno patrzyły w przestrzeń. Wyrzutek społeczeństwa! szepnęła, osunęła się na

ziemię i legła nieruchoma, z twarzą ukrytą w poduszkę, z rękami splecionemi nad głową. Jancia przypelzła raczej niż przyszła ku miejscu na którem spoczęła milcząca jej matka, usiadła u nóg postania, chudemi zziębniętymi ramionami otoczyła swe podniesione kolana i oparła na nich ciężką, widocznie małą główkę.

Milczenie głębokie zalegało izbę, tylko za oknem nisko, na szerokiej przestrzeni szumiało i gwarzyło wielkie miasto, głucho, falujące odgłosy swych gwarów posyłając w to miejsce w którym opuszczone zda się przez Boga i ludzi kamieniały w objęciach niedo. i i zwolna wyziewały ducha—kobieta i dziecko.

Marta leżała na twardej pościeli, w nieruchomości kamiennej, bez żadnej myśli w głowie, bez żadnego innego uczucia iak śmiertelne z mordowanie. Praca umiejętnie podejmowana i sprawiedliwie wynadgradzana jest najdzielniejszym, jedynie może dzielnym higienicznym środkiem przeciw chorobom ciała i ducha. Ale nie tak szybko i do dna nie wyczerpuje sił fizycznych i moralnych, jak rzucanie się na różne drogi pracy, gorączkowe szukanie jej i rozpaczne nie znajdowanie.

Marta nie widziała już teraz przed sobą żadnej drogi. Była wprawdzie jedna, zawsze dla niej otwarta ale ta zaprowadziłaby ją tam, do owego mieszkania przy Królewskiej ulicy i kazałaby jej kobiecie owej ze zwiędłym czołem i rozwianemi włosami powiedzieć; wracam! mówiłaś prawdę! nie jestem

człowiekiem, jestem rzeczą! Ale w piersi młodej kobiety były instynkty, uczucia, wspomnienia, które ją od drogi tej odwracały, które ją dla niej uniemożliwiały. Nie myślała też o niej tak jak nie myślała w tej chwili o niczem. Nagle usłyszała jakby przez sen chrapliwy, zanoszący się kaszel. Odgłos ten wstrząsnął ją dreszczem i w jednym oka mgnienia wyrwał z kamiennej nieruchomości. Zerwała się na posłaniu i usiadła wyprostowana.

— Czy to ty kaszlałaś, Janciu?

— Ja, mamó!

Głos matki był drżący i zdławiony, dziecka cichy i chrapliwy.

Porwała dziecię na ręce i posadziła je na swych kolanach. Dłonią dotknęła czoła, które gorzało, przyłożyła rękę do piersi, w której dziecięce serduszko uderzało mocą spazmatyczną, rozrywającą,

— O! mój Boże! jęknęła kobieta, tylko nie to! wszystko już, wszystko, tylko nie to!

W głębokim zmroku nie mogła wyraźnie dojrzeć twarzy córki. Zapaliła małą lampkę i czteroletnią dziewczynkę jak drobne niemowlę unosząc w ramionach, wystawiła głowę jej na światło. Na policzkach dziecięcia leżały czerwone piętna gorączki, rozszerzone źrenice patrzyły z głęboką, choć niemą skargą. Zakaszłała poraz drugi i w zniemożeniu pochyliła ciężką główkę na ramię matki.

O północy z wysokich wschodów kamienicy zbiegała kobieta w czarnej chustce na głowie. Zupełna

prawie ciemność panowała wkoło niej a jednak nie chwiała się ona jak przed kilku godzinami, nie spotykała się o strome stopnie i nie stawała śród drogi dla nabrania oddechu. Możliwyby rzec, że miała skrzydła u ramion i nie byłaby to wcale metafora próżna. Niosły ją w istocie i nad ziemią prawie podnosiły boleść i przestrasz.

W niespełna pół godziny wracała, ale nie sama.

Szedł z nią dość młody jeszcze mężczyzna, w kapeluszu i dostatniem futrze. Weszli do izby i oboje przybliżyli się do leżącego na ziemi posłania. Dziecię z rumianą od gorączki twarzą rzucało się na niem w pół nie przerywanym kaszlem i niewyraźnymi skargami.

Lekarz obejrzał się za krzesłem zapewne. Nie ujrawszy go przyklęknął na ziemi. Kobieta stała u nóg posłania, niema i nieruchoma z ponurym ogniem w oczach.

— Jak tu zimno! rzekł powstając mężczyzna.

Kobieta nic nie odpowiedziała.

— Na czemże pisać będę?

Na oknie stała flaszka z atramentem. leżały pióro i arkusz papieru. Lekarz zgięty na wpół zapisał receptę.

— Dziecko ma zapalenie kanału oddechowego, inaczej *bronchit*. Ogrzej pani izbę i lekarstwo dawaj pilnie.

Powiedział jeszcze słów kilka i podjął z ziemi kapelusz.

Kobieta sięgnęła do kieszeni i w milczeniu podała mu rękę z pieniądzem w dłoni. Lekarz raz jeszcze szybkie spojrzenie rzucił dokoła i nie wyciągnął swej ręki.

— Nie trzeba, rzekł już przy progu, nie trzeba! Dziecko słabe jest i wyniszczone. Choroba będzie długa i lekarstwa zapewne liczne. Jutro przyjdę.

Odszedł. Wdowa upadła na kolana przed niskim posłaniem, przyłgnęła piersią do piersi dziecięcej.

— O moje dziecko! jedyne dziecko moje, szeptała, przebacz twej matce, przebacz! Nie potrafiłam ogrzać cię i wyżywić, dałam cię na pastwę zimnu i głodowi! Jesteś słaba, wyniszczona... jesteś chora... o dziecko moje...

Zsunęła się bezwładnie z pościeli, czołem uderzyła o ziemię, ręce zatopiła we włosach. O jakam ja nikczemna, niegodziwa, występna!

W godzinę potem przyniesione już z miasta lekarstwo stało obok chorego dziecka, równo ze świtem i otworzeniem się sklepików z wiktuałami, obfity ogień palił się na kominie i napelniał izbę orzeźwiającem ciepłem.

Sprawdziły się słowa lekarza. Choroba Janci trwała długo. Lekarz powtarzający odwiedziny swe co dzień przyszedł już po raz dziesiąty. Dziecko zagrożonem było jeszcze w silnej gorączce; mozolny i chrapliwy oddech jego podobny do zgrzytu piły rozlegał się po podłodze.

Marta stała znowu niema i nieruchoma u nóg posłania. Lekarz zwrócił się do niej.

— Nie trać pani nadziei, rzekł łagodnie, dziecko może wyzdrowieć ale teraz szczególnie, dziś, jutro trzeba mu starań wyjątkowo pilnych. Dziś jest tu znowu za chłodno. Temperatura powinna być ogrzaną, przynajmniej o sześć stopni więcej. Lekarstwo zaś które przepisałem przynieś pani jak najprędzej i dawaj je dziecku przez noc całą bez przerwy. Jest może trochę zadrogiem ale już—jedynem...

Odszedł. Marta stała na środku izby ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Ogrzać temperaturę izby! czem? kupić lekarstwo! za co?

Nie miała już w kieszeni ani grosza. W pierwszym dniu choroby dziecka posiadała 4 ruble i parę złotych, skarb ten pożarł komin, w którym ogień palił się co dnia i aptekarska retorta, do której Marta przybiegała kilka razy na dobę.

Nie targała już teraz włosów swych, nie padała na ziemię i nie uderzała się w piersi z bezdenną pokorą. Była zaledwie cieniem dawnej Marty. Wy-chudła i zżółkła twarz jej powlekała się wyrazem cierpienia, które stawszy się normalnym stanem ducha, przeniknąwszy sobą, najdrobniejsze fibry ciała, wrzało w piersi i w głowie głucho i niemo ale nieustannie. Zsiniałe wargi kobiety ściśnięte były silnie, jak u kogoś kto nawykł za zwartemi zębami

powstrzymywać jęki i okrzyki, zagasłe źrenice jej szklannem spojrzeniem obiegały dokoła izbę.

Może było co jeszcze do sprzedania?

Nie, nie nie było prócz poduszki, na której wspierała się głowa chorego dziecka, wełnianego okrycia pod którym dyszała pierś jego ochrypła, dwóch koszulek i starych sukienek dziecięcych, za które nikt nie da tyle nawet ile za więź drzewa zapłacić trzeba. Kobieta bezwładnie opuściła ręce.—Cóż ja uczynię? szepnęła, coż uczynić mogę? niech umiera! położę się przy niej i umrę z nią, razem!

W tej chwili dziecię rzuciło się na posłaniu i wydało słaby okrzyk. W okrzyku tym zabrzmiał jakby śmiech radości i niewyraźny jęk żalu.

— Ojcze! zawołało dziecię wyciągając w powietrzu obie ręce chude i rozpalone. Ojcze! Ojcze!

O boleści! mordercza, gorączka przyniosła przed oczy dziecięcia obraz jego Ojca, uśmiechnęło się ono do niego, zajęczało przed nim skargą i zawołało o ratunek!

Marta podniosła schyloną przed tem głowę, do oczu jej przed chwilą suchych i zgasłych z nagłym gwałtem rzuciły się łzy. Załamała dłonie i przez szklistą, osłonę utkwila wzrok w twarzy dziecięcia.

— Przyzywasz Ojca, wyszeptala ze wzdętej i falującej piersi, on by ci pewno mógł przynieść ratunek!

On zapracowałby dla ciebie na ciepło i pożywienie wprzód, na lekarstwo teraz ...

Stała chwilę i myślała. Nagle rzuciła się ku posłaniu i stanęła nad niem.

— Ach! zawołała, i ja także nie pozostawię cię bez ratunku! Ojciec pracowałby dla ciebie... Matka — pójdzie żebrać!

Plomienny rumieniec okrył zżółkłe jej policzki, w oczach zapłonął ogień silnego postanowienia.

Zarzuciła na głowę czarną chustkę i zbiegła na dół do mieszkania stróża. Tam przed ogniem przy którym gotowała się strawa siedziała kobieta w wielkim czepcu i grubym obuwiu. Marta stanęła przed nią zdyszana biegiem.

— Pani! zawołała, przez litość... przez miłosierdzie...

— Pewno pieniędzy! fuknęła kobieta, nie mam nie mam, skąd ja ich tam mieć mogę..

— Nie, nie, nie pieniędzy! pójde po nie do miasta! posiedź pani tymczasem przy mojem chorem dziecku!

Kobieta skrzywiła się choć nie tak gniewnie jak wprzódy.

— Abo to ja mam czas siedzieć przy Acani chorem dziecku...

Matka pochyliła się, pochwyciła wielką, grubą, twardą rękę kobiety i przyłożyła ją do ust.

— Przez litość pani, przez miłosierdzie posiedź przy niej... ciągle pić chce... rzuca się i zrywa nie można dziś zostawić ją samą...

Całowała tę rękę która niedawno jeszcze zadawała razy ciału jej dziecka.

— No, no, co tam Acani robisz! pójdę już pójdę i posiedzę, tylko nie baw się długo bo za godzinę dziecko mi przyjdzie ze szkoły i muszę je nakarmić!..

Ciemna postać kobiety mknęła wśród zmroku pod sklepioną bramą kamienicy.

— Pójdę... wyciągnę rękę... wyżebrzę... szeptała do siebie Marta. Wybiegła na ulicę, stanęła, pomyślała jeszcze chwilę i popędziła w kierunku Ś-to-Jerskiej ulicy. Płomieniste skrzydła z których jednym była boleść, drugim przestрах niosły ją znowu z szybkością zadziwiającą. Ślepa, głucha, nie czująca potrażeń przechodniów, nie zważająca na ich sarkania i oglądania się, jak błyskawica przerzynała zachodzące jej drogę tłumy ludności i mknęła chodnikami ku miejscu, w którym była jedna ze spotkanych przez nią rąk litościwych. Stanęła nakoniec przed bramą, do której niegdyś wchodziła z radością, nadzieją, dumą, odetchnęła głęboko, wstąpiła szybko po oświetlonych wschodach i trzęsącą się ręką dotknęła rączki elektrycznego dzwonka. Drzwi otworzyły się, młoda, ustrojona, fertyczna służąca stanęła w progu, zarazem fala światła rzuciła się w oczy i fala gwaru złożonego z głosów ludzkich uderzyła słuch przybywającej kobiety. Przedpokój obficie był oświetlony, za drzwiami prowadzącymi do salonu szemrało, gwarzyło, śmiało się kalkanaście, kilkadziesiąt może głosów ludzkich.

— Czego pani życzy sobie? zapytała służąca.

— Mam interes do pani Rudzińskiej.

— O! to chyba niech pani jutro przyjdzie. Dziś u moich państwa tygodniowy wieczór; goście tylko co się zebrali, pani moja nie może wyjść z salonu...

Marta cofnęła się na wschody. Służąca drzwi za nią zamknęła. Za drzwiami temi mieszkała istotnie dobra, szczerze miłosierna kobieta. Litościwa ręka jej nie mogła przecież w tej chwili otworzyć się dla Marty. I było to rzeczą bardzo naturalną. Litościwe ręce posiadają w sobie w ogóle okrótny żywioł niepewności. Najlepszy bowiem człowiek nie może każdej chwili życia swego poświęcić dobrym uczynom. Nietylko zatrudnienia pilne i troski osobiste ale bezwinne zkadinańd, obowiązkowe, nawet niekiedy towarzyskie zajęcia ku innym celom i czynnościom zwracają litościwą rękę, nie pozwalając aby dla biedy ludzkiej była bezzasadną opoką.

Marta szła teraz, biegła raczej ku Krakowskiemu Przedmieściu. Miała zapewne na myśli dobroczynnego księgarza. Zaledwie przecież stanęła przed drzwiami księgarni i spojrzęła przez szyby cofnęła się na chodnik. Zobaczyła w księgarni kilka osób, parę pań wystrojonych, dwóch mężczyzn z wesołemi twarzami, którzy wybierali i kupowali książki.

Było to pomiędzy godziną wieczorną, siódmą i ósmą, a więc w porze w której wewnątrz i zewnątrz wielkie miasto wre najzawrotniejszym ruchem, jaśnieje najbogatszym strojem, do nieskończoności prawie mnoży w sobie zjawiska cywilizacji, które obejmują w posiadanie swe wnętrza gmachów i szlaki ulic, szerokie przestrzenie zalewają rzesistem światłem, muzyką, tłumami, gwarem. Życie wieczorne to połowa życia, większa może dla ludności grodu na którego niebie przez długie miesiące słońce kilka zaledwie godzin jaśnieje codziennie.

Krakowskie Przedmieście wrzało ruchem, kipiło życiem i pośpiechem, któremu sprzyjała pogoda wieczoru. Drobnym śnieżek marmocowy spadł na zmarzniętą jeszcze ziemię i oczyścił niebo z białawych obłoków. Teraz namiot niebieski rozciągał się nad miastem, głęboki, ciemny, gwiazdzisty.

Nieustanny turkot kół niby grzmot nieskończony biegł środkiem szerokiej ulicy. Na chodnikach falowało tysiące głów ludzkich. Widno tam było tak prawie jak w dzień, bo prócz rozsianych gęsto gazowych latarni, mnogie okna magazynów rzuciły na szeroką przestrzeń powódzie światła.

Na chodnikach głównych ulic Warszawy nigdy nie bywa tak tłumnio jak w tej właśnie porze. Jest to bowiem pora i pracowitych i próżniaków. Pracownicy śpieszą ku spoczynkowi lub rozrywce, próżniacy lubują się właściwymi sobie żywiołami: wrzawą, w którą, wsłuchując się bezmyślnie, rozmaitością

widoków na które się gapia, blaskiem pieszczącym zmysł ich wzroku, a może i tajemniczym półcieniem wieczoru. W biegnącym tym, śpieszącym, gwarzącym tłumie znajduje się zapewne wiele dusz litościwych, ale dusze te czem innem teraz niż litowaniem się zajęte. Pochwycił je wir świata, dzień kończący się wezwał do pośpiechu; zabawy, interesa, uczucia w tej porze porwały wyobraźnię, zajęły myśli, dały cel pośpiesznym krokom. Oprócz tego przy świetle sztucznem mniej wyraźnie niż przy dziennem występują bruzdy na twarz cierpiącego, w zagasłych źrenicach przegładają się promienie lamp naśladując blaski zdrowia i życia, turkot i wrzawa głuszą głosy zmęczonych piersi. Litościwie zaś dusze i ręce zatrzymują się tam nadewszystko i najdłużej gdzie szkieleł nędzy najgłośniej dzwoni nagiemi kośćmi, najstraszniej spogląda trupiemi oczami.

Od kwadransa już Marta była na Krak.-Przedmieściu.

Od kwadransa? od roku, od wieku, od początku czasów!

Nie biegła już teraz ale szła powoli, sztywna niema, z nieruchomą twarzą i oczami szklannem wejrzaniem sunącemi po twarzach przechodniów.

Płomieniste skrzydła, które godzinę temu miała u ramion opadły, czuła się ogarniętą, znowu śmiertelnem z mordowaniem. Szła jednak, po smugach światłości, w półmroku, przed nią, nad nią, obok niej, pomiędzy gwiazdami nieba i twarzami ludzkie-

mi na ziemi unosiła się i z milczącą skargą patrzyła na nią twarz jej dziecka. Szła; bo na widok ludzi w głowie jej poraz pierwszy wyraźnie ozwała się myśl obwiniająca. Żal do ludzi zawrzał w jej piersi wszystkimi łzami, które w niej skrzepliły a teraz przemieniały się zwolna w kipiący wrzątek. Po raz pierwszy myślała że ludzie to winni są bezbrzeżnej jej niedoli, że *powinni* oni dźwignąć ciężar życia jej i jej dziecka. W tej chwili zagasło w niej do szczętu uczucie osobistej odpowiedzialności. Czowała się słabą jak dziecko, bezsilną i znużoną jak istota konająca.

— Ci silni, myślała, ci umiejętni, ci szczęśliwi niech dzielą się tem co im daje świat ze mną, której on nic dać niechciał.

A jednak nie wyciągnęła jeszcze ręki ani razu.

Za każdym razem gdy rozmijała się z jaką lekką, zgrabną, strojną postacią kobietą, wyjmowała rękę z za fałd swej grubej chusty, ale jej nie wyciągała, otwierała usta, ale nic nie wymawiała. Zesłabły głos jej cofał się ze strachem przed wrzawą uliczną, w której utonąłby musiał nieusłyszany, w rękę uderzała moc niewidzialna i w dół ją rzucała.

Byłaż to jeszcze moc wstydu?

A jednak jęczało tam ono, biedne chore dziecko ubogiej kobiety, rzucało się na swej twardej pościeli i spalonemi gorączką ustami, piersią ochryplą i zamierającą wzywało Ojca!

Dwie panie w aksamitnych okryciach, wspierając

się wzajem o siebie szły pośpiesznie i rozmawiały wesoło. Jedna z nich, młoda była i piękna jak anioł.

Marta stanęła na ich drodze.

— Pani! wymówiła, pani!

Głos jej był cichy, ale nie jękliwy. Nie umiała dostroić go, nie myślała może o tem aby go dostrajać do tonów żebractwa. To też idące panie znaczenia wykrzyku jej nie zrozumiały. W pośpiechu minęły ją o parę kroków, lecz potem przystanąły a jedna z nich odwracając głowę zapytała: A co tam takiego, moja pani? czyśmy co zgubiły?

Nie było odpowiedzi bo Marta zwróciła się w stronę przeciwną i poszła dalej tak szybko jakby uciec chciała i od tych kobiet i od tego miejsca na którem do nich wołała.

Zwolniła kroku, na zółkłe, zwiędłe, zapadłe jej policzki występować zaczęły krwiste plamy rumieńców. Były to piętna palącej pierś jej gorączki. W zagasłych źrenicach migotały ostre, przeszywające błyski. Była to łuna tego pożaru ciemnych myśli który obejmował jej głowę.

Zwolniła kroku, przystanąła znowu. Chodnikiem szedł mężczyzna zgarbiony trochę pod ciężarem, zbyt dużym dlań pewno, dostatniego futra. Marta wzrok przenikliwy zapuściła w twarz przechodnia. Dobroduszną była ona, łagodną, ozdobioną bujnym jak mleko białym wąsem.

Wyjęła znowu rękę z za grubych fałd chusty nie

wyciągając jej jednak głośniejszą jak wprzód wymówiła. Panie! panie!

Mężczyzna miał już ją minąć, zatrzymał się przecież nagle, spojrzął w twarz kobiety na którą padał blask lamp z za szerokiego okna, zrozumiał czego chciała. Zapusił rękę w kieszeń surduta, wyjął z niej małą sakiewkę, zdawał się szukać czegoś pomiędzy drobną monetą, znalazł czego szukał, wcisnął w dłoń kobiety mały pieniążek i odszedł. Marta spojrziała na otrzymany datek i zaśmiała się głucho. Wyżebrała dziesięć groszy.

Siwy, zgarbiony przechodzień miał litościwą rękę. Mógłże przecież wiedzieć jakimi były potrzeby wzywającej go o pomoc kobiety, a gdyby o nich wiedział chciałżeby, mógłżeby zadość im uczynić? A ileż razy żebrzącej kobiecie przyjdzie dłoń wyciągnąć nim z datków podobnych utworzy się najwyższe teraz dla niej bogactwo—wiązka drzewa, flaszka lekarstwa?

Żebrząca kobieta szła dalej, sztywna, niema, z drobnym pieniążkiem w ściśniętej kurczowo dłoni. Stała znów. Nie na przechodniów patrzyła teraz ale zapuszczała wzrok za przezroczyście, szerokie, rozpalone światłem okno. Było to okno sklepu który przy oświetleniu sztucznem miał pozór czarodziejskiego pałacu.

Przyozdabiały go w głębi marmurowe filary, wśród nich zwieszały się bogate zwoje purpurowych firanek, rozwieszono po ścianach wzorzyste kobierce

pieściły wzrok barwami róż i zielenią trawy, na tle ich bieląły rzeźbione kształty posągów. Na brązowych podstawach gałęziste ramiona rozwijały tam złotem błyszczące świeczniki, wznosiły się srebrne wazy i puławy, porcelanowe kosze i kryształowe dzwony przykrywające grupy marmurowych posągów. Nie na te wszystkie przecież piękności i bogactwa zwracało się czarne, rozpalone oko spoglądające z ulicy we wnętrze sklepu.

Przed długim palisandrowym stołem, zawieszonym niby wieńcami olbrzymiego kwiecia szlakami puszystych i wzorzystych kobierców, stali dwaj ludzie. Jeden z nich był sprzedającym, drugi kupującym. Rozmawiali z ożywieniem, sprzedający miał twarz rozjaśnioną, kupujący zamyśloną i nieco zafrasowaną, wyborem pewno jaki mu czynić przychodziło pomiędzy przedmiotami z których każdy był arcydziełem przemysłu i smaku.

Oszklone drzwi otworzyły się powoli, do bogatego sklepu weszła kobieta z szeroką białą taśmą u dołu czarnej sukni, w czarnej wielkiej chuście przykrywającej głowę i skrzyżowanej na piersi. Żółkłe i pomarszczone czoło tej kobiety na wpół było zarzucone potarganemi, z pod chustki wydobywającemi się włosami; na policzkach leżały ciemne rumieńce, usta za to białe były prawie jak papier.

Na odgłos jaki wydały otwierające drzwi dwaj mężczyźni spojrzeli w stronę wchodzącej. Ona stanęła u drzwi, w pobliżu konsoli z marmurową pły-

tą stojącej poniżej wielkiego zwierciadła. Do tego przybytku bogactwa wsunęła się jak widmo i jak widmo stała pod ścianą nieruchoma, niema.

— Czego pani życzysz sobie? zapytał kupiec przechylając nieco głowę i z za bukietu sztucznych kwiatów spoglądając na ciemną, nieruchomą postać.

Ale ona nie patrzyła na niego. Wlepiła oczy w twarz kupującego pana, który z bogatym futrem niedbale zawieszonem na ramionach, z białą ręką złożoną na wzorzystym kobiercu, spoglądał na nią roztargnionym wzrokiem.

— Czego pani sobie życzysz? pytanie swe powtórzył kupiec, długim spojrzeniem od stóp do głowy okrył ciemną postać i dodał surowiej.

— Czemu pani nie odpowiadasz?

Ona patrzyła wciąż na mężczyznę w bogatym futrze.

Możnaby rzec że w piersi jej była ręka jakaś okrutna, szarpiąca, a głowę obejmowały płomienie, bo oddech jej stawał się coraz szybszym a policzki i czoło zachodziły ciemną barwą purpury. Nagle wyjęła rękę z za fałd chusty i wyciągnęła ją nieco przed siebie. Usta jej zsiniały, drżące otwierały się i zamykały kilka razy.

— Panie! wymówiła nakoniec, dobry panie! na lekarstwo dla mego chorego dziecka!

Ręka jej chuda i zziębnieta trzęsła się jak liść osiny, w przeszywającym jej głosie brzmiały już przeciągłe i żałosne dźwięki żebracze.

Mężczyzna w bogatym futrze popatrzył na nią, chwilę i wzruszył lekko ramionami.

— Moja pani! rzekł sucho; czy nie wstydzisz się zebrać? Jesteś młoda i zdrowa, możesz pracować!

Wyrzekłszy to zwrócił się ku palissandrowemu stołowi na którym leżały kobierce i stały srebrne kosze.

Kupiec z uśmiechem na ustach rozwijał jeden jeszcze kobierzec. Ciągnęli dalej przerwana rozmowę.

Ciemna postać kobieca stała wciąż u drzwi jakby zakłęła ją siła jakaś złowroga i niezmierzona. Złowrogo też w istocie wyglądała w tej chwili twarz jej i postać. Słowa które usłyszała były kroplą przepelniającą tę czarę jadowitych wpływów z której piła od tak dawna. Kropla ta spadła w głąb jej piersi z siłą narkotyku wyprężającego nerwy, oślepiającego myśl, ogłuszającego sumienie. Możesz pracować! czyż człowiek który wyrzekł te słowa mógł choćby w części wiedzieć jakie znaczenie sztyderskie, niemiłosierne posiadały one w stosunku do tej kobiety, która zmordowała śmiertelnie ducha, s terała siły ciała w nadaremnych próbach pracowania? która utraciła szacunek dla samej siebie, przed samą sobą rozsypała się w proch nikczemny dla tego że pracować nie mogła? Człowiek ten nie mógł wiedzieć o tem. Postępek jego z tą kobietą nie mógł służyć złem świadectwem o mierze dobroci

i litości zawartej w jego sercu. Bardzo być może iż był dobrym i litościwym, iż otwarłby dłoń hojną przed bezzsilnem kalectwem, zgrzybiałą starością, obalającą chorobą. Ale kobieta która wyciągnęła ku niemu rękę żebrzącą była młoda i nie dotknięta fizycznem kalectwem żadnem, choroba nie wybiła się na jej zewnętrzną widzialność dla wszystkich znakami.

O moralnem zaś jej kalectwie, które przywiodło ją przed niego, o trawiącej gorączce która od tak dawna paliła pierś jej stopniowo, w proch i zgliszczą zamieniając najlepsze uczucia człowiecze, obejmowała głowę jej napelniając ją coraz gęstszym duszącym dymem ciemnych trujących myśli, on nie wiedział. Nie wiedział a więc wyrzekł: jesteś młoda i zdr owa, możesz pracować! Słowami temi wypowiedział rzecz całkiem słuszną a jednak zarazem bezwiednie popełniał niesprawiedliwość okrutną.

Przed kilku miesiącami, przed parą jeszcze tygodniami może Marta pojęłaby wszystko co było słusznem i prawdziwem w zwróconych ku niej słowach mężczyzny. Ale bo też wtedy jeśliby stanęła przed nim wołałaby o pracę, o nic więcej tylko o pracę; teraz błagała jałmużny, teraz w słowach usłyszanym nie usłyszała nic prócz szyderczej niesprawiedliwości.

Płomienne rumieńce które miała na twarzy i czołe gdy wyciągnęła rękę, zniknęły bez śladu. Śród śmiertelnej bladeści jaką pokryły się jej rysy, zapa-

dłe źrenice, czarne i głębokie jak otchłani palily się jak wulkany. Wulkan też wybuchnął w piersi jej podnoszącej się i upadającej gwałtownie, wulkan gniewu, zawiści i — pożądliwości.

Gniewu zawiści, pożądliwości? Możeż to być aby Marta, to dziecię cichej, uroczej zagrody wiejskiej, ta niegdyś szanowana małżonka, szczęśliwa matka, ta prawa istota która za cenę życia spełniać nie chciała pracy do której nie czuła się zdolną, aby ta energiczna robotnica w pocie oblicza i boleści serca szukająca po wszystkich drogach ziemi uczciwego kawałka chleba, aby ta dumna dusza wyciągająca niegdyś dłonie do Boga z błaganiem aby usunął od niej dolę żebraczą, stać się mogła pastwą tych okrutnych, piekielnych, w piekło złych żądź i czynów wiodących uczuć?

A jednak mogło tak być: niestety! niestety! nie tylko mogło ale musiało, musiało mocą niezłomnej, wiekuiście loicznej i w loiczości swej niezem na ziemi zmącić się nie dającej natury człowieczej. Ona nie była bezcielesnym aniołem, nie była napowietrznym ideałem, którego nie dotykają i nie obalają podmuchy wichrów ziemskich, dla tego że go nie ma na ziemi. Ona była człowiekiem a w naturze człowieczej jeżeli są szczyty wyniosłe na których rozwijają się rozum, cnoty, poświęcenia, bohaterstwa, są także i dna przepaściste z przyczajonemi w ciszy i milczeniu gadami groźnych pokus i ciemnych instynktów. Nie należy żadnej istoty ludzkiej

mordować tak śmiertelnie, wstrząsać tak gwałtownie aby poruszyć się w niej mogło to dno tajemnicze, z zacząjonemi na niem w milczeniu zadatkami występków. W naturze człowieczej są potęgi olbrzymie ale są także bezmiary niemożności. Należy każdą istotę ludzką obdarzać miarą praw i oręży ściśle odpowiednią mierze ciążących nad nią obowiązków i odpowiedzialności, inaczej bowiem nie uczyni ona, nie przetrwa tego, nie ostoi się przed tem co uczynić i przetrwać, przed czem ostać się nie będzie mogła.

Trująca gorycz od tak dawna kropla po kropli zbierająca się w piersi Marty, podniosła się w niej teraz ogromną falą, a wraz z nią wypłynęły śpiące dawniej głęboko, budzące się potem stopniowo, obudzone teraz całkiem i wściekle miotające się gady pokus i węże namiętności.

Młody pan w bogatym futrze wybierał kobierce, kosze srebrne, porcelanowe wazony i mamrurowe posążki. Kupował wiele, myślał zapewne o urządzeniu pięknego domu do którego może wprowadzić miał młodą żonę.

On i kupiec pochłonięci byli swem wspólnem zajęciem, zapominali o kobiecie w nieruchomości kamiennej i ciszy grobowej stojącej pod ścianą. Ona nie odrywała oczu od ręki kupującego, trzymającej duży gruby pugilares napelniony pieniędzmi. Czemu on ma tak wiele a ja nic nie mam? myślała. Jakiem prawem odmówił mi on jałmużny? mnie której dziec-

ko kona w chłodzie i bez ratunku, on który trzyma w dłoni tak wielkie bogactwo? On skłamał mówiąc że młoda i zdrowa! jestem więcej niż stara bo przeżyłam samą siebie. Alboż wiem gdzie się podziała dawna Marta? Jestem chora okropnie bo bezsilna jak dziecko... Dla czegoż ludzie wymagają abym żyła o własnej sile skoro mi jej nie dali? dla czego mi nie dali siły skoro jej teraz wymagają odemnie? On jest jednym z krzywdzicieli moich, jednym z dłużników! powinien dać!

Myśli kobiety tej były okropnie, bezrozumnie niesłuszne, a jednak zarazem i względnie do niej samej jakże konieczne, jakże zrozumiałe. Rodowodem ich były te same krzywdy, te same koleje, te same bezsilności z jednej strony a odpowiedzialności i potrzeby z innej, które zrodziły wszystkie szalone doktryny, wybuchające w świecie od czasu do czasu pożogą i mordami, wszystkie wściekłe namiętności, które powstałe z braku sprawiedliwości tracą same jej zmysł, i z krzywdy zrodzone zadają krzywdy.

— A więc, mówił pan kupujący, 300 złotych ko-bierzec a 500 te kosze, wazon porcelanowy 200 i.....

Wyjmował pieniądze aby należną summę wypłacić kapcowi, nagle zatrzymał się.

— A! zawołał, o mało nie zapomniałem! Miałeś mi pan dać tę grupę brązową i tamtą oto...

Kupiec poskoczył uśmiechnięty, usłużny.

— Czy tę? zapytał.

— Nie, tamtą, Niobe z dziećmi...

— Niobe? zdaje mi się że chciałeś pan Kupidyna z Wenerą?

— Być może; muszę przypatrzeć się im raz jeszcze.

Niedbałą ręką, nawykłą znać do rozrzucania bogactw, rzucił rozwartą pugilares na marmurową płytę konsoli, sam poszedł za kupcem w głąb sklepu, kędy na palissandrowych pułkach, pod kryształowemi dzwonami, stały mitologiczne z brązu lane lub z marmuru rzeźbione grupy posążków.

Pugilares niedbale rzucony roztworzył się szerzej, na marmurową płytę wypadło zeń kilka assygnat różnej wartości.

Na assygnaty te patrzyły rozpalone oczy stojącej pod ścianą kobiety. Jak pewne gatunki węzów na ptaki, tak różnobarwne papierki te wywierały na czarne przepaściste źrenice czar przykuwający.

Jakie myśli krążyły po głowie kobiety gdy patrzyła ona w ten sposób na cudze bogactwo? trudno wszystkie je zliczyć, trudniej jeszcze wyprąść z nich wątek równy. Nie były to myśli ale był to chaos; gorączka ciała zrodziła go, burza ducha wzmagała. Po dwóch sekundach takiego patrzenia, Marta drząc zaczęła na całym ciele, spuszczała powieki i wnet podnosiła je znowu, wyjmowała rękę z za fałd chusty i wnet ją chowała! walczyła znać jeszcze, ale niestety! nie było dla niej nadziei zwycięstwa! Nie było tej nadziei bo nie było już w niej dość siły aby oprzeć się mogła haniebnej pokusie; bo nie było już

w niej dość przytomnej myśli aby haniebnosc pokusy zrozumiec mogła; bo nie było już w niej sumienia, które utonęło w morzu goryczy zebranej w jej piersi; bo nie było już w niej wstydu odegnanego pogardą którą czuła dla samej siebie, długim szeregiem przenoszonych upokorzeń i po tylekroć przyjmowaną jałmużną.... Nie było dla niej nakoniec nadziei zwycięstwa, bo nie była ona przytomną, bo ciało jej paliła gorączka z głodu, zimna, bezsenności, łez i rozpacz powstała, a ducha porwały i oplątały ciemne fury z dna jej wzburzonej istoty wyłączone.

Nagle, kobieta uczyniła szybki ruch ręką; jeden z papierków zniknął z marmurowej płyty, zarazem drzwi szklane otworzyły się i zamknęły z gwałtownym trzaskiem.

Na ten silny i niespodziany odgłos, dwaj ludzie w głębi sklepu zajęci wybieraniem grup mitologicznych, odwrócili twarze.

— Co to było? zapytał pan kupujący.

Kupiec poskoczył na środek sklepu.

— To ta kobieta tak nagle wybiegła! zawołał, pewno ukradła cokolwiek.

Młody pan zbliżył się także ku drzwiom.

— W istocie, rzekł z uśmiechem spoglądając na marmurową płytę, ukradła mi trzyrublową assygnatę.

— Jedną tylko miałem taką a teraz nie ma jej tu...

— Ach, niegodziwa żebraczka! krzyknął kupiec,

jakto? w moim sklepie kradzież? tuż pod memi oczami? ach, bezczelna!

Przyskoczył do drzwi i otworzył je na oścież.

— Rewirowy! stojąc na progu krzyknął donośnym głosem, rewirowy!

— A czego pan życzy sobie? ozwał się głos z ulicy.

Żółta blacha błysnęła na piersi człowieka, który stanął na chodniku, pod strugą światła buchającego ze sklepu.

— Tam, rzekł kupiec dysząc z gniewu i palcem wskazując ulicę, tam pobięła kobieta która przed minutą ukradła w sklepie trzy ruble!

— A w którą stronę pobięła?

— W tamtą, rzekł przechodnień jakiś który słyszał słowa kupca, zatrzymał się przed sklepem i wskazywał w stronę Nowego Światu. Spotkałem ją, cała w czerni, leciała jak szalona nic nie widząc przed sobą, myślałem że waryatka!

— Trzeba ją schwytać! mówił kupiec do rewirowego.

— Naturalnie, proszę pana! zawołał człowiek z żółtą blachą, poskoczył naprzód i krzyknął donośnie.

— Hej! ludzie! łapajcie! tam, ku Nowemu światu pobięła złodziejka!

Drzwi sklepu zamknęły się, młody pan z uśmiechem wymawiał kupcowi, że dla tak małej straty jego tyle sobie zadał kłopotu.

Ulica zaś przedstawiała po kilku sekundach scenę gwarną i tłumną.

Jak błyskawica przerzyna chmury, tak kobieta ubrana w czerni przeszywała tłumy przechodniów, pędząc na oślep, zda się w stronę Nowego świata. Prawdopodobnie nie wiedziała ona w którą stronę biegła ani w którą biedz jej należało, była nieprzytomną, nawpół obłąkaną. W tej chwili resztą myśli świadomej siebie żałowała może iż popełniła czyn haniebny, ale już go popełniła i ogarniał ją przestraszony. Wiedziona instynktem zachowawczym uciekała od ludzi, a oni byli za nią, przed nią, wkoło niej, zdawało się jej zapewne że bieg szybki, ślepy, bezpamiętny, zanieśie ją kędy ich nie będzie...

Spotykający ją potracani przez nią przechodnie oglądali się za nią zrazu ze zdziwieniem lub przestraszem, usuwali się jej nawet z drogi przypuszczając w niej obłąkanie lub gwałtowną jakąś potrzebę pośpiechu. Wkrótce jednak rozległ się po ulicy wyraz: łapajcie! wnet za nim zabrzmiał inny: złodziejka!

Wyrazy te nie były wymówione jednym głosem, ale toczyły się z tej samej strony z której biegła kobieta, rzucane z ust do ust, wzrastające wciąż, przybierające mocy gwałtu, niby kule ogniste rzucone potężną ręką i toczące się wzdłuż drogi ze wzrastającym szumem. Kobieta, która zaczynała już tracić szybkość biegu i w zniemożeniu zatrzymała się była na sekundę, usłyszała goniące ją, złowrogie okrzyki.

Przylącał się do nich zarazem coraz rozgłośniejszy tentent nóg ludzkich, biegnących po kamieniach chodnika. Straszne drzenie wstrząsnęło ją od stóp do głowy, popędziła dalej z taką szybkością, jakby skrzydła miała u ramion. Miała je znowu w istocie, tylko że teraz żadne z nich nie było boleścią, oba wyrosły z przestachu.

Nagle, uczuła że biedz jej trudno nie dla tego aby sił jej nie stawało, wszak unosiły ją prawie nad ziemię skrzydła przestachu, ale dla tego, że ludzie idący w przeciwnym kierunku zaczęli zachodzić jej drogę, wyciągać ręce aby pochwycić jej suknię. Skrzydła jej stały się nie tylko już szybkie ale elastyczne, rzucały ją w rozmaite kierunki z zadziwiającą sprężystością i lekkością ruchów, unikała rąk przechodniów, ocierała się o nich, a jednak im umykała.

Tam jednak o kilka kroków nie pojedyncze już spotykają ją postacie ale idzie kilku razem ludzi i całą szerokość chodnika zalega, wyminąć ich niepodobna, raz znalazłszy się przed niemi będzie przez nich schwytaną.

Zeskoczyła z chodnika; na środku ulicy kół i kopyt końskich wiele, ale ludzi pieszo idących mniej da'eko, wcale prawie nie ma.

Biegła ulicą, wymijała teraz koła i kopyta końskie z tą samą zręcznością jak przedtem przechodniów. Ale w tej samej chwili gdy rzuciła się na środek ulicy, rzuciła się tam za nią ciemna masa złożona z goniących ją ludzi. Kim byli ludzie ci?

Na czele ruchomego orszaku połyskiwały żółte blachy; za niemi pędziła krzycząc i śmiejąc się gawiedź uliczna, zawsze skora do uczestniczenia w każdej scenie ruchliwej, za gawiedzią jeszcze ciągnęli wolniej nieco uliczni próżniacy, w każdym widoku tłumnym skorzy zawsze szukać dla siebie rozrywki.

Dorożki i powozy przerzedziły się nieco. Kobieta stanęła pośród ulicy i obejrzała się za siebie.

Kilkadziesiąt kroków oddzielało ją jeszcze od czarnej masy złożonej z postaci ludzkich, krzyczącej głosami ludzkimi. Stała parę sekund tylko i puściła się znowu prosto przed siebie. Wtedy i naprzeciw niej także ukazała się masa czarna, ruchoma, jak ta która była za nią, z innym tylko kształtem bo podłużna, wysoka, z wielkiem okiem płonącej u góry purpurowej latarni. Dzwonek srebrny, przezroczysty, donośny, zadźwięczał w powietrzu dźwięczał długo, przenikliwie, ostrzegająco, purpurowe oko szybko sunęło naprzód, ciężkie koła turkotwały głucho, kopyta końskie wydawały metaliczne odgłosy, uderzając o rozesłane na ziemi sztaby żelazne, po których toczyły się koła.

Był to olbrzymi omnibus kolei żelaznej ciągniętej czterema wielkimi dzielnymi końmi, napelniony ludźmi, obciążony pudowami brzemionami.

Kobieta biegła wciąż środkiem ulicy, za nią i przed nią biegły dwie masy czarne, jedna z krzykiem i pośniewiskiem, druga z przeciągłym dzwonkiem, głuchym turkotem i purpurowem ogromnem

okiem, sunęły one obie w prostym kierunku ku pędzącej pomiędzy nimi kobiecie. Jeżeli nie zeskoczy na bok jedna lub druga pochłonąć ją musi. Zboczyła z prostej linii, którą biegła dotąd, stanęła i obejrzała się.

Teraz goniący ją tłum ludzi był już o kilkanaście zaledwie kroków od niej, takąż przestrzeń dzieliła ją od toczącego się wciąż olbrzymiego wozu. Ale tłum biegł wolniej od wozu, który toczył się bardzo szybko.

Nie biegła już dalej. Sił jej zabrakło czy postanowiła w jakikolwiek już sposób położyć koniec tej strasznej gonitwie. Stała piersią zwróconą w stronę, z której przybywał omnibus, ale twarz odwróciła w tę z której nadbiegali ludzie. Teraz było w jej oczach światło przytomnej myśli. Mogło się здаwać, że czyniła wybór. Jakież wybór? Z tej strony hańba, pośmiewisko, więzienie, długie nieskończone może męczarnie, z tamtej śmierć... okropna śmierć ale nagła, piorunująca.

A jednak instynkt zachowawczy nie opuścił ją znać całkiem, śmierć wydała się jej straszniejszą od ludzi bo przecież przed chwilą zboczyła z tej prostej linii, po której wybawicielka ta biegła ku niej.

Tak, ale teraz znowu ku linii tej cofać się zaczyna; człowiek z złotą blachą u piersi wyprzedził lecącą za nim gawiedź, wyciągnął ręką i dotknął brzegu jej chusty. Skoczyła, stanęła na jednej z szyn żelaznych. Z twarzą podniesioną ku ciemne-

mu sklepieniu wyciągnęła w górę obie ręce. Usta jej otworzyły się i wydały niewyraźny wykrzyk. Rzuciłaż ku gwiazdzistemu niebu skargę żalością, czy słowo przebaczenia, czy może imię swego dziecka? Nikt nie dosłyszał. Człowiek z żółtą blachą, stropiony zrazu nagłym rzuceniem się w bok kobiety znalazł się znowu przy niej i porwał ją za skraj chusty. Ona błyskawicznym ruchem chustę zrzuciła i w rękę policyanta zostawiła, a sama na ziemię upadła.

— Stój! stój! rozległ się w tłumie straszliwy okrzyk.

Ale purpurowe oko słuchać nie chciało, leciało wciąż w powietrzu, a kopyta końskie dzwoniły po sztabach żelaznych.

— Stój! stój! krzyczał tłum nieustannie, przerażenie. Woźnica porwał się na koźle, stanął, zgarnął w dłoń długie lejce, i głosem ochrypłym od przerażenia krzyknął na konie aby stanęły.

Stanęły ale wtedy gdy ciężkie koło z lekkim stukiem zsunęło się już z piersi rozciągniętej na ziemi kobiety.

W grobowym milczeniu stał tłum pośród wspaniałej ulicy, poblądłe od zgrozy twarze i dyszące przestraczaniem piersi schylały się nad ciemną postacią, która nakształt nieruchomej plamy leżała na białej pościeli śniegu.

Koło olbrzymiego wozu zgruchotało pierś Marty i wyгнаło z niej życie. Twarz jej pozostała nieknięta i szklistemu oczami patrzyła w gwiazdziste niebo.

KONIEC.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-230 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>

Handwritten text, possibly a signature or name, in cursive script.



80
50
130

F
2542